

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MARK TWAIN

**Yankes
na dworze
króla Artura**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Tytuł oryginału

A Connecticut Yankee in King Arthur's Court

(1889, wariant tytułu: A Yankee at the Court of King Arthur)

Kilka słów wstępu

Z dziwnym człowiekiem, o którym zamierzam opowiedzieć, spotkałem się w warwickim zamku. Byłem oczarowany jego niewymuszoną prostotą, zdumiewającą znajomością starożytnych broni i wreszcie tym, że bez przerwy sam potrafił toczyć rozmowę, dzięki czemu towarzystwo jego nigdy nie stawało się uciążliwe. Z rozmowy, którą nawiązałem z nim, dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. Słuchając jego płynnej, górnolotnej i wyszukanej mowy, miałem wrażenie, że przenoszę się do jakiejś oddalonej epoki, do dawno zapomnianych krajów. Gdy tak stopniowo osnuwał mnie czarodziejską siecią swej gawędy, zdawało mi się, że widzę dookoła siebie, poprzez mgłę i patynę zamierzchłych czasów, jakieś majestatyczne widma i cienie, że mówię z cudem ocalałym rozbitkiem głębokiej starożytności. Zupełnie podobnie, jak gdybym ja mówił o swych najbliższych przyjaciółach i osobistych wrogach lub o swych sąsiadach – opowiadał o sir Bediverze, Bors de Ganisie, Lancelocie, rycerzu Jeziora, o sir Galahadzie i o innych wielkich imionach Okrągłego Stołu. Jakim starym, niewypowiedzianym starym, pomarszczonym i jak gdyby przyprószonym pyłem stuleci stawał się, gdy zagłębiał się w swe opowieści!

Pewnego razu, gdyśmy pod wodzą wynajętego przewodnika zaznajamiali się z historycznymi pamiątkami zamku, znajomy mój zapytał mnie najspokojniej w świecie, tak jak ludzie pytają zazwyczaj o pogodę:

– Czy słyszał pan coś o wędrówce dusz, o przenoszeniu się epok i ludzi?

Odpowiedziałem, że bardzo mało, nic prawie. Miałem wrażenie, że pogrążony w zadumie nie słyszał, co mu odpowiedziałem i czy mu odpowiedziałem w ogóle. Milczenie, które nastąpiło, przerwał monotony głos naszego przewodnika:

– Starożytna zbroja pochodząca z szóstego stulecia, z czasów króla Artura i Okrągłego Stołu. Jak przypuszczają, zbroja należała do rycerza sir Sagramora le Desirousa. Niech państwo zwrócą uwagę na okrągły otwór z lewej strony. Co do pochodzenia otworu nie mamy ścisłych wiadomości. Należy sądzić, że jest to późniejszy ślad po kuli któregoś z żołnierzy kromwelowskich.

Znajomy mój uśmiechnął się – nie naszym zwykłym uśmiechem, lecz tak, jak się uśmiechano zapewne wiele, wiele lat temu – i mruknął, jak gdyby mówiąc do siebie:

– Gadaj pan zdrów! Ja widziałem, jak powstał ten otwór. – I po chwili milczenia dodał: – Sam go zrobiłem.

Zanim przyszedłem do siebie po tym dziwacznym oświadczeniu, już go nie było.

Cały ten wieczór spędziłem przy kominku ozdobionym warwickim herbem, zatopiony w marzeniach o zamierzchłych czasach, przysłuchując się wyciu wiatru w kominie i szemraniu deszczu ściekającego kroplami po szybach. Od czasu do czasu zaglądałem do książki starego sir Tomasza Malory i rozkoszowałem się jej niestworzonymi przygodami i cudownościami upajając się aromatem starodawnych imion. Wreszcie postanowiłem już z pewną niechęcią udać się na spoczynek, gdy zastukano do drzwi mego pokoju i wszedł nowy mój znajomy.

Powitałem go z prawdziwym zadowoleniem, podsunąłem mu krzesło i zaproponowałem fajkę. Po czym, gdy się rozsiadł, poczęstowałem go gorącą szkocką whisky i oczekiwałem ciekawej opowieści. Po czwartym łyku whisky gość mój zaczął spokojnie i niewymuszenie opowiadać.

HISTORIA NIEZNAJOMEGO

Jestem Amerykaninem. Urodziłem się i wychowałem w Hartfordzie, w stanie Connecticut, tuż nad rzeką. Jestem więc Yankesem z krwi i kości i co za tym idzie – kwintesencją praktyczności. Nie znam się tam na żadnych uczuciach i tym podobnych subtelnościach – innymi słowy, na poezji. Ojciec mój był kowalem, wuj – weterynarzem, ja zaś trudniłem się początkowo jednym i drugim. Po pewnym czasie jednak znalazłem sobie pracę w wielkiej fabryce broni i zostałem wkrótce jednym z najbardziej cenionych robotników. Nauczyłem się robić strzelby, rewolwery, armaty a także kotły parowe i najrozmaitsze maszyny rolnicze. Brałem się, słowem, do wszystkiego i robota paliła mi się w rękę. Przy tym, jeśli nie istniała ulepszona metoda robienia czegoś, to często gęsto sam na nią wpadałem i wszystko szło mi jak z płatka. Wkrótce zostałem mianowany głównym majstrem i miałem pod sobą dwa tysiące ludzi.

Otóż kiedy człowiek musi kierować dwoma tysiącami ludzi, to nie ma czasu na bawienie się w grzeczności i zajmowanie się tp. faramuszkami. Różnie bywało. Wreszcie trafiła kosa na kamień i pewnego razu odpokutowałem za wszystko. Zdarzyło się to podczas sprzeczki z pewnym drabem, któregośmy nazywali Herkulesem. Chłop zdzielił mnie tak łomem przez głowę, że wydało mi się, iż moja czaszka pękła na dwoje jak orzech. W oczach mi pociemniało i straciłem przytomność.

Ocknąwszy się zobaczyłem, że siedzę na trawie pod dębem, w jakiejś bardzo pięknej, ale zupełnie nieznannej mi miejscowości. Nade mną stał pochylony jakiś dziwny człowiek, wyglądający tak, jak gdyby przed chwilą wyskoczył z ram obrazu. Był on zakuty od stóp do głów w żelazną starożytną zbroję i nosił na głowie coś w rodzaju beczułki nabijanej gwoździami. W rękę trzymał tarczę i olbrzymią lancę, u boku miał miecz. Koń jego również był zakuty w stal, metalowy róg zawieszony był na jego szyi, a piękny czaprak i uzdy z czerwonego i zielonego jedwabiu zwieszały się niemal do samej ziemi.

– Waleczny rycerzu, czy nie zechciałbyś stoczyć ze mną walki? – zapytał mnie nieznajomy.

– Czego bym nie zechciał?

– Czy nie zechciałbyś się zmierzyć ze mną w obronie swej damy serca, ojczyzny lub...

– Czego sobie pan życzy ode mnie? – zawołałem. – Ruszaj pan do swego cyrku, gdyż w przeciwnym razie zawezwę policję!

Usłyszawszy me słowa, nieznajomy uczynił coś niebywałego. Odjechawszy o kilka staj, zbliżył swą beczułkę do szyi wierzchowca, podniósł olbrzymią włócznię ponad głowę i ruszył na mnie z kopyta, mając najoczywistszy zamiar zetrzeć mnie z powierzchni ziemi. Zrozumiałem, że to nie żarty, i przy jego zbliżeniu się skoczyłem na równe nogi.

Wówczas człowiek oświadczył mi że jestem jego własnością, jeńcem jego lancy. Wobec tego, że kij był aż nadto przekonującym argumentem w jego rękę, wołałem nie protestować. Tym sposobem zawarliśmy umowę, na mocy której ja powinienem był iść za nim, on zaś miał poniechać wszelkich wrogich wystąpień przeciwko mnie. Nieznajomy ruszył przed siebie, ja zaś poważnie kroczyłem u boku jego konia. Droga prowadziła przez jakieś usypane kwieciami, poprzecinane strumieniami łąki, przez jakąś zupełnie mi nieznaną, bezludną okolicę, gdzie na próżno wypatrywałem czegokolwiek przypominającego wędrowny cyrk. Zacząłem przypuszczać, że zwycięzca mój ma coś wspólnego nie tyle z cyrkiem, co z domem wariatów. Nie napotykalimy jednakże niczego w tym rodzaju. Ostatecznie, przerwałem ciszę i zapytałem mego towarzysza, jak daleko jesteśmy od Hartfordu. Okazało się, że nigdy nie słyszał o takiej nazwie. Aczkolwiek byłem przekonany, że kłamie, szedłem dalej nie wypowiadając swego zdania. Mniej więcej po upływie godziny ujrzałem jakieś miasto malowniczo

położone nad brzegiem krętej rzeki. Obok miasta, na wzgórzu wznosiła się wysoka szara twierdza zdobna w bastiony i wieżyczki, jakie zdarzało mi się dotąd oglądać na ilustracjach.

- Bridgeport? – zapytałem nieznajomego wskazując na miasto.
- Camelot – odpowiedział.

*

...Widocznie znajomego mego opanowała senność, gdyż skinąwszy mi głową i uśmiechając się swoim patetycznym, starodawnym uśmiechem, rzekł:

– Trudno mi opowiadać dalej; lecz jeśli się pan przejdzie do mnie, dam panu książkę, w której znajdziesz opis całej tej historii.

– Początkowo pisałem pamiętnik – ciągnął, gdyśmy się znaleźli w jego pokoju – później zaś, po kilku latach, opracowałem swe notatki. O, jakże dawno to było!

Nieznajomy wręczył mi spory rękopis i wskazał, od którego miejsca mam czytać.

– Niech pan rozpocznie stąd, poprzednie jest już panu znane – rzekł żegnając się ze mną i wyraźnie wpadając w coraz większą senność.

Byłem już za drzwiami, gdy usłyszałem mamrotanie: – Śpij dobrze, szlachetny sirze!

Usadawiłem się przy kominku i zacząłem badać swój skarb. Pierwsza część rękopisu – ciężki zeszyt – była pisana na pergaminie i zupełnie pożółkła od starości. Zbadawszy uważnie arkusz przekonałem się, że jest to palimpsest. Pod starym, bladym pismem Yankesa znać było ślady starszego jeszcze i jeszcze bardziej niewyraźnego pisma – łacińskie słowa i uwagi: widocznie pozostałości starożytnych klasztornych kronik. Otworzyłem pamiętnik w miejscu wskazanym przez dziwnego nieznajomego i pogrążyłem się w czytaniu.

I

Camelot

Camelot, Camelot – powtarzałem. – Nie, stanowczo nie przypominam sobie takiej nazwy. Prawdopodobnie nazwa domu wariatów.

Cichy letni pejzaż, delikatny jak marzenie i wyludniony jak fabryka w niedzielę, roztaczał się przed nami. Powietrze, przesiąknięte aromatem kwiatów, pełne było śpiewu ptaków i brzęczenia owadów, dookoła zaś nie było widać ani ludzi, ani pociągów, żadnego ruchu, żadnego znaku życia.

Zamiast drogi biegła zwyczajna ścieżka wydeptana przez mnóstwo końskich kopyt – zaś z obu stron jej widniały w trawie ślady kół, szerokości dłoni.

W oddali ukazała się drobna figurka dziewczynki lat dziesięciu; fala złotych włosów rozsypała się po jej plecach, na głowie nosiła wianek z jaskrawo szkarłatnych maków. Ubrana była w coś bardzo ładnego.

Tego rodzaju odzież widziałem po raz pierwszy w życiu. Szła spokojnie i beztrąsko z wyrazem absolutnego spokoju na niewinnej twarzyczce. Człowiek z cyrku nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, jak gdyby jej wcale nie spotrzegł. I ona również nie spojrzała na jego fantastyczny ubiór, jak gdyby przyzwyczajona była od dawien dawna do takiej odzieży. Przeszła obok nas z taką obojętnością, z jaką się przechodzi koło dwóch krów. Lecz kiedy wzrok jej wypadkiem zatrzymał się na mnie, maleństwo osłupiało.

Z podniesionymi do góry rękoma, z szeroko otwartymi ustami i rozwartymi, pełnymi zdziwienia i przestachu oczyma mała kobietka była uosobieniem zgrozy i ciekawości. Nie zmieniła tej pozycji i stała jak kamienny posąg, dopókiśmy nie skręcili do lasu i nie stracili jej z oczu. Jeśli poniekąd mi to pochwlebiało, to równocześnie i dziwiło w najwyższym stopniu, że dziewczynka patrzyła na mnie właśnie, nie zaś na mego towarzysza. Poświęcając mi tak wiele uwagi zapomniała zupełnie o swym własnym wyglądzie, co jest zaletą ogromnie rzadko spotykaną wśród tak młodych stworzeń. Tak, to wszystko dawało mi wiele do myślenia; szedłem przed siebie jak we śnie. W miarę tego jakieśmy się zbliżali do miasta, zaczęliśmy spotykać coraz więcej objawów życia. Po drodze napotykalismy małe, nędzne lepianki kryte słomianymi strzechami i otoczone niewielkimi polami i ogródkami. Koło chatek przesuwali się ogorzali ludzie o długich splecionych włosach, które spadając w nieładzie na twarz czyniły ich podobnymi do zwierząt. Zarówno mężczyźni jak i kobiety nosili ordynarne płócienne koszule sięgające kolan, na nogach mieli coś w rodzaju grubych sandałów, wielu zaś z nich nosiło na szyi żelazne naszyjniki. Dzieci biegały zupełnie nago, lecz zdawało się, że nikt tego nie spostrzega. Wszyscy ci ludzie patrzyli na mnie, mówili o mnie i wbiegali do chat, by sprowadzić swych domowników i pokazać im mą osobę. Jednocześnie nikt nie czynił uwag na temat zachowania się i stroju mego towarzysza, wprost przeciwnie, kłaniano mu się uniżenie i nikt nie żądał odeń wytłumaczenia jego postępowania.

Pośród małych nędznych chatek tam i siam wznosiły się wielkie domy kamienne pozbawione okien. Ulica była niebrukowana i robiła wrażenie wąskiej, krzywej ścieżki. Mnóstwo psów i nagich dzieciaków hałaśliwie i wesoło bawiło się w słońcu. Świnie grzebały się w gnoju, a jedna z nich rozwaliwszy się na dymiącym nawozie i zatarasowawszy sobą przejście karmiła swe małe. Nagle zabrzmiały dźwięki wojskowej muzyki. Stopniowo się zbliżały i wkrótce ukazała się wspaniała kawalkada skrząca od hełmów z powiewającymi pióropuszcami, od metalowych pancerzy, od kołyszących się chorągwi i całego lasu złożonych włócznie. Uroczyście przedelfowała wśród gnoju, świń, szczekających psów i nagiej dziatwy, obok

wzbudzających litość lepierek. Ruszyliśmy w ślad za nią jedną z krętych ścieżek, następnie inną i tak wspinaliśmy się coraz wyżej i wyżej, dopókiśmy wreszcie nie znaleźli się na otwartym ze wszystkich stron placu, pośród którego wznosił się olbrzymi zamek.

Trąbieniem rogów dano znać o naszym zbliżeniu się, po czym zabrzmiał okrzyk z murów, po których tam i z powrotem przechadzali się ludzie o groźnym wyglądzie, w hełmach i zbroi, z halabardami w ręku. Szeroka rozwarły się olbrzymie wrota i ze zgrzytem łańcuchów opuścił się zwodzony most. Dowódca kawalkady pierwszy wjechał pod groźną arkadę, w ślad za nim znaleźliśmy się i my wśród przestronnego brukowanego dziedzińca ozdobionego wielkimi basztami i wieżyczkami z czterech stron dumnie wznoszącymi się ku błękitnemu niebu. Zapanaowało niezwykle ożywienie i rozgardiasz i ceremonialnie witano się, śpieszono w różnych kierunkach, oko uderzała niezwykła pstrokaczna jaskrawych ubiorów i wszystko pokrywał przyjemny, zmieszany gwar głosów.

2

Dwór króla Artura

Na szczęście udało mi się znaleźć odpowiednią chwilę i wyśliznąć się spod opieki swego towarzystwa. Zbliżywszy się do jakiegoś starszego człowieka – jak można było wnosić – niskiego pochodzenia, uderzyłem go po ramieniu i zapytałem najbardziej ugrzecznionym, na jaki mnie stać było, głosem:

– Powiedzcie mi z łaski swej, przyjacielu, czy was również umieszczono w tym domu, czy też przyszłście kogoś tu odwiedzić lub może w innym jakim interesie?...

Staruszek spojrzał na mnie z najwyższym zdumieniem:

– Doprawdy, szlachetny panie, nie wiem, co chcesz powiedzieć, wydaje mi się...

– Rozumiem – odezwałem się ze współczuciem – jesteście jednym z chorych.

Odszedłem nie przestając rozmyślać o tym wszystkim i rozpatrując wszystkich przechodniów w nadziei, czy aby nie trafi się ktoś, kto by mi dopomógł zorientować się w tej dziwacznej sytuacji. Wreszcie wydało mi się, że trafiłem na odpowiedniego człowieka. Odprowadziwszy go na bok szepnąłem mu na ucho:

– Czy nie mógłbym się zobaczyć z zarządzającym szpitala na jedną chwilkę tylko...

– Słuchaj no, puść mnie, u licha.

– Puścić was?

– A więc, nie przeszkadzaj mi, jeśli to słowo bardziej do ciebie przemawia...

Po czym wyjaśnił mi, że jest kuchmistrem i że wobec tego nie ma czasu na gadaninę, choć w ogóle nic nie ma przeciwko temu, aby czasem sobie trochę pogwarzyć o tym i o owym; szczególnie chciałby się dowiedzieć skąd wytrzasnąłem sobie taki dziwaczny ubiór. Nie czekając jednak odpowiedzi rozejrzał się dookoła i wskazał na człowieka, który jak widać nic nie miał do roboty i który sam nie był od tego, żeby się ze mną zapoznać. Był to szczupły, eteryczny chłopak w wąskich czerwonych spodenkach, które czyniły go podobnym do rozdwojonej marchwi. Górna część jego ubioru była z niebieskiego jedwabiu, ozdobiona wytwornym koronkowym kołnierzem i takimi samymi mankietami. Na długich złocistych lokach młodzieniec nosił kokieteryjną różową czapkę z wąskim piórem. Znać było po oczach, że jest dobrym chłopcem, a z wesołości jego można było wywnioskować, że jest zadowolony z siebie i z życia.

Doprawdy w ubiorze tym było mu tak ładnie, że robił wrażenie malowanki. Zbliżywszy się do mnie uśmiechnął się i zaczął oglądać mnie z nieco bezczelną ciekawością. Po czym przedstawił mi się mówiąc, że jest paziem, i z miejsca zasypał mnie gradem pytań. Po kilku chwilach gawędził ze mną w sposób dziecinny i tak niewymuszony, jak gdyby już od lat był moim przyjacielem. Rozpytywał mnie szczegółowo o wszystko, co się tyczyło mnie oraz mego ubioru, i nie czekając odpowiedzi przeskakiwał z tematu na temat. Między innymi wspominał, że się urodził na początku 513 roku. Obląłem się zimnym potem. Przerwałem mu i nieśmiało zapytałem;

– Przepraszam cię, przyjacielu, w jakim roku powiedziałaś, żeś się urodził?

– W 513.

– W 513 roku! Nic nie rozumiem! Posłuchaj, mój drogi chłopcze, jestem cudzoziemcem i nikogo tu nie znam, bądź ze mną szczerzy i otwarty. Powiedz, mi, czy jesteś przy zdrowych zmysłach?

Odpowiedź brzmiała, że najzupełniej.

– A ci wszyscy ludzie dookoła są również zdrowi?

Znowu nastąpiła twierdząca odpowiedź.

– A więc w takim razie to ja zwariowałem lub też zdarzyło się ze mną coś niesamowitego. Ale przypuśćmy, że nie jest to dom wariatów, może mi powiesz, dokąd w takim razie trafiłem?

– Do zamku króla Artura – brzmiała odpowiedź.

Przeczekałszy chwilę, by się oswoić z tą myślą, rzekłem:

– Dobrze, jakież więc rok mamy teraz według ciebie?

– Pięćset dwudziesty ósmy, dziewiętnasty czerwca.

Serce mi się ścisnęło, gdy pełen rozpachy uprzytomniłem sobie, że nigdy, nigdy już nie ujrzę swych przyjaciół – wszyscy oni przyjdą na świat dopiero za trzystaście stuleci!

Zdaje się, że uwierzyłem chłopakowi, sam nie wiem dlaczego. Coś mi szeptało, że to prawda, pomimo że mój rozsądek nie mógł się z tym wszystkim pogodzić i głośno przeciw temu protestował. Nie wiedziałem, jak się ustosunkować do okoliczności oraz do ludzi, którzy mnie otaczali. Rozum mój uważał ich za obłąkanych, wbrew wszelkiej oczywistości. Zupełnie nieoczekiwanie i przypadkowo przypomniałem sobie pewną rzecz: wiedziałem, że jedyne większe zaćmienie słońca w pierwszej połowie VI stulecia miało miejsce 21 czerwca 528 roku i rozpoczęło się trzy minuty po południu. A więc jeśli by starczyło mi sił na przeżycie 48 godzin w tych warunkach, mógłbym się przekonać, ile prawdy mieści się w słowach chłopca. Tak czy inaczej, będąc praktycznym obywatelem Connecticutu odłożyłem rozstrzygnięcie tej najbardziej palącej dla mnie kwestii do oznaczonego dnia i godziny. Tymczasem zaś biorąc pod uwagę istniejący stan rzeczy postanowiłem sobie wyciągnąć zeń jak największe korzyści. Rozumowałem, jak następuje: jeśli teraz istotnie jest w. XIX i znajduję się w domu wariatów, skąd przez pewien czas nie uda mi się uwolnić, to mogę z łatwością stanąć na czele tego zakładu jako najbardziej zdrowo myślący osobnik spośród wszystkich jego mieszkańców.

W przeciwnym zaś razie, jeżeli przeniosłem się dziwnym cudem rzeczywistości w VI stulecie, to muszę się zadowolić projektami wymagającymi nieco więcej czasu: za jakie trzy miesiące będę mógł rządzić całym krajem jako najbardziej wykształcony człowiek tego czasu, urodzony o 1300 lat później od wszystkich żyjących tu w obecnej chwili. W każdym bądź razie nie należę do ludzi marnujących czas, z chwilą gdy wszystko obmyśliłem, zacząłem z miejsca działać.

– A więc, mój drogi Klarence, jeśli tak brzmi w rzeczywistości imię twe – zwróciłem się do chłopca – czy nie zechciałbyś mi wyjaśnić tego i owego? Jak np. nazywa się ten człowiek, który mnie tu przyprowadził?

– Chcesz się zapewne spytać, jak się nazywa nasz wspólny pan? Jest to wielki lord Key, szlachetny rycerz i mleczny brat władcy naszego, króla Artura.

– Bardzo dobrze, a teraz opowiedz mi o wszystkich i o wszystkim, co się tu dzieje!

Paź opowiedział mi bardzo wiele, lecz najważniejszą dla mnie wiadomością było, co następuje.

Według słów jego byłem jeńcem sir Keya i zgodnie z panującym zwyczajem zostaną wrzucony do lochu, w którym pozostanę dopóty, dopóki moi przyjaciele nie wykupią mnie lub też dopóki nie zgniję. Wiedziałem, że to ostatnie jest bardziej prawdopodobne, lecz nie miałem czasu na długie rozmyślenia, gdyż nie wolno było tracić ani chwili. Następnie paź mi oświadczył, że obecnie kończy się obiad w wielkiej sali zamku. Kiedy się już wszyscy upiją i rozweselą, sir Key każe mnie sprowadzić, ażeby przedstawić królowi Arturowi oraz wspa- niałym rycerzom Okrągłego Stołu. Później sir Key zacznie opowiadać, jak mnie wziął do niewoli, przy czym będzie wyolbrzymiał i przekręcał do niemożliwości całe zdarzenie. Lecz oczywista, że z mojej strony będzie nie tylko nieprzyzwoite, ale i niebezpieczne dla mego życia poprawiać go. Po tej ceremonii zostaną wreszcie wtrącony do podziemia. Lecz Klarens przyrzekł mi, iż się postara odwiedzić mnie, pocieszyć i spróbuje powiadomić moich przyjaciół o moim nieszczęściu.

– Da znać moim przyjaciółom!!!

Podziękowałem mu, bo cóż innego pozostawało mi do zrobienia. W tej samej chwili zjawił się sługa i wezwał mnie na salę. Klarens zaprowadził mnie tam i wskazawszy mi miejsce na uboczu usiadł sam tuż przy mnie.

Widowisko, które się przede mną roztaczało, godne było uwagi. Znajdowałem się w olbrzymim pomieszczeniu o zupełnie nagich ścianach, pełnym krzyczących kontrastów. Rozmiary jego były tak gigantyczne, że chorągwie zawieszane na belkach pod stropem ledwo majaczyły w półmroku. U góry ze wszystkich stron ciągnęły się kamienne galerie; na jednych z nich siedzieli muzykanci, na drugich kobiety w krzyczących pstrych sukniach. Podłoga była wyłożona białymi i czarnymi płytami startymi od czasu i użycia i wymagającymi naprawy. Co się tyczy ozdób, to ściśle mówiąc, nie było ich wcale, chociaż gdzie niegdzie na ścianach wisiały olbrzymie dywany uważane tu zapewne za dzieła sztuki. Na dywanach wyobrażone były bitwy, przy czym konie przypominały podobne wyroby z pierników lub wycinanki robione przez dzieci. Zbroję wojaków wyobrażały białe plamy, tak że w końcu walczący ludzie ludzko przypominali ciastka z serem.

Piec w sali był tak wielki, iż można w nim było śmiało staczać walki. Jego kamienny okap oraz kamienne kolumny przypominały wejście do katedry.

Wzdłuż ścian stali żołnierze w pancerzach i hełmach, z halabardami na ramieniu, nieruchomi jak posągi i bardzo do posągów podobni. Pośród tej sali w postaci olbrzymiego krzyża mieścił się dębowy stół, który to właśnie nosił miano Okrągłego Stołu. Był on wielki jak arena w cyrku. Dookoła niego siedzieli ludzie ubrani w tak pstre i błyszczące ubiory, że aż świerbiło w oczach. Wszyscy mieli na sobie kapelusze z piórami które zdejmowali wtedy tylko, gdy zaczynali mówić z królem.

Większość z nich piła z bawolich rogów, ale niektórzy zajadali przy tym chleb lub ogryzali kości pieczeni. Psów było tu tyle, że na człowieka wypadało co najmniej po dwa. Leżały one u nóg biedaśników czekając na kości, na które się hurmem rzucały. Naturalnie wszczyniała się zażarta walka przy akompaniamencie takiego ujadania, ryku i hałasu iż nie podobna było ciągnąć dalej rozmowę. Ale nikt nie wykazywał z tego powodu zniecierpliwienia – odwrotnie – wszyscy chętnie przerywali biesiadę, aby z napiętą uwagą śledzić walkę psów. Podnoszono się z miejsc, ażeby lepiej widzieć, damy i muzykanci zwieszali się w tym samym celu poprzez balustradę.

Od czasu do czasu komuś z obecnych wyrywał się okrzyk entuzjazmu i uznania. W końcu zwycięzca wygodnie rozciągał się na ziemi i z lekka jeszcze warcząc gryzł zdobytą kość a z nią razem i podłogę, co czyniły również i inne psy, zwycięzcy w poprzednich walkach. Przy stole wznawiały się z powrotem przerwane rozmowy.

Na ogół mowa i zachowanie się tych ludzi było względnie delikatne i uprzejme. Jak spostrzegłem, wysłuchiwali oni z powagą i uważnie mówiącego, naturalnie w przerwach pomiędzy żarciem się psów. Lecz niestety mieli oni wspólne cechy z dziećmi, mianowicie – kłamali. Kłamali ze zdumiewającą wprawą i z niemniej zdumiewającą niezręcznością, życzliwie wysłuchując przy tym cudzych fantastycznych opowiadań i biorąc najbardziej wierutne łgarstwa za czystą monetę. Nie można było nazwać ich okrutnikami lub ludźmi krwiożerczymi, ale tym niemniej opowiadali oni z taką szczerą przyjemnością o krwawych przygodach i zadanych przez się mękach, że nawet ja zapomniałem przy tym się wzdrygnąć.

Nie byłem tu jedynym jeńcem.

Prócz mnie było tu jeszcze przeszło dwudziestu. Nieszczęśliwi! Większość z nich była straszliwie pokaleczona, pomasakrowana i poraniona! Na włosach ich, na twarzy i na ubraniu widniały ślady spiekłej krwi. Bez wątpienia, ludzie ci przechodzili przez potrójną mękę zmęczenia, głodu i pragnienia. Ale nikt im nie współczuł, nikt nie dbał o nich, nikt nie pomyślał, że należy obmyć rany i przynieść im przynajmniej jakąkolwiek ulgę. I nikt również nie usłyszał od nich najmniejszej skargi, najlżejszego jęku i nie widział nawet śladu cierpień.

Mimo woli i ja dałem się opanować okrutnej myśli:

„Kanalie, przecież podobnie postępowaliście i wy ze swymi jeńcami, teraz na was przyszła kolej. Wasz filozoficzny spokój i hart nie jest skutkiem duchowej i intelektualnej siły, lecz gruboskórnością i bydlęcym brakiem wrażliwości. Jesteście białymi Indianami”.

3

Rycerze Okrągłego Stołu

Przy Okrągłym Stole po większej części nie rozmawiano, lecz wypowiadano monologi – rozwlekłe sprawozdania z tego, jak rozmaici jeńcy zostali wzięci do niewoli, a ich przyjaciele zabici lub pozbawieni rumaków i uzbrojenia. W gruncie rzeczy ze wszystkiego, co opowiadano, można było wywnioskować, że te wszystkie mordy i krwawe potyczki nie były dokonywane w celu zemsty lub obrony, ani nawet nie były porachunkiem za dawne obrazy. Na ogół były to zwykłe pojedynki pomiędzy zupełnie obcymi sobie ludźmi, którzy przedtem się nigdy nie widzieli i nie żywili do siebie najmniejszej urazy.

Kiedyś, dawnymi czasy, zdarzało mi się widzieć nieznających się zupełnie chłopców, którzy spotkawszy się mówili jednocześnie: „A wiesz, mógłbym cię pobić, gdybym zechciał!” i z miejsca wszczynali bójkę. Lecz dotychczas byłem przekonany, że tego rodzaju rzeczy mogą się dziać jedynie między dziećmi. Tutaj zaś ni z tego ni z owego naskakiwały na siebie olbrzymie dorosłe draby. I nie bacząc na to, było coś pociągającego, coś miłego w tych wielkich prostodusznych stworzeniach. Piękny męski wyraz miały twarze nieomal wszystkich tych ludzi – na niektórych zaś prócz tego odzwierciedlały się dobroć i majestat, wobec których zniknęła chęć krytyki i potępienia. Szczególnie odbijały od innych wyrazem szlachetności oblicze i postać tego, którego nazywano tu Galahadem, oraz męska postać samego króla i sir Lancelota.

To, co się zdarzyło po obiedzie, zwróciło uwagę wszystkich na tego ostatniego rycerza. Na znak osoby spełniającej tu funkcje mistrza ceremonii, sześciu czy ośmiu jeńców powstało i wystąpiło naprzód. Przykleknąwszy i podniósłszy ręce w kierunku galerii, gdzie siedziały damy, błagali o łaskę przemówienia do królowej. Jedna z dam, zajmująca według wszelkich pozorów najbardziej wysokie stanowisko, z wdziękiem skinęła głową na znak zgody. Wówczas człowiek przemawiający w imieniu jeńców zdał sobie oraz swych towarzyszy na jej łaskę i niełaskę prosząc, aby obdarzyła ich wolnością lub pozwoliła im złożyć wykup, jeśli zechce, lub też aby kazała rzucić ich do lochu, albo skazać na śmierć, jeśli taka jest jej wola. Stoją zaś tu oni wszyscy z rozkazu sir Keya, który dzięki swej cudownej sile, odwadze i waleczności zwyciężył ich w rycerskiej walce i uczynił ich swoimi jeńcami.

Zdumienie odmalowało się na wszystkich twarzach. Łaskawy uśmiech królowej ustąpił miejsca wyrazowi rozczarowania, gdy tylko usłyszała imię sir Keya, a paż zjadliwie szepnął mi na ucho:

– Sir Key, rzeczywiście! Nazwiesz mnie osłem jeżeli spotkasz kiedykolwiek i gdziekolwiek takiego łgarza jak on!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się z wyrazem surowego zapytania ku sir Keyowi. Lecz ten nie drgnął nawet i jako zręczny gracz nieoczekiwanym posunięciem zaszachował swych przeciwników. Powiedział, że będzie odtwarzał tylko nagie fakty nie komentując ich zupełnie, po czym dodał:

– Jeżeli będziecie uważali, iż należy kogokolwiek słać i złożyć mu hołd, złoście go temu, którego ramię zawsze uważane było za najbardziej potężne i którego tarcza i miecz nie zostały jeszcze nigdy zwyciężone – temu, który siedzi tutaj, wśród was! – Przy tym rycerz wskazał na sir Lancelota.

Teraz sir Key zaczął opowiadać o tym, jak sir Lancelot podczas swych samotnych wędrówek w krótkim czasie zabił siedmiu wielkoludów i oswobodził z niewoli sto czterdzieści dwie uwięzione damy, po czym wyruszył dalej w poszukiwaniu przygód bez przerwy walcząc, aż

spotkał jego (sir Keya) rozpaczliwie i beznadziejnie walczącego przeciwko dziewięciu cudzoziemskim rycerzom. Sir Lancelot sam jeden napadł na nich i ich zwyciężył. Tej samej nocy sir Lancelot włożył na siebie zbroję sir Keya, zabrał jego konia i wyruszył w dalszą podróż. Wkrótce zwyciężył on szesnastu rycerzy w jednej walce i trzydziestu czterech w drugiej. Wszystkim im wraz z poprzednimi dziewięcioma rozkazał niezwyciężony rycerz udać się na Zielone Świątki na dwór króla Artura, zdać się na łaskę i niełaskę królowej Ginewry po uprzednim oświadczeniu, że są jeńcami sir Keya.

Oto jest tu sześciu spośród tych jeńców, a reszta stanie przed królewskim obliczem, kiedy zagoją się ich rany.

Jakim silnym rumieńcem płonęło oblicze królowej, jak radośnie się uśmiechała, jakie wymowne spojrzenia rzucała sir Lancelotowi, spojrzenia, które by rycerz przypłacił zapewne życiem w Arkanzasie. Wszyscy zachwycali się odwagą i szlachetnością sir Lancelota, co do mnie zaś, to nie mogłem się dość wydziwić sile tego człowieka, który sam jeden, bez wszelkiej pomocy, wziął do niewoli i zwyciężył cały oddział takich doświadczonych szermierzy. Wyraziłem swe zdumienie Klarensowi, który wybuchł śmiechem, że aż się zatrzęsło czerwone pióro na jego czapeczce.

– O, gdyby sir Keyowi pozostawiono dość czasu i gdyby opróżnił jeszcze jeden dzban kwaśnego wina, wówczas wszystkie te liczby wzrosłyby z pewnością w dwójnasób!

Spojrzałem niedowierzająco na chłopca i nagle spostrzegłem, że wzrok jego wyrażał głęboką rozpacz. Odwróciwszy się ujrzałem sędziwego starca o długiej siwej brodzie, odzianego w czarne obszerne szaty, który w tej właśnie chwili wstał zza stołu i chwiejąc się i trzęsąc starą słabą głową wpatrywał się we wszystkich obecnych mętnymi oczyma. Ten sam cierpiący wyraz, który zauważyłem na twarzy pazia, zjawił się również na twarzach wszystkich obecnych. Był to wyraz pokornego stworzenia, które musi cierpieć bez jęku.

– Mój Boże! – rzekł chłopak – znowu rozpocznie tę samą historię, którą już opowiadał tysiąc razy w jednych i tych samych słowach i którą będzie opowiadał zawsze, aż do samej śmierci. Będzie to opowiadał za każdym razem dopóty, dopóki jego dzban będzie pełny i dopóki będzie mógł obracać językiem.

– Kto to taki? – zapytałem.

– Merlin – wszechmocny łgarz i czarownik, niech go diabli porwą z jego przeklętym opowiadaniem! Lecz tutaj wszyscy lękają się go, gdyż w jego rękach są grzmoty i błyskawice i wszystkie duchy piekielne są powolne jego rozkazom. Dawno już powinny były przegryźć mu wnętrzności i zetrzeć go w proch wraz z jego bujdami! Opowiada on zawsze o sobie w trzeciej osobie, ażeby upewnić wszystkich co do swej skromności i braku zarozumiałości. Niech będzie przeklęty i niech spadną nań wszystkie nieszczęścia!! Drogi przyjacielu, obudź mnie, gdy zadzwonią na odwieczerz.

Chłopiec oparł się o me ramię i przygotował się do spoczynku; starzec rozpoczął opowiadanie. Chłopiec w istocie momentalnie zasnął, zasnęły również psy, cały dwór, słudzy i żołnierze. Rozbrzmiewał tylko równy, monotony głos, a dookoła odpowiadało mu łagodne, harmonijne chrapanie biesiadników, przypominające miarowy akompaniament dętych instrumentów. Niektórzy oparli głowy na złożonych rękach, drudzy mieli głowy zarzucone w tył z szeroko roztwartymi ustami.

Muchy brzęczały i dokuczały wszystkim bez przeszkody, szczury powyłaziły z setek dziur i szczelin i biegały wszędzie czując się jak u siebie w domu. Jedna z myszy usiadła niby wieiórka na głowie króla i trzymając w podniesionych łapkach kawałek sera z bezwstydnym zuchwalstwem rzucała mu w twarz ogryzki. W tym wszystkim było coś uspokajającego, coś, co skłoniło ku spoczynkowi zmęczone oczy i umysł. Oto, co opowiadał czarnoksiężnik:

„Tak wyruszyli w drogę król i Merlin i jechali, dopóki nie napotkali pustelnika, który był poczciwym człowiekiem i świetnym lekarzem. Zbadał on rany króla i podarował mu cudotwórczą maść. Król pozostał tam przez trzy dni, dopóki nie zagoiły się jego rany, a gdy mógł

już dosiąść konia, wyruszył w drogę. Kiedy tak jechali, król Artur rzekł: „Nie mam miecza”. „To nic” odpowiedział Merlin „zaraz znajdziemy miecz, który będzie twoim”.

Tak jechali dalej, dopóki nie dojechali do bardzo wielkiego jeziora, którego woda była nadzwyczaj przezroczysta. Z fali jeziora wyłoniła się ręka odziana w białą brokatową rękawicę, ręka ta dzierżyła przepiękny miecz. „Oto jest ten miecz” rzekł Merlin „o którym mówiłem”. W tej samej chwili ukazała się dziewczica wychodząca z głębi jeziora. „Kim jest ta dziewczica?” zapytał Artur. „Dziewica ta jest królową jeziora” odpowiedział Merlin. „Na dnie tego jeziora znajduje się skała i jest tam tak dobrze, jak nigdzie na świecie. Dziewica ta zaraz pojdzie do ciebie i wtedy poprosisz ją uprzejmie, żeby ci ofiarowała miecz.” I rzeczywiście dziewczica podeszła do Artura i serdecznie go powitała, na co król odpowiedział tym samym i zapytał: „Piękna dziewczico, co za miecz trzyma ta ręka nad wodą, chciałbym go wziąć sobie, gdyż własnego nie posiadam”. „O sir, królu Arturze, ten miecz należy do mnie i dam ci go, jeżeli spełnisz moją prośbę” odrzekła dziewczica. „Przysięgam, że dam ci zań wszystko, czego zapragniesz!” „Dobrze, tam stoi łódka, wsiądź więc do niej i wiosłuj w kierunku miecza, i weź go sobie wraz z pochwą, a w swoim czasie zażądam zań wynagrodzenia”. Wówczas sir Artur i Merlin zsiadli z koni uwiązali je do drzew, wsiadli do łódki i dojechali do miecza, który trzymała ręka. Sir Artur wziął miecz za rękojeść i wyjął go z ręki, która natychmiast znikła pod wodą. Potem wyszli na brzeg, dosiedli koni i pojechali dalej. Wówczas sir Artur zobaczył bogaty zamek. „Do kogo należy ten wspaniały zamek?” zapytał towarzysza. „Jest to pałac ostatniego rycerza, z którym walczyłeś, imieniem sir Pellynor. Ale jego samego nie ma w domu. Jest on poróżniony na śmierć z jednym z rycerzy, ze szlachetnym; Egglamenem. Stoczyli już oni ze sobą walkę i w końcu Egglamen uciekł, gdyż w przeciwnym razie postradałby życie. Pellynor ściga go aż do Karlionu i zapewne spotkamy go w drodze.” „To dobrze” rzekł Artur „mam teraz miecz, mogę walczyć i w ten sposób się zemścić.” „O sir, nie powinieneś tego uczynić!” powiedział Merlin „bowiem rycerz jest znużony walką i pościgiem i nie będzie dla ciebie zaszczytem zwyciężyć go. Posłuchaj mojej rady, przepuśćmy go w spokoju, a wkrótce ci się przyda, zaś po jego śmierci przydadzą się również jego synowie. Niebawem przyjdzie czas, kiedy oddasz za niego swoją siostrę.” „Kiedy go zobaczę, postąpię według twojej rady” powiedział Artur. Następnie sir Artur zaczął oglądać swój miecz i ogromnie się nim zachwycił: „Co ci się bardziej podoba” zapytał Merlin „miecz czy pochwa?” „Miecz” rzekł Artur. „Źle wybrałeś” – powiedział Merlin – „pochwa jest warta dziesięciu mieczy, ponieważ dopóki masz przy sobie pochwę, nigdy nie osiągnie cię wróg, nigdy nie zostaniesz ranny, zawsze wobec tego miej ją przy sobie”. Tak jechali w kierunku Karlionu i po drodze spotkali sir Pellynora. Lecz Merlin uczynił tak, żeby Pellynor nie dojrzał Artura i bez słowa przejechał koło nich. „To dziwne” powiedział Artur „że rycerz nic nie mówił”. „Sir”, odrzekł Merlin „on nie widział nas, bo gdyby widział, to by nie przejechał w milczeniu.” W ten sposób przyjechali do Karlionu, gdzie rycerzy ogromnie ucieszyło ich przybycie. A gdy usłyszeli o ich przygodach, ogromnie się dziwili, że król naraża swą osobę na takie niebezpieczeństwo. Lecz później wszyscy mówili, że wielkim szczęściem jest posiadać króla, który naraża swe życie na równi ze zwykłymi rycerzami.”

4

Sir Dinadan Żartowniś

Mnie osobiście ogromnie się spodobała ta oryginalna i ładnie opowiedziana bajka, lecz słyszałem ją przecież po raz pierwszy; zapewne równie dobre wrażenie czyniła na innych, dopóki się nie znudziła.

Tymczasem sir Dinadan, zwany Żartownisiem, obudził się pierwszy i obudził innych żartem może niezbyt skomplikowanym, ale który tutaj, jak się okazało, zdobył sobie powszechne uznanie. Przywiązawszy do ogona jednego z psów metalowy kocioł, wypuścił go z rąk. Pies w śmiertelnym przestachu popędził przed siebie nie mogąc znaleźć sobie miejsca, przerażony latał z kąta do kąta mając za sobą całą psiarnię i wywołując nieopisany hałas uderzeniami kotła o podłogę, przy czym przewracał wszystko, co napotkał po drodze. Powstał prawdziwy chaos. Ten harmider, hałas i bieganina obudziły wszystkich i wszyscy dookoła, damy i rycerze, pokładali się ze śmiechu, śmieli się do łez w paroksyzmie śmiechu spadając z krzeseł i tarzając się po podłodze. W owych chwilach w zupełności przypominali dzieci. Co do sir Dinadana, to ów zachwycony swym pomysłem aż do zupełnego ochrypnięcia i z coraz nowymi szczegółami opowiadał o tym, jak ten nieśmiertelny pomysł przyszedł mu do głowy. Jak wszyscy żartownisie tego rodzaju, sir Dinadan śmiał się sam ze swego, kawału najwięcej i najdłużej ze wszystkich. Powodzenie tak go wbiło w dumę, że zdecydował się wygłosić mowę. Wydaje mi się, że przez całe życie nie słyszałem tylu starych, oklepanych dowcipów, co w tej mowie. To było coś gorszego od zawodzenia wędrownego żebraka i od kawałów klowna w prowincjonalnym cyrku. Było jakoś niewymownie smutno siedzieć tysiąc trzysta lat przed własnym narodzeniem i słuchać nędznych, płaskich, politowania godnych dowcipów, które nie wydawały mi się śmieszne już za czasów mego dzieciństwa.

Ale tu widocznie były one ostatnim słowem humoru, wszyscy słuchając tych starożytności zrywali sobie boki ze śmiechu, z czym zresztą zdarzało mi się nieraz spotykać i w późniejszych, współczesnych mi czasach. Nie śmieszyły one tylko mego sąsiada pazia, a raczej śmieszyły w tym sensie, że nie było tu słowa, którego by nie wyśmiał, i człowieka, z którego by nie kpił. Twierdził on, że przeważna część żartów sir Dinadana zbutwiała od starości, pozostała zaś skamieniała. Określenie „skamieniała” bardzo mi się spodobało – zauważyłem nawet, że tego rodzaju dowcipy należałoby odnieść do jednego z geologicznych okresów. Lecz zdaje się, że ten mój dowcip nie znalazł najmniejszego oddźwięku, gdyż geologia w owych czasach nie została jeszcze stworzona. Biorąc to wszystko pod uwagę postanowiłem ucywilizować ten kraj i zmienić wszystko do gruntu, rozumie się, jeśli mi się uda szczęśliwie wydostać z tej opresji.

Teraz wstał sir Key: tym razem ja zostałem wzięty w obroty. Opowiedział, jak mnie spotkał w dalekim kraju barbarzyńców, gdzie wszyscy moi ziomkowie byli ubrani w taki sam śmieszny ubiór. Ubiór ten jest zaczarowany i chroni tych, którzy go noszą, od wrogiej broni. Jednakowoż przy pomocy Boskiej udało mu się zniweczyć czary i zabić w trzygodzinnej walce trzynastu rycerzy, towarzyszących mi, a mnie wziąć do niewoli, przy czym darował mi życie, by mieć możliwość pokazania mnie królowi i rycerzom Okrągłego Stołu, jako niespotykany dziw. Mówiąc o mnie sir Key używał przez cały czas mnóstwa pochlebnych dla mnie określeń w rodzaju: „ten potworny olbrzym”, „to okropne straszidło wielkości baszty”, „ten ludożerca o olbrzymich kłach” itp. Wszystkie te epitety wymawiał z niezwykle naiwną wiarą, bez najlżejszego uśmiechu i zdawało się, że rycerze istotnie nie spostrzegają jawnej dysproporcji pomiędzy tymi określeniami a mną.

Dalej opowiadał, że ratując się od niego, jednym susem wskoczyłem na drzewo wysokości dwustu łokci, lecz strącił mnie stamtąd kamieniem wielkości krowy, który pogruchotał mi wszystkie kości, wreszcie sprowadził mnie tutaj, aby zaprezentować na dworze króla Artura. Skończył na tym, iż wydał na mnie wyrok śmierci, który miał być wykonany dwudziestego pierwszego czerwca w południe. Powiedział to przy tym tak obojętnie, że nawet zatrzymał się, by ziewnąć, zanim wymienił datę. Czulem się przez cały czas bardzo nieszczególnie, nie bardzo nawet byłem w stanie przysłuchiwać się sporom co do tego, jakiego rodzaju śmierć ma mi przypaść w udziale. Spór wynikł z powodu czarów, zawartych w moim ubraniu. Ubranie moje było najzwyklejsze w świecie, kupione w konfekcyjnym magazynie za piętnaście dolarów. Jednakowoż miałem na tyle przytomności, by zwrócić uwagę na jeden niezmiernie ciekawy szczegół; oto znaczna część słówek i wyrażeń, używanych między innymi przez to szlachetne zebranie najlepiej urodzonych dam i gentlemanów kraju, była tego rodzaju, że słuchając ich spłonąłby rumieńcem najgorszy włóczęga. Wyraz: nieprzyzwoitość byłby o wiele za słaby dla określenia tonu tej rozmowy. Tymczasem wszyscy byli tak zafrasowani czarodziejskimi właściwościami mojego ubrania, że nie mogli się po prostu uspokoić, dopóki Merlin nie wpadł na istotnie prosty i naturalny pomysł i nie poradził po prostu ściągnąć ze mnie ubrania.

W mgnieniu oka byłem nagi jak język! Rozpatrywano mnie i debatowano na temat mojej osoby tak obojętnie, jak gdybym był nie człowiekiem, lecz głową kapusty. Królowa Ginewra nawet z naiwnym zaciekawieniem studiowała moją figurę i wreszcie oświadczyła, że u nikogo jeszcze nie widziała tak ładnych nóg jak moje. Koniec końców zostałem odesłany do jednego pomieszczenia, a moje nieszczęsne ubranie do drugiego. Wrzucono mnie do podziemia, dano nędzne resztki obiadu, zgniłą wilgotną słomę zamiast pościeli i wreszcie mnóstwo szczurów jako towarzystwo.

5

Natchnienie

Byłem tak znużony, że nawet strach, który przeżyłem, nie przeszkodził mi z miejsca zasnąć.

Obudziłem się z wrażeniem, że spałem bardzo długo. „Jaki dziwaczny sen mi się przyśnił” przemknęło mi przez głowę. Wydaje się, że obudziłem się w porę, zanim zdecydowano, czy mnie należy powiesić, utopić, spalić, czy coś w tym rodzaju... „Utnę sobie jeszcze małą drzemkę aż do gwizdka, potem pójdę do fabryki i biada Herkulesowi!”

Lecz w tej samej chwili usłyszałem przykrą muzykę zardzewiałych kajdanów i ciężkich zasuw, nagle oślepiło mnie światło kagańca i Klarens stanął przede mną. Patrzałem nań ze zdumieniem, oddech sparło mi w piersiach.

– Jak to! – zawołałem – jeszcze jesteś tu! zniknij wreszcie z resztkami snu! rozpuść się!

Lecz paż tylko śmiał się swym lekkomyślnym śmiechem i wyraźnie się szykował do kpin z mej rozpaczliwej sytuacji.

– Więc dobrze – wyrzekłem głośno – niech sen trwa dalej, nie będę się śpieszył.

– Ależ na Boga, jaki sen?

– Jaki sen! Dobrze sobie, czyż nie jest snem, że jestem na dworze króla Artura – osoby, która nigdy nie istniała, i że rozmawiam z tobą, który również nie jesteś niczym innym, jak tylko płodem mej wyobraźni.

– Oho! tak sądzisz!? A to że cię spalą – to według ciebie też jest snem? Odpowiedz no na to!

Wstrząs, którego doznałem, był zbyt wielki. Teraz dopiero zacząłem rozumieć, jak poważne jest moje położenie bez względu na to, czy ma ono miejsce we śnie, czy na jawie. Wiedziałem z doświadczenia i ze swego tak łudząco podobnego do rzeczywistości snu, że być spalonym nawet we śnie nie jest bynajmniej żartem i z tego względu należy się starać tego uniknąć wszelkimi możliwymi sposobami.

– O, Klarensie – zwróciłem się błagalnie do swego gościa – drogi chłopcze, jedyny mój przyjacielu, przecież nie myślę się myśląc, że jesteś moim przyjacielem? Nie porzucaj mnie, dopomóż mi uciec stąd, uratować się!

– No, nareszcie oprzytomniałeś! Uciec? Ale jakże to zrobić, kiedy wszystkie wyjścia są strzeżone przez straż?

– To prawda, to prawda, Klarensie, ale czy tych strażników jest tak wielu – może damy sobie z nimi radę?

– Jest ich dwudziestu, o ucieczce nie ma mowy! I po chwili milczenia dodał z wahaniem: – Widzisz, są jeszcze inne przeszkody i to bardzo poważne.

– Jeszcze inne, ale jakie?

– Widzisz, mówią, że... Ale nie, ja nie śmiem, doprawdy nie śmiem tego powiedzieć!

– Ale o co chodzi wreszcie, mój biedny chłopcze? dlaczego się wahasz, dlaczego tak drżysz?

– O, doprawdy postanowiłem ci odkryć tę tajemnicę, powinienem ci to powiedzieć, ale...

– „Ale”, mówże, mów, bądź wreszcie mężczyzną! Powiedz!

Paż wahał się i zwlekał walcząc pomiędzy strachem a chęcią wypowiedzenia się przede mną z tajemnicy. Następnie podszedł na palcach do drzwi, wysunął głowę i nadśluchiwał. W końcu wrócił, przycisnął się do mnie i zaczął opowiadać swoje okropne nowiny czyniąc to z taką obawą i przestachem, jakby samo mówienie o tych rzeczach groziło śmiercią.

– Otóż wiedz, że Merlin będąc ci niechętnym oczarował to podziemie i teraz w całym państwie nie znajdzie się człowiek, który by się ośmielił przestąpić jego progi wraz z tobą.

Teraz zlituj się, Panie Boże, nade mną, powiedziałem ci wszystko! Ale bądź dobry dla mnie, zlituj się nad biednym chłopcem, który ci dobrze życzy. Jeżeli mnie zdradzisz, zginęłam!

Kamień spadł mi z serca. Dawno się już nie śmiałem tak serdecznie jak w tej chwili. Wreszcie ulżywszy sobie zawołałem: – Merlin oczarował podziemie! Merlin to zrobił! Ten nikczemny stary szarlatan, ten stary mamroczący osioł!? Paradne! Doprawdy z niczym bardziej idiotycznym od tej historii nie spotkałem się jeszcze w życiu...! O, przeklęty Merlin...

Ale Klarens nie dał mi skończyć, padł na kolana i zdawało się, że ze strachu gotów jest dostać pomieszania zmysłów.

– O, zlituj się, wymawiasz straszne słowa! mury mogą przywalić nas za nie, cofnij je, dopóki nie za późno, cofnij te bluźnierstwa, bo zginiemy!

Ten dziwny incydent naprowadził mnie na dobrą myśl i skłonił do zastanowienia się. Jeżeli wszyscy tutaj tak szczerze i do głębi duszy, jak Klarens, boją się Merlina uważając go za wszechmocnego czarodzieja, to czy nie można by z tego wyciągnąć pewnych korzyści? Idąc dalej w tym kierunku wyrobiłem sobie pewien plan.

– Wstań – rzekłem do Klarensa – przyjdź do siebie i spójrz mi w oczy. Czy wiesz, z czego się śmiałem?

– Nie, lecz na najświętszą Marię Pannę zaklinam cię, byś tego więcej nie czynił!

– Dobrze, powiem ci jednak, dlaczego się śmiałem. Dlatego, że sam jestem czarnoksiężnikiem.

– Ty?! – chłopiec cofnął się oszołomiony moim oświadczeniem, drżąc na całym ciele. Lecz zarazem spoglądał na mnie z coraz większym szacunkiem. Zanotowałem to sobie. Widocznie szarlatan od razu mógł się stać sławny w tym państwie kretynów. Ten naród był gotów wierzyć wszystkiemu na słowo. Ciągnąłem dalej:

– Znałem Merlina siedemset lat temu i wtedy on...

– Siedemset?...

– Nie przerywaj mi! Umierał i zmartwychwstawał od tego czasu trzynastą razy i podróżował coraz to pod nowym imieniem: Emith, Jehn, Robinson, Jakobson, Peters, Gaskin, Merlin – za każdym razem nowe zmyślane imię.

Znałem go trzysta lat temu w Egipcie, pięćset lat temu w Indiach, spotykałem go wszędzie na swej drodze, był on wszędzie, gdzie tylko się zjawiłem, i przyznam się, że mi się już mocno naprzykrzył. Operuje on tylko kilkoma starymi od dawien dawna wszystkim znanymi sztuczkami i już od setek lat nie jest w stanie zdobyć się na coś nowego; słowem, jako czarownik nie wart jest moich podszew. Nadawałby się do występów na prowincji, lecz nie jest w stanie wytrzymać konkurencji z prawdziwym czarownikiem. A teraz, Klarensie, bądź odanym mi przyjacielem, a nie pożałujesz tego. Musisz mi teraz oddać przysługę; chciałbym, żebyś powiedział królowi, iż jestem wielkim magiem, że imię me brzmi Chaj - Ju -Mukamuk. Ze jestem wodzem plemienia czarodziejów i sprowadzę na kraj wasz straszne klęski, jeżeli stanie się zadość woli sir Keya, tj. jeżeli choć jeden włos spadnie mi z głowy. Czy zgadzasz się donieść o tym królowi?

Biedny chłopak był w takim stanie, że z trudem tylko mógł się zdobyć na odpowiedź. Żał było po prostu patrzeć na to biedne stworzenie – wystraszone, rozstrojone i zupełnie zdezorientowane. Klarens solennie przyrzekł wypełnić moje polecenie, ja zaś ze swej strony musiałem mu kilkakrotnie przyobiecać, że pozostanę jego przyjacielem, że nigdy przeciw niemu nic złego nie poweźmę i nie skieruję nigdy przeciw niemu swych czarów. Potem podreptał ku wyjściu słaniając się jak chory.

Teraz dopiero zrozumiałem, jaki byłem nieostrożny! Kiedy chłopiec oprzytomnieje, przede wszystkim musi mu przyjść do głowy, jakim sposobem tak wielki czarodziej mógł prosić taką istotę bez znaczenia, jak paż, o dopomożenie mu w wydostaniu się z lochu. Zestawiwszy me słowa z rzeczywistością zobaczy jak na dłoni, że jestem zwykłym szarlatanem.

Okolo godziny rozpaczalem z powodu swej nieostroznosci i obsypywalem siebie samego krociami najordynarniejszych wymyslów. Lecz pozniej wpadlo mi przypadkowo na mysl, ze przeciez te bydlęta nie posiadajace najmniejszej inteligencji nie potrafia rozumowac. Nigdy nic nie zestawiaja ze soba i nielogiczności nie istnieja dla nich, widać to ze wszystkiego, com dotad zaobserwowal i slyszal.

Wobec tego uspokoilem sie i czekalem. Lecz ten spokój natychmiast zmanila nowa troska. Toz popelnilem jeszcze jeden blad nie do naprawienia. Przekonalem chłopca o swojej wszechmocy i polecilem mu obwieścić o mym zamiarze zesłania kleski na kraj. Przypuscimy ze zaczną ze mną pertraktowac i zapytaja, jaka kleska im groze? Tak, bezwzględnie popelnilem niewybaczalny blad. Co nalezalo zrobic przede wszystkim, to wymyslisc tę kleske!

Co teraz poczac? czy bede w stanie wymyslisc cos w ciagu tak krótkiego czasu? Bylem okropnie wzburzony... Lecz oto slychac kroki! Ida. Boze moj, jezliby mi w tej chwili udalo sie cos wymyslisc...

Eureka! Mam! wymyslilem! teraz wszystko jest w porzadku... Zaćmienie. Mysl o nim przysla mi do glowy w ostatecznym momencie. W ten sam sposob w jaki uratowalo ono Kolumba, Korteza i innych ludzi w podobnym do mojego polozeniu, podobnie ocali mnie. I pomysl moj wyzyskania zaćmienia nie bedzie nawet plagiatem, poniewaz skorzystam zeń o tysiac lat przed nimi. Klarens wrócił smutny i przygnębiony.

– Pośpieszyłem ze zleceniem twym do króla i zostałem przyjęty przez niego natychmiast.

Król przelakł się ogromnie i chcial cię uwolnić i ubrac w najlepsze szaty, jakie przystoi nosić tak wielkiemu człowiekowi, lecz przyszedł Merlin i wszystko popsuł. Zapewniał on króla, że jesteś obłąkany i że słowa twoje są bredniami szaleńca. Król i Merlin długo się sprzeczali, dopóki ten ostatni powiedział drwiąco: „Czy przynajmniej wymienił on tę kleskę, którą nas straszy? Najwidoczniej nie jest w stanie tego uczynić!” To powiedzenie od razu zamknęło królowi usta, gdyż nie mógł się nie zgodzić ze słusnością jego słów. A więc król nie chce ciebie rozgniewać, lecz prosi, byś nie odmówił mu i odkrył, jakiego rodzaju to nieszczęście i kiedy się zdarzy. O, błagam cię, nie zwlekaj! Zwlekać w obecnej chwili, to znaczy utysiąc-krotnie niebezpieczeństwo, które ci i tak grozi! Bądźże miłosierny i nazwij tę kleskę!

Milczałem przez pewien czas, by wrażenie się jeszcze wzmogło:

– Kiedy zostałem wrzucony do tego lochu?

– Wczoraj o zmierzchu, teraz jest dziesiąta rano.

– Nie może być! To znaczy, że niezgorzej spałem. Dziesiąta rano. Do północy może zajść jeszcze wiele komplikacji. Czy dziś jest dwudziesty?

– Tak, dwudziesty.

– A jutro mam być spalony żywcem?

Chłopiec milcząco skinął głową.

– O której?

– W samo południe.

– Więc teraz słuchaj uważnie, co masz powiedziec. Przez długą chwilę zachowywałem złowróżbne milczenie. Potem zacząłem mówić głębokim, miarowym głosem sędziego, odczytującego wyrok, stopniowo podnosząc głos do najbardziej patetycznego i uroczystego napięcia. Słowo daję, grałem swą rolę tak, jak gdybym przez całe życie niczym innym się nie zajmował.

– Pójdź i donieś królowi, że w chwili, gdy wydam ostateczne tchnienie, zniknie słońce i świat się pograży w głębokim czarnym mroku.

Zaćmię słońce i ono już nigdy nie będzie wam świecić. Wszystkie plody ziemi zgniją z braku ciepła i światła, a ludzie wymrą co do jednego z głodu i chłodu!

Zmuszony byłem na rękach wynieść zemdlonego chłopca.

Oddałem go straży i wróciłem do siebie.

6

Zaćmienie

Wśród ciszy i półmroku panującego w podziemiach, pomysł mój wydawał mi się coraz bardziej realny. Fakt nie przemawia do nas, dopóki się o nim tylko wie, lecz z chwilą, gdy się zaczyna ucieleśniać, nabiera jaskrawych i żywych kolorów rzeczywistości. Inaczej się przyjmuje wiadomość o czyimś zabójstwie, a inaczej się reaguje na widok krwi. W ciszy i ciemności fakt, że się znajduję w śmiertelnym niebezpieczeństwie, coraz głębiej przenikał do mojej świadomości, cał za całem przedostawał się do najdalszych zakątków mego jestestwa. Lecz przezorna przyroda zawsze tak wszystko urządza, że w ostatniej, chwili, gdy już człowiek pogrąża się ostatecznie w otchłań rozpacz, zjawia się jakiś promień nadziei, który go budzi do życia. Znowu zjawia się radość życia i energia, która pobudza do przedsięwzięcia wszystkiego, co jest w ludzkiej możliwości, dla ratowania własnego życia. Odżyłem w jednej chwili. Zaćmienie uratuje mnie i uczyni główną osobą w państwie. Ożywienie me wzrastało, a wraz z nim wracała bez troska i pewność siebie. Czuję się teraz najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Z niecierpliwością czekałem na dzień jutrzejszy chcąc zostać świadkiem własnego tryumfu i stać się przedmiotem szacunku i podziwu całego kraju.

Nie ulega wątpliwości, że człowiek z głową na karku nigdy nie przepadnie.

Tymczasem w głębi mej świadomości powstała nowa myśl. Przecież, kiedy ci zabobonni ludzie dowiedzą się jakiego rodzaju czynem im zagrażam, zechcą z całą pewnością wejść ze mną w układy.

W tej samej chwili usłyszałem dźwięk zbliżających się kroków i myśl o układach całkowicie zawładnęła mym umysłem. „Doskonale” powiedziałem sobie, „już idą proponować mi swoje warunki. Jeżeli będą mi odpowiadały, to je przyjmę, jeśli zaś nie, to wszystko postawię na jedną kartę”.

Drzwi szeroko się rozwarły, weszło kilku żołnierzy. Dowódca ich powiedział:

– Stos gotów. Chodź za nami!

– Stos!!!

Cała odwaga opuściła mnie w jednej chwili, tchu mi zabrakło, omal nie zemdlałem. Kiedy odzyskałem mowę, zapytałem:

– Ale przecież to pomyłka, egzekucja jest wyznaczona na jutro.

– Rozporządzenie zostało zmienione. Karę śmierci przeniesiono na dziś, śpiesz się!

Zginałem! Nie było ratunku. Straciłem głowę i rzucałem się z kąta w kąt w swej ciemnej klatce. Wreszcie żołnierze schwycili mnie i zaczęli pchać ku wyjściu. Przy pomocy szturchańców przeprowadzili mnie nieskończonym labiryntem korytarzy aż do wyjścia. W pierwszej chwili zostałem oślepiony jaskrawym dziennym światłem. W chwili, gdyśmy weszli na obszerny, ze wszystkich stron ogrodzony dziedziniec zamku, opanowałem się widząc stos przygotowany pośrodku dziedzińca. Obok leżał rozrzucony suchy chrust, a kilka kroków od stosu stał mnich. Z czterech stron dziedzińca wznosiły się amfiteatralnie położone rzędy ław.

Król i królowa siedzący na tronach zwracali na siebie powszechną uwagę. Wszystko to spostrzegłem w oka mgnieniu. Bo już po chwili z jakiejś wnęki wyśliznął się Klarens, podbiegł do mnie i zaczął mi szeptać na ucho mnóstwo nowin. W oczach jego świeciła radość i tryumf.

– To dzięki mnie rozkaz został zmieniony, bardzo trudno było dojść z nimi do ładu, lecz przedstawiłem im cały ogrom klęski i udało mi się ich nastraszyć. Wtedy zacząłem ich przekonywać, że twoja władza nad słońcem osiągnie pełnię dopiero jutro, wobec czego, jeżeli

chcą ustrzec się przed nieszczęściem, to powinni się ciebie pozbyć dziś, dopóki twa czarodziejska moc nie jest w stanie dokonać groźnego czynu. Rzecz jasna, że to wszystko było błagą, moją własną fantazją, lecz żebyś widział, jakie to wywarło na nich wrażenie. Nieżywi ze strachu, gotowi byli uważać mą radę za głos z nieba. W pierwszej chwili pękałem ze śmiechu, że tak łatwo mi przyszło ich nabrać, lecz później zacząłem dziękować Bogu za to, że zechciał powołać mnie, małe mizerne stworzenie, do uratowania twego życia. Ach, jak teraz będzie dobrze! już nie ma potrzeby niszczyć blasku słonecznego. Zrób tylko krótkotrwałą ciemność, tylko na chwilę zaciemnij słońce, a później przywróć je ziemi. To będzie zupełnie dostateczna kara dla nich. Naturalnie spostrzegą, że mówiłem nieprawdę, ale pomyślą, że nic nie wiem, i to mi nie zaszkodzi. Kiedy tylko najmniejszy cień padnie na słońce, zaczną wariować ze strachu, uwolnią ciebie i zostaniesz wielkim człowiekiem. Więc spiesz się, przyjacielu, lecz pamiętaj, błagam cię, pamiętaj o mojej prośbie i nie niszcz słońca!

Przybity ogromem własnego nieszczęścia zaledwie mogłem wymówić kilka słów i pocieszyć go, iż słońce będzie nadal świecić, jak świeci. Jego błagalny wzrok pełen miłości i trwogi wzruszył mnie nawet w tej chwili, nie miałem wprost odwagi powiedzieć mu, że jego nierozsądny postępek jest przyczyną mojej śmierci. Dopóki straż prowadziła mnie przez dziedzińiec, dookoła panowała tak idealna cisza, że gdybym był ślepy, mógłbym myśleć, że idę przez pustynię, nie zaś przez plac wypełniony kilkoma tysiącami osób. W tym olbrzymim tłumie nie można było spostrzec najmniejszego ruchu, wszyscy byli bladzi i zastygli nieruchomo jak posągi. Przerażenie widniało na każdej twarzy. To samo milczenie trwało, gdy mnie przywiązywano do słupa, gdy skrupulatnie męcząco długo układano chrust wokół moich nóg, kolan i całego mego ciała. Nastąpiła martwa cisza, jeszcze większa niż wprzódy, Jeżeli to jest możliwe – kiedy człowiek schylił się ku moim nogom z płonąca pochodnią. Wszyscy wyciągnęli szyje naprzód i wstali z miejsc zupełnie tego nie spostrzegając. Mnich podniósł ręce nad moją głowę, zwrócił oczy ku lazurowemu niebu i zaczął wymawiać jakieś łacińskie słowa. Trwając nadal w tej pozycji nagle zaczął się jąkać coraz bardziej i bardziej, aż w końcu zamilkł. Czekałem przez pewien czas na pół omdlały i wreszcie spojrzałem na niego. Stał jak wryty. Tłum cały zerwał się z miejsca i zwrócił wzrok ku niebu. Poszedłem za ogólnym przykładem. Moje zaćmienie się rozpoczęło! To było nie mniej pewne niż to, że istnieję. Serce znowu mocniej zabiło mi, czułem się jak nowonarodzony. Czarna plama powoli nasuwała się na słoneczny dysk, serce me biło coraz silniej i silniej, a całe zebranie wraz z mnichem wciąż nieruchomo patrzyło w górę. Wiedziałem, że niebawem te osłupiałe spojrzenia skierują się na mnie. Byłem na to przygotowany. Przybrałem majestatyczną pozę i wyciągnąłem rękę ku słońcu. Efekt był zdumiewający. Dreszcz na kształt fali przebiegł po tłumie. Rozdarły się dwa okrzyki, jeden po drugim:

– Podpalić stos!

– Zabraniam!

Pierwszy wydarł się z ust Merlina, drugi z ust króla.

Merlin zerwał się z miejsca, ażeby chwycić pochodnię. Wówczas odezwałem się:

– Niech wszyscy pozostaną na swoich miejscach. Jeżeli choćby jeden człowiek ośmieli się zrobić krok, to zabiję go piorunem i spalę błyskawicą!

Tłum pokornie powrócił na swoje miejsca. Zaczekałem jeszcze chwilę. Czułem się jak na rozżarzonych węglach. Ale Merlin również się wahał. Odetchnąłem. Obecnie byłem panem sytuacji. Król zwrócił się do mnie:

– Zlituj się, bądź miłościw nam, szlachetny sir, dość już tych okrutnych prób, połóż kres kłęsce. Powiedziano mi, że twoja potęga osiągnie pełnię dopiero jutro, ale...

– Ale Wasza Wysokość nie pomyślała, że to doniesienie może być kłamliwe? Tak – ono było kłamliwe.

Oświadczenie moje wywołało ogromne wrażenie. Zewsząd wyciągano ręce do króla błagając, by nie liczył się z ceną i zażegnał nieszczęście. Król bez sprzeciwu godził się na wszystko.

– Wymień swe warunki, o sir, gotów ci jestem dać choćby połowę swego królestwa, połóż tylko kres swemu gniewowi i zostaw nam słońce!

Los mój został rozstrzygnięty. W jednej chwili udało mi się opanować ten wielotysięczny tłum. Lecz powstrzymać zaćmienia nie mogłem i dlatego poprosiłem o parę chwil namysłu.

– Czy prędko, czy prędko, dobry panie? – błagalnie pytał król. – Bądź szlachetny, mrok zgęszcza się z chwili na chwilę. Proszę cię, nie zwlekaj.

– Prędko. Może godzina, może pół godziny. Ze wszech stron dały się słyszeć protesty, lecz nie mogłem skrócić terminu, gdyż nie pamiętałem, jak długo trwa pełne zaćmienie. Znowu znalazłem się w trudnej sytuacji wymagającej namysłu.

Było coś dziwnego w tym nieoczekiwanym zaćmieniu, które przyszło mi z pomocą. Jeżeli nie było ono tym, które miało miejsce w VI wieku, miałożby to wszystko znowu okazać się tylko snem? Mój Boże, gdyby istotnie tak było! Wstąpiła we mnie nowa nadzieja. Jeżeli chłopiec powiedział prawdę, że dziś jest dwudziesty, to teraz nie jest VI stulecie.

Szturchnąłem mnicha i zapytałem, którego dzisiaj mamy? Przekleństwo!!! Odpowiedział, że jest dwudziesty pierwszy! Poczulem, jak cierpnie mi skóra. Zapytałem, czy się nie myli, lecz mnich był pewien swego. Ten lekkomyślny smarkacz wszystko pokręcił! Właśnie tego dnia miało być zaćmienie, właśnie teraz się rozpoczynało i było w tej chwili bliskie pełni. A więc, byłem na dworze króla Artura i nic mi nie zostawało innego, jak pogodzić się z tym faktem wyciągając zeń wszystkie możliwe konsekwencje,

Tymczasem ciemność wzrastała coraz bardziej i bardziej. Wśród zebranych tłumów dawał się odczuwać coraz większy niepokój.

– Wasza Królewska Mość! – odezwałem się wreszcie po namyśle. – Ażeby dać należytą nauczkę, przeciągnę mrok i ześlę go na całą ziemię, lecz czy wrócę słońce, czy też zgładzę je na wieki, to będzie zależało tylko od Waszej Królewskiej Mości. Oto moje warunki. Królu Arturze, będziesz nadal władał całym państwem i nadal naród będzie obowiązany składać ci hołdy należne twojej godności. Lecz żądam, żebyś mianował mnie swym dożywotnim zarządcą i wykonawcą królewskich rozporządzeń i abys polecił wypłacać mi 1% z przyrostu wszelkich dochodów państwa, które mam nadzieję ci dostarczyć. W razie, gdyby suma okazała się niedostateczną, obowiązuję się nie żądać podwyżki. Czy przyjmujesz te warunki?

Ryk tłumu i szalony wybuch oklasków były odpowiedzią na moje propozycje. Nad krzykami górował głos króla, mówiącego:

– Zdejmijcie zeń sznury! zwolnijcie go! składajcie mu hołdy moźni i ubodzy, gdyż staje się od dziś prawą ręką króla, a miejscem jego będzie najwyższy stopień tronu! Rozpędź teraz ten okropny mrok, zwróć nam światło i radość, a cały świat będzie cię błogosławił!

Lecz na to odpowiedziałem:

– Nic to, jeśli zwykły śmiertelnik zostanie pohańbion przed wszystkimi, lecz hańba temu królowi, którego minister nago stoi przed ludem. Rozkaż więc przede wszystkim, żeby przyniesiono moje ubranie!

– Ono nie jest godne ciebie – przerwał mi król – Przynieście mu inną odzież, włóżcie nań książęce szaty.

Przez cały ten czas myśl moja uporczywie pracowała. Musiałem wymyślić szereg przeszkód, gdyż w przeciwnym razie zaczną ponownie mnie prosić, bym powrócił słońce i oczywiście nie będę w stanie tego uczynić... Ceremonia ubierania zajęła pewien czas, ale tego było mało. Wymyśliłem nową zwłokę. Powiedziałem, że nie przystoi królowi zmienić dane już raz przezeń rozporządzenie lub żałować obietnicy, i dlatego daję mu jeszcze czas do namysłu i z tego powodu przedłużam ciemność. Po upływie pewnego czasu król potwierdzi swoje posta-

nowienie i wówczas mrok zniknie. Wszyscy protestowali przeciwko mojej decyzji, lecz twar-
do przy niej stałem.

Mrok stawał się coraz gęstszy i czarniejszy, gdy wkładałem na siebie szaty VI stulecia. Nastąpiła zupełna noc, zimny wiatr przeleciał nad tłumem, zabłyśły gwiazdy na niebie i do-
okoła zabrzmiały okrzyki przerażenia i rozpacz. Zaćmienie już było w pełni i popłoch bez
przerwy się wzmagał. Wówczas rzekłem:

– Król milczeniem potwierdza swoje obietnice.

Podniosłem ręce trzymając je przez pewien czas ponad głową, po czym rzekłem przeraża-
jąco uroczystym głosem:

– Zdejmuję czary i niech przeminie klęska!

Chwilę jeszcze panował mrok i grobowa cisza. Ale oto po chwili ukazał się złoty brzeżek
słońca i tłum zaczął wznosić okrzyki wdzięczności, zachwytu i błogosławieństwa. Należy
dodać, że wśród ludzi wnoszących okrzyki na moją cześć Klarens nie odegrał ostatniej roli.

Wieża Merlina

Ponieważ byłem drugą osobą w państwie i reprezentowałem zarówno władzę polityczną jak i wszelką inną, przeto składano mi hołdy odpowiadające memu wysokiemu stanowisku. Ubrano mnie w odzież z jedwabiu i aksamitu, haftowaną złotem, co czyniło ją ogromnie niewygodną. Na skutek konieczności jednak, prędko się do tej niewygody przyzwyczałem. Co do pomieszczenia – to wyznaczono dla mnie w pałacu najpiękniejsze komnaty ustępujące przepychem jedynie królewskim apartamentom. Było w nich duszno od jedwabnych zasłon na oknach, pstrych i krzyczących. Na podłodze jednak zamiast dywanów leżała najrozmiar-szych rodzajów trzcina.

Co się zaś tyczy najbardziej elementarnych wygod, to były one tu całkiem nieznanne. Maszynne dębowe krzesła były co prawda ładne, ale siedzenie na nich traktować należało jedynie jako łagodny rodzaj tortur. Ani mydła, ani zapalek, ani lustra tu nie znano. Miał tego ostatniego używano metalowych blatów, lecz przejrzeć się w nich można było mniej więcej z tym samym powodzeniem, co w misce z wodą.

I przy tym – ani jednej chromolitografii! Gdy byłem w fabryce, sam zajmowałem się tą sztuką i przyzwyczałem się ją niejako uważać za część samego siebie. Smutek mnie ogarniał, gdy patrzyłem na otaczający mnie przepych i wspaniałość i martwe, nagie ściany. Z żalem niekiedy przypominałem sobie swoje skromne mieszkanko w Hartfordzie, gdzie nie było pokoju, który by nie był odzobiony chromolitografią lub przynajmniej znanym trójkolorowym obrazkiem „Niechaj Bóg błogosławi ten dom” wiszącym nade drzwiami. W salonie u nas wisiało dziewięć chromolitografij, zaś tutaj w mej olbrzymiej sali przyjęć nie było niczego podobnego do obrazka z wyjątkiem czegoś w rodzaju wielkiej tkanej czy haftowanej kołdry miejscami zacerowanej. Na tym dziele sztuki zresztą nie było ani jednej figury, ani jednej jednej żywej barwy.

Co się zaś tyczy jej proporcji, to sam Rafael przeraziłby się nią, nawet po swoim koszmarnym obrazie znanym pod nazwą słynnego Kartonu Southamptońskiego Dworu. Ma on poza tym jeszcze kilka dziwacznych obrazów. W ogóle jest dla mnie czymś całkowicie niezrozumiałym to zachwycanie się sztuką Rafaela; malował on, jak ptak śpiewa; wszystkie jego obrazy są mdłe i cudaczne.

W zamku nie było oczywista dzwonek. Miałem co prawda wiele sług, ale kiedy któryś z nich był mi potrzebny, musiałem sam chodzić i szukać ich po korytarzach, gdzie wiecznie sterczeli.

Nie było ani gazu, ani świec; naczynia z brązu wypełniane do połowy wstrętną oliwą z pływającą wewnątrz palącą szmatką stanowiły jedyne oświetlenie. Bardzo wiele tych naczyń wisiało na ścianach, lecz światło ich nie wystarczało, by rozproszyć ciemności. Gdy się wychodziło w nocy, słudzy musieli oświetlać drogę pochodniami.

Nie było ani książek, ani atramentu, ani szkła w otworach, zwanych oknami. Lecz najbardziej dawał się odczuć brak takich niezbędnych produktów, jak herbata, cukier, kawa i tytoń. Wydawało mi się, że jestem drugim Robinsonem Crusoe, który trafił na bezludną wyspę zamieszkałą przez mniej lub więcej oswojone zwierzęta z trudem tylko mogące zastąpić ludzkie towarzystwo. Ażeby uczynić swą egzystencję znośną, musiałem tworzyć wszystko od nowa, czynić wynalazki i odkrycia. Zmuszony byłem wyteżać swój umysł i pracować rękoma, musiałem przekształcać wszystko dookoła. Lecz to właśnie bardzo przypadało mi do gustu i odpowiadało mej naturze.

Jedno tylko niepokoiło mnie początkowo, to mianowicie, iż za wiele zaciekawienia wzbudzam w narodzie. Sądząc ze wszystkiego, cały kraj postanowił mnie obejrzeć. Wkrótce bowiem stało się wiadome, iż zaćmienie wzbudziło nieopisany popłoch wśród całego ludu i że cały kraj, jak daleko sięga, znajdował się w panicznym przestraszeniu. Wszystkie klasztory, kościoły i cele pustelnicze przepełnione były wznoszącą modły ludnością, płaczącymi istotami, które święcie wierzyły, że nadchodzi koniec świata. Następnie zaczęły krążyć wiadomości, że przyczyną całego wydarzenia był cudzoziemiec, potężny czarownik na dworze króla Artura. Zgasił on słońce jak świecę, gdy grożono mu śmiercią, lecz zdjął czary, za co sławią go teraz i za co powszechnie jest wielbiony i czczony jako człowiek, którego potęgą uratowała ziemię od zniszczenia a ludzkość od głodowej śmierci. Jeżeli zaś teraz czytelnik sobie wyobrazi, że nie było człowieka, który by nie tylko ślepo nie wierzył temu wszystkiemu, ale który by choć na chwilę śmiały wątpić w prawdziwość tego cudu, to zrozumie, że każdy starał się za wszelką cenę ujrzeć potężnego czarownika. Mówiono wyłącznie o mnie, wszystko pozostałe było zapomniane, nawet król został usunięty na drugi plan. W ciągu dnia i nocy zewsząd przybywali posłowie i wysłannicy. Prosty lud tłumem szedł w kierunku zamku. Przeszło dwanaście razy dziennie zmuszony byłem ukazywać się tłumom ze czcią i nabożeństwem wpatrzonym we mnie. Było to nieco nużące i uciążliwe, chociaż nie można powiedzieć, by przykre było cieszyć się tak rozległą sławą i być przedmiotem ogólnych hołdów. Merlin zieleniał z zazdrości i złości, co również sprawiało mi niemałą przyjemność. Nie rozumiałem jednego tylko: dlaczego nikt nie prosił mnie o autograf. Poruszyłem tę kwestię, mówiąc kiedyś z Klarenssem. Lecz, mój Boże, ile ogromnego wysiłku kosztowało mnie wyjaśnić mu, o co mi chodzi! Zrozumiawszy wreszcie, o czym mówię, oświadczył mi, że w całym państwie prócz dziesiątka mnichów nikt absolutnie nie umie ani pisać, ani czytać. W całym kraju! Proszę to sobie tylko wyobrazić!

Była jeszcze jedna okoliczność, która wprowadzała mnie w pewne zakłopotanie. Cały ściągający tu zewsząd lud bezwzględnie oczekiwał ode mnie jakiegoś nowego cudu. Było to zresztą zupełnie naturalne. Przyjemnie jest mieć możliwość pochwalenia się w kole swoich znajomych i bliskich, że się widziało własnymi oczyma człowieka, któremu posłuszna jest ziemia i niebo, przyjemnie jest opowiadać o tych wszystkich cudach sąsiadom i wzbudzać w ten sposób ich zazdrość. Lecz o ile wzrosła ta przyjemność, jeżeli się obejrzy na domiar wszystkiego cud dokonany przez tak wielkiego człowieka! Nastrój był w najwyższym stopniu naprężony. Miałem co prawda na podorędziu zaćmienie księżyca i wiedziałem dokładnie, kiedy nastąpi, lecz zostawało doń jeszcze dwa lata. Gotów bym był ofiarować wszelkie możliwe prerogatywy, gdyby się pośpieszyło, gdyż w tej chwili był na nie olbrzymi popyt. Złościło mnie, że nastąpi wtedy, gdy nikt zeń nie będzie mógł wyciągnąć takich korzyści, jakie bym obecnie mógł wyciągnąć ja.

Gdyby miało nastąpić za miesiąc, potrafiłbym jakoś grać na zwłokę przygotowując wszystkich do wielkiego nowego cudu, lecz obecnie nie widziałem nic, co by mogło służyć podporą mojej reputacji czarnoksiężnika. A tymczasem Klarens niejednokrotnie mówił mi, że Merlin podjudza lud przeciwko mnie nazywając mnie szarlatanem, który oszukuje ludzi i nie jest w stanie dokonać żadnego cudu. Należało działać i wobec tego zacząłem obmyślać nowy plan. Korzystając z nadanej mi władzy uwięziłem Merlina w baszcie, w tym samym lochu, do którego niegdyś zostałem wrzucony. Następnie obwieściłem przez heroldów, że w ciągu dwóch tygodni będę zajęty różnymi państwowymi sprawami, a w końcu tego terminu ześlę ogień z nieba i obrócę basztę Merlina w popiół. I niechaj się strzegą wszyscy rozpowszechniający o mnie oszczercze wieści oraz ci, którzy tych bzdur słuchają. Tych zaś, którzy by się nie zadowolili mającym nastąpić cudem, przyrzekłem zmienić w konie robocze i zaprząć do najcięższej pracy. Po tej mojej odezwie zapanował spokój.

Częściowo wtajemniczyłem w swoje sprawy Klarensa, który musiał mi dopomóc w pracy. Powiedziałem mu, że cud, którego mam zamiar dokonać, wymaga pewnych przygotowań.

Lecz dodałem, że nagła śmierć grozi temu, kto będzie o tych przygotowaniach opowiadał. Ostrzeżenie uśmierzyło jego wrodzony pociąg do gadulstwa. W najgłębszej tajemnicy, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, sporządziliśmy pewną ilość prochu, po czym przy pomocy zaufanych ludzi postawiłem na baszcie piorunochron i przeciągnąłem druty. Stara kamienna baszta była w gruncie rzeczy ruiną, ale o bardzo masywnej strukturze – pamięć o niej sięgała jeszcze rzymskich czasów i obliczano, że ma około czterystu lat. Bluszcz spowijał ją od stóp do wierzchołka i nie bacząc na nieco prymitywne zarysy wyglądała bardzo efektownie. Stała na samotnym odosobnionym wzgórzu, mniej więcej pół mili od zamku, lecz doskonale była zeń widziana.

Pracując po całych nocach nadzialiśmy całą basztę prochem, kładliśmy go nawet w ściany, które u podstawy dosięgały piętnastu cali grubości. Do każdego otworu wsypaliśmy co najmniej kwartę prochu. Z taką ilością można było wysadzić nawet Wieżę Londyńską. Trzynastej nocy skierowaliśmy piorunochron na całą górę prochu i przeprowadziliśmy druty do wszystkich szczelin zapełnionych prochem. Po moim oświadczeniu wszyscy omijali basztę z daleka, lecz czternastego dnia uważałem za wskazane ponownie uprzedzić wszystkich przez heroldów, by nie podchodzili do baszty bliżej niż na jedną czwartą wiorsty. Jednocześnie został obwieszony termin dokonania cudu. Chorągwie oraz pałające pochodnie ostrzegały wszystkich przybyłych tu zewsząd gapiów. Burze zdarzały się ostatnio codziennie, więc nie lękałem się niepowodzenia. Na wszelki wypadek wymówiłem sobie jednak jeszcze dwa dni zapasowe powołując się na ważne sprawy państwowe i oświadczając, że lud może jeszcze trochę poczekać. Jak na złość dzień wypadł jasny i słoneczny, zdaje się, że po raz pierwszy od dwóch tygodni. Odosobniwszy się obserwowałem niebo. Od czasu do czasu urywał się do mnie Klarens ogromnie zdenerwowany, by mi oświadczyć, iż ogólne podniecenie wzrasta coraz bardziej i bardziej.

Wszystkie okolice zamku, jak daleko oko sięgało, były zapełnione zbitą masą ludzi. Lecz oto powiał wiatr, ukazała się chmura, w tej samej chwili zaszło słońce. Chmura nabrzmięwała, mrok zgęszczał się i doszedłem do wniosku, że nadszedł czas, by się ukazać ludowi. Rozkazałem rozpaść pochodnie na baszcie, uwolnić Merlina i sprowadzić go do mnie. Po upływie kwadransa zeszedłem na dziedziniec, gdzie znalazłem króla oraz cały dwór, wszystkich wpatrzonych w basztę Merlina. Mrok spotęźniał do tego stopnia, że nie widziało się już nic niemal, prócz pochodni, jaskrawo pałających na wzgórku, na murach baszty i rzucających złowrogie odbłaski na część zebranego tłumu i na zazębienia murów zamkowych.

Widok był ogromnie efektowny. Merlin przyszedł ponury i wściekły. Gdy wszedł, zwróciłem się do niego.

– Chciałeś mnie spalić żywcem, gdy ci nie wyrządziłem żadnej szkody, następnie zaś, gdy ci się to nie udało, uporczywie starałeś się podważyć mą reputację. Wobec tego postanowiłem zesłać ogień z nieba i zetrzeć w proch twoją basztę, lecz możesz skorzystać z okazji, jeśli chcesz, pokazać swą przewagę nade mną; weź magiczną laskę i działaj! Przyszła kolej na ciebie, pokaż, co możesz, zniwecz me czary i uratuj swe ruiny.

– Ja wiele mogę, sir, i pokażę, co potrafię! Nie wątp, że unieszkodliwię twoje czary!

Narysowawszy wyimaginowane koło na kamieniach spalił garstkę wonnego proszku, od którego rozszedł się dookoła aromatyczny dym. Wszyscy się mimo woli cofnęli, wielu się przeżegnało; większość czuła się bardzo nieswojo. Potem zaczął coś mamrotać wykonując w powietrzu rękoma jakieś dziwne passy. Poruszał się powoli i monotonicznie, tak że długie i szerokie rękawy jego szat zataczały koła na kształt skrzydeł. Tymczasem burza się wzmagiała, podmuchy wiatru gasiły płomień pochodni i mrok stawał się coraz gęstszy. Spadło kilka wielkich kropel deszczu, błyskawice bez przerwy przesywały czarne niebo. Mój piorunochron lada chwila mógł zacząć działać. Nadszedł decydujący moment.

– Dałem ci dosyć czasu, powiedziałem Merlinowi.. Pozwoliłem ci działać i nie wtrącałem się. Lecz widocznie czary twoje są zbyt słabe. Teraz przyszła kolej na mnie.

Zrobiłem trzy ruchy rąk w powietrzu i nagle rozległ się ogłuszający huk, stara wieża wyleciała w powietrze i całe fontanny ognia przekształciły noc w dzień i oświetliły na przestrzeni co najmniej stu metrów tłumy ludzi w przerażeniu i popłochu padających na ziemię.

Był to prawdziwy cud.

Następnego dnia we wszystkich kierunkach od zamku ciągnęły się niezliczone ślady kół i nóg zostawione w grząskim błocie. Sądzę, że gdybym potrzebował zebrać publiczność do powtórnego cudu, musiałbym się zapewne uciec do pomocy szeryfa.

Akcje Merlina spadły do zera. Król zamierzał początkowo pozbawić go pensji, chciał go nawet skazać na wygnanie, lecz wtrąciłem się do tego. Powiedziałem mu, że Merlin może się przydać do obserwowania i notowania zmian atmosferycznych i do rozmaitych innych drobiazgów. Tam zaś, gdzie jego zdolności czarodziejskie nie wystarczą, już ja go zastąpię. Co prawda z jego baszty nie zostało kamienia na kamieniu, lecz radziłem ją odbudować na koszt państwa, jemu zaś proponowałem, aby założył sobie w niej coś w rodzaju pensjonatu. Jego wysokie stanowisko nie pozwoliło mu jednak się na to zgodzić. Radziłem mu z dobrego serca, gdyż na wdzięczność jego trudno było liczyć. To prawda, że dola jego nie była do pozazdroszczenia. Trudno oczekiwać wdzięczności od człowieka, który stracił za jednym zamachem wszelkie wygody i przywileje wbrew woli ustąpiwszy je komu innemu.

8 Turniej

W Camelocie często odbywały się wielkie turnieje. Były to bardzo interesujące, zabawne i barwne rzezie ludzi, podobnie jak bywa rzeź byków – choć nieco nużące dla rozsądnego umysłu. Pomimo to byłem zawsze na nich obecny, gdyż człowiek nie powinien unikać rozrywek lubianych przez jego przyjaciół, szczególnie, jeśli zajmuje państwowe stanowisko. Poza tym, jako mąż «tanu pragnąłem zbadać turnieje, ażeby wprowadzić do nich w razie potrzeby te lub inne ulepszenia. A propos, muszę powiedzieć, że jedną z pierwszych rzeczy, jaką wprowadziłem, był urząd dla wydawania patentów. Miałem trwałe przeświadczenie, że kraj bez urzędu patentowego i bez przyzwoitych ustaw patentowych będzie zawsze cofał się, zamiast kroczyć naprzód. Turnieje odbywały się niemal co tydzień i niejednokrotnie już rycerze, jak sir Lancelot i inni, proponowali mi wzięcie udziału w nich, lecz wymawiałem się zawsze tłumacząc się brakiem czasu i przyzwyczajenia. Dopóki nawa państwowa jeszcze nie w zupełności sprawnie działa, należy pilnie baczyć na nią i nie wypuszczać steru z ręki.

Jeden z turniejów trwał cały tydzień bez przerwy i przeszło pięciuset rycerzy brało w nim udział. Zjeżdżali się oni w ciągu kilku tygodni. Przybywali konno zewsząd, z najbardziej oddalonych zakątków kraju, nawet zza morza. Wielu przyjechało z damami, w otoczeniu całego dworu i służ. W tłumie tym olśniewającym wspaniałością szat i zbroi odzwierciedlały się najbardziej charakterystyczne cechy owej epoki zarówno pod względem zwierzęcości instynktów i brutalnej rozwiązłości mowy, jak i pod względem dobroduszej obojętności w reagowaniu na wszelkie sprawy etyki, która cechowała tych ludzi. Po całych dniach staczano walki, a po nocach tańczono, śpiewano, grano w kości, a ze szczególnym zamięłowaniem od dawano się pijatyce. Było to milutkie, co się nazywa, spędzanie czasu. Trudno sobie wyobrazić ludzi tego rodzaju. Ławki, zajęte przez szlachetne damy, olśniewały barbarzyńskim przepychem. Kiedy któryś z rycerzy spadał z konia na arenę oblewając się krwią, przesyty drzewcem włóczni grubości swej łydki, wówczas piękne damy zaczynały entuzjastycznie oklaskiwać widowisko i wychylać się na zawody, by mu się lepiej przyjrzeć. Jeżeli zaś jakaś lady ze smutkiem chowała twarz w chustkę do nosa, to można było z pewnością powiedzieć, iż się martwi, że nie może zwrócić uwagi otoczenia na jakąś skandaliczną historię równocześnie się rozgrywającą wśród widzów.

Wszelki hałas w nocy uważałem zawsze za coś arcyniemilego, w obecnych warunkach stosunek mój do tego radykalnie się zmienił: nocny hałas przynajmniej w pewnej mierze zagłuszał chrzęst kości barbarzyńsko amputowanych rąk i nóg połamanych w szrankach poprzedniego dnia. Przede mną przelewano krew i łamano dobrą hartowaną stal, ja zaś marzyłem o tym czasie, kiedy noże i topór zastąpi kilof i motyka mojego stulecia. Tymczasem nie tylko pilnie obserwowałem rozgrywający się co dzień turniej, ale prócz tego opisywałem go szczegółowo pewnemu wykształconemu mnichowi z utworzonego przeze mnie departamentu publicznej moralności i rolnictwa.

Ten ostatni notował moje obserwacje dla przyszłego pisma, które zamierzałem wydawać z chwilą, gdy naród posunie się odrobinę w swym rozwoju. Pierwsze, co jest niezbędne młodemu państwu – to urząd patentowy, szkoła i wreszcie prasa. Prasa ma swoje wady, a nawet ma ich wielką ilość. Lecz jest przy tym jedynym głosem z grobu umarłej nacji, któremu ta zawdzięcza

poniekąd swą prawdziwą nieśmiertelność. Bez gazety nie podobna sobie wyobrazić kulturalnego narodu. Tymczasem postawiłem sobie za zadanie przygotować reporterkę VI stulecia.

Pater był człowiekiem obrotnym i wziął się do rzeczy umiejętnie i rozsądnie. Miał on szczególnie diabelską pamięć do szczegółów, a przy tym doskonale potrafił zachować miejscowy koloryt i charakter epoki. Poza tym klecha potrafił mistrzowsko prawić komplementy rycerzom, naturalnie nie wszystkim, lecz bardziej wpływowym. Potrafił także, jeżeli zachodziła ku temu potrzeba, delikatnie przesadzić, którą to umiejętność nabył będąc odźwiernym u pewnego pustelnika mieszkającego w chlewie i czyniącego cuda.

Wprawdzie w sprawozdaniu mnicha brak było pompy i efektownych ponurych opisów, tak że właściwie mówiąc, nie były one ściśle zgodne z rzeczywistością, lecz jego specyficzne zalety z nawiązką wynagradzały te braki. Jego archaiczny wytworny opis tchnął czarowną wytwornością i przepojony był aromatem ówczesnego krasomówstwa.

Tego dnia zaszedł pewien drobny epizod, brzemienny w nader poważne dla mnie konsekwencje. Zaczęło się to od tego, że Harry szalał w szrankach. Imieniem tym nazywam sir Harretha. Ta pieśzcotliwa nazwa wskazuje, iż jestem dlań jak najprzychylniej usposobiony. Naturalnie, że imieniem tym nazywam go tylko w myśli, gdyż żaden rycerz nie mógłby się zgodzić na taką poufałość względem siebie z mej strony. Ale słuchajcie dalszego ciągu. Siedziałem właśnie w łoży specjalnie udzielonej mi do mojej dyspozycji jako najwyższemu dostojnikowi państwa. Sir Dinadan w oczekiwaniu swej kolei wstąpił do mnie na pogawędkę. Żartowniś ten pasjami lubił mówić ze mną, sądząc, że jako cudzoziemiec nie zdążyłem jeszcze zapoznać się z całym repertuarem jego anegdot, których przeważna część nikogo już prócz niego nie śmieszyła. Co do mnie, to zawsze zachęcałem go do opowiadania dowcipów i czułem nawet głęboką wdzięczność za to, że zwolnił mnie od wysłuchania pewnego kawału, który słyszałem już setki razy i który na nieszczęście był również i jemu znany. Kawał ten jest powtarzany niezmiennie przez wszystkich dowcipnisiów Ameryki od Kolumba aż do naszych czasów. Opowiada on o pewnym prelegencie-humoryście, który bitą godzinę wysiłał się przed prostackimi słuchaczami nie mogąc wywołać ani jednego wybuchu śmiechu. Kiedy wreszcie skończył, zbliżył się doń jakiś siwy prostak, uściskał mu dłoń i oświadczył, że w życiu swoim on i wszyscy obecni nie słyszeli nic zabawniejszego, ale że się bali śmiać, aby nie obrazić prelegenta. W gruncie rzeczy anegdota ta nie zasługuje na specjalną uwagę, a jednak powtarzano ją już dziesiątki, setki, tysiące, miliony i biliony razy we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej. Łatwo więc sobie wyobrazić, jakie uczucie budził we mnie ten uzbrojony od stóp do głów osioł, kiedy odgrzebał nagle z mroku przedhistorycznych czasów, z tego okresu, kiedy jeszcze nawet nie słyszano o pochodach krzyżowych, ten nieszczęśliwy kawał. Zaledwie zdążył mi go opowiedzieć, wywołano go do szranków i sir Dinadan, brzęcząc jak koń obładowany pustymi butelkami, wyszedł z mojej łoży. Oczywiście, że opowiadanie tego dowcipu przez sir Dinadana z lekka mnie zamroczyło. Otworzyłem oczy w chwili, kiedy właśnie sir Harreth, który, jak się rzekło, szalał tego dnia na arenie, powalił go straszliwym ciosem na ziemię. „Mam nadzieję, że jest zabity” wyszeptałem bezwiednie głośno, z nadzieją w głosie. Na nieszczęście, sir Harreth przed chwilą wysadził z siodła sir Sagramora le Desirousa, który znalazłszy się w pobliżu mnie usłyszał te słowa i wziął je do siebie. A jeśli któryś z tych głabów wbił sobie coś do głowy, to nie podobna mu już było tego wyperswadować. Wiedziałem o tym dobrze i nie zadałem sobie nawet trudu tłumaczyć się przed nim. Rozwścieczony rycerz oświadczył, że porachuje się ze mną za jakieś trzy–cztery lata. Jako miejsce spotkania wyznaczył arenę, na której został znieważony. Odrzekłem, że jestem do jego usług natychmiast po jego powrocie z pochodu. Sir Sagramor wybierał się bowiem w pochód krzyżowy. Całe tłumy rycerstwa ruszały podówczas w te pochody. Podróż trwała zazwyczaj kilka lat. Wszyscy ci jegomości szukali gorliwie Świętego Grobu, chociaż nikt z nich nie miał dokładnych wiadomości, w jakim kierunku należy go szukać. Przypuszczam nawet, że w gruncie rzeczy nikt z nich nie miał nadziei go odnaleźć. Co rok szykowała się ekspedycja w

celu znalezienia Grobu, a następnego roku wyruszyła druga na poszukiwanie pierwszej. Było to coś w rodzaju ekspedycji podbiegunowych. Pozostawała mi więc jeszcze jedna nadzieja: że postrzeleńca, który mnie wplątał w całą tę niemiłą historię, wezmą po drodze wszyscy diabli.

9

Początki cywilizacji

Okragły Stół wkrótce dowiedział się o wyzwaniu i powstało wiele hałasu dokoła tej błażej sprawy, która właściwie mogłaby interesować jedynie podrostków. Król był zdania, że powinien natychmiast wyruszyć w drogę na poszukiwanie przygód, ażeby uczynić swe imię sławnym i stać się godnym spotkania z sir Sagramorem po upływie kilku lat. Wymówiłem się, mówiąc, że muszę jeszcze popracować trzy lub cztery lata, aby ostatecznie uporządkować sprawy państwowe. Potem zaś mogę rozpocząć przygotowania. Przypuszczalnie ku końcowi tego terminu sir Sagramor jeszcze nie powróci z krzyżowego pochodu, nie ma więc powodów do marnowania bez potrzeby takiej ilości czasu. Tym sposobem upływie już sześć lat mojej państwowej działalności i myślę, że maszyna państwowa będzie działała tak sprawnie, iż nie dozna szkody z powodu krótkiego odpoczynku, na który sobie pozwolę.

Jak dotychczas, byłem wielce zadowolony z owoców swej pracy.

W najrozmaitszych cichych zakątkach kraju było już wszystko przygotowane do zrealizowania moich projektów przemysłowych, wszędzie gęsto rozsiane były zarodki wielkich fabryk, tych rozsadników przyszłej kultury. Dokoła nich skupiłem wszystkich mniej więcej zdolnych młodych ludzi, których gdziekolwiek spotykałem. Byli oni mymi uczniami i agentami. Rozpowszechniałem wśród nieokrzesanego tłumu znajomość rozmaitych rzemiosł. Zaprowadziłem to wszystko w różnych głuchych miejscowościach, dokąd posyłałem swych agentów i dokąd nikt nie mógł przeniknąć bez specjalnego zezwolenia. Założyłem szkołę dla nauczycieli, coś w rodzaju prowizorycznych szkół niedzielnych. W rezultacie miałem całą sieć niższych zakładów szkolnych w rozmaitych miejscowościach i kilka protestanckich kongregacji – to wszystko w najlepszych warunkach i w kwitującym stanie.

Prócz tego w kraju znajdowały się ogromne ilości pokładów rudy; wszystkie one były królewską własnością. Wydobywano rudę mniej więcej w ten sposób, jak to czynią dzicy. W ziemi kopano jamy i wsypywano minerały do skórzanych worków po tonie mniej więcej dziennie. W nader krótkim czasie postawiłem tę gałąź przemysłu na właściwych podstawach. Tak – mogę śmiało powiedzieć, że osiągnąłem bardzo doniosłe rezultaty w chwili, gdy sir Sagramor rzucił mi swoje wyzwanie. Cztery lata przeszły niepostrzeżenie, mimo że trudno jest sobie wyobrazić w jak uciążliwych warunkach! Przyszedłem do przekonania, że absolutna władza jest ideałem, o ile się znajduje we właściwych rękach. Despotyzm niebios reprezentuje najbardziej doskonałą bez wątpienia formę rządów. Co do ziemskiego despotyzmu byłby on bezwzględnie również doskonałością, gdyby warunki były identyczne, tj. gdyby despota był najdoskonalszym przedstawicielem rasy ludzkiej i mógłby żyć wiecznie. Lecz jeżeli człowiek doskonały musi umrzeć i zostawić władzę w ręku niegodnego dziedzica, wówczas ta forma rządów nie tylko że jest złą formą, ale bodaj że najgorszą. Takie jest przynajmniej zdanie każdego szczerego republikanina.

Moja działalność pokazała, co może uczynić despotyzm mający do rozporządzenia odpowiednie środki.

Mieszkańcy tego nieokrzesanego kraju nie podejrzewali, że pod nosem u nich całą siłą pary pędzi cywilizacja XIX stulecia! Była ona poza polem ogólnego widzenia, lecz istniała jako fakt wielki i niezaprzeczalny. Było to podobne do drzemającego wulkanu, niewinnie wznoszącego swój niedymiący wierzchołek ku czystemu niebu i niczym nie zdradzającego tego piekła, które się kotłuje w jego głębi. Moje szkoły, znajdujące się w stanie embrionalnym cztery lata temu, obecnie osiągnęły pełnię rozkwitu; moje sklepiki prehistoczyły się w wielkie przed-

siębiorstwa handlowe. Tam, gdzie początkowo pracowały dziesiątki ludzi, obecnie pracowały tysiące, zamiast jednego wykwalifikowanego robotnika miałem obecnie pięćdziesięciu. Trzymałem palec na cynglu, jeśli można się tak wyrazić, i lada chwila gotów byłem pociągnąć zań i zalać mrok nocny oślepiającym światłem. Nie miałem jednak zamiaru dokonać gwałtownego przewrotu. Byłoby to mało polityczne. Naród mógłby po prostu nie wytrzymać próby, a panujący kościół zgniótłby mnie swoim ciężarem.

Lecz byłem dość oględny przez cały czas. Wszędzie rozsiani byli moi pomocnicy, których obowiązkiem było podrywać w sposób niepostrzeżony autorytet rycerstwa oraz wykorzeniać rozmaite przesady. Tym sposobem niewzruszenie i uporczywie rozjaśniałem otaczającą ciemność latarnią wiedzy.

Założone przeze mnie szkoły prosperowały jak najlepiej. Lecz jedną z najgłębszych mych tajemnic była wojskowa akademia, którą zazdrośnie chronilem przed oczyma niepoświęconych, podobnie jak i akademię morską urządzoną w jednym z oddalonych portów. Jedna i druga były moją dumą. Klarens mający podówczas dwadzieścia dwa lata był moim głównym pomocnikiem, moją prawą ręką. Był to ogromnie zdolny chłopiec i robota paliła mu się w dłoni. Miałem zamiar użyć go w przyszłości do pracy dziennikarskiej, gdyż wyraźnie dojrzała konieczność pisma i miałem nadzieję wkrótce już rozpocząć wydawnictwo. Klarens byłby głównym współpracownikiem nowo powstałej gazety. Wyrobił już sobie nawet nieco styl dziennikarski, przy czym zabawne było, że mówił językiem VI stulecia, pisał zaś językiem XIX. Obecnie jednak byliśmy pochłonięci pierwszymi próbami założenia telegrafu i telefonu.

Jak większość rzeczy, i tę – a nawet tę szczególnie – starałem się wprowadzić niepostrzeżenie. Całe zastępy ludzi pracowały po nocach na drogach. Przeprowadzali oni druty po ziemi, gdyż stawianie słupów wzdłuż dróg mogło wzbudzić zbyt wiele uwagi. Druty te działały zupełnie sprawnie, gdyż były odizolowane za pomocą specjalnej masy mego wynalazku. Robotnikom wydane było polecenie unikania wielkich dróg.

Co się tyczy ogólnych warunków, w jakich znajdował się kraj, to w niczym się nie zmieniły od czasu mego przybycia. Poza swą działalnością cywilizacyjną, dokonałem zaledwie paru mało istotnych zmian w administracji państwa. Nie wtrącałem się nawet do zbierania podatków, z wyjątkiem tych, które stanowiły dochód państwa. Te ostatnie usystematyzowałem i postawiłem na bardziej realnych i sprawiedliwych podstawach. W rezultacie dochody państwa się potroiły, a ciężar opodatkowania został podzielony pomiędzy wszystkich bardziej równomiernie, tak że kraj z ulgą odetchnął i zewsząd słyszałem słowa podziękowań. Wszystko było na dobrej drodze i znajdowało się w pewnych rękach. Doszedłem do przekonania, że mogę sobie pozwolić na przerwę w pracy. Przy tym król niejednokrotnie przypominał mi, że ustalony termin się kończy – cztery lata już minęły. Była to aluzja odnosząca się do tego, że powinienem wyruszyć w drogę w pogoń za przygodami i zdobyciem sławy, aby móc dostąpić honoru zmierzenia się z sir Sagramorem. Ostatni nie powrócił dotychczas jeszcze z krzyżowego pochodu, ale kilka ekspedycji poszukiwało go i miano nadzieję, że go odnajdą jeszcze w tym roku. Co do mnie, byłem gotów do wyruszenia w drogę; rada króla nie była dla mnie niespodzianką.

10

Yankes w pogoni za przygodami

Zapewne w żadnym kraju na całej kuli ziemskiej nie było tylu wędrownych gaduł obojga płci, co tutaj. Nie było miesiąca, ażeby nie zjawił się jakiś włóczęga naładowany różnymi bujdami o jakichś królewnach i tym podobnych istotach, wzywających pomocy i obrony. Trzeba było uwalniać je z jakichś nieznanych zamków, gdzie usychały w niewoli u jakichś łotrów, przeważnie olbrzymów.

Byłoby zupełnie naturalne, oczywista, ażeby król wysłuchawszy opowieści przybysza zażądał jakichś listów uwierzytelniających lub czegoś podobnego, a przynajmniej wskazówek, gdzie się zamek znajduje, jaką najbliższą drogą do niego można trafić itd. Ale gdzie tam! Nikomu nawet do głowy nie przychodziła taka prosta zdawałoby się myśl. Na odwrót, pochłaniano całą tę blagę nie zasięgając żadnych informacji.

I otóż pewnego razu, gdy byłem w zamku, przybyła tam pewna dziewczyna i opowiedziała bajkę zwykłej treści. Jej pani, trzeba wam wiedzieć, znajdowała się w niewoli w wielkim zamczysku w towarzystwie ni mniej ni więcej, tylko czterdziestu czterech przepięknych dziewczec, z których ona była najpiękniejsza. Wszystkie one już od dwudziestu lat więdły w tej okrutnej niewoli.

Panami zamku byli trzej bracia wielkoludy, z których każdy miał po cztery ręce i po jednym oku pośrodku czoła, wielkości owocu. Jakiego owocu – nie wiadomo. Taka była zazwyczaj ścisłość podobnych opowiadań.

Trudno temu uwierzyć! Ale w królu i w całym Okrągłym Stole ta nadzwyczajna okazja do popisania się swą odwagą wywoływała dziki zachwyty. Każdy z tej kompanii namiętnie pragnął uczestniczyć w owej awanturniczej przygodzie i prosił o powierzenie mu tej misji. Lecz ku ich niezadowoleniu i zmartwieniu król powierzył ją osobie, która ani myślała o to prosić. Tą osobą byłem ja. Łatwo zrozumieć, że udało mi się jedynie z dużym wysiłkiem powstrzymać od wybuchów radości, gdy Klarens przyniósł mi tę wiadomość. Lecz dawny paż zupełnie nie panował nad sobą. Nie przestawał zachwycać się i wychwalać króla, który uszczęśliwił mnie dowodem tak ogromnej łaski i zaufania. Nie mógł on literalnie powstrzymać rąk ani nóg, które bez przerwy wykonywały najbardziej zawrotne piruety.

Co do mnie, to wysiłek jaki czyniłem, aby nie objawiać swojej radości, nie kosztował mnie znów zbyt wiele trudu. Prawdę mówiąc pieniełem się w duchu ze wściekłości myśląc o tej idiotycznej przygodzie i z trudem ukrywałem to pod maską spokojnego zadowolenia. Zdaje się, że nawet powiedziałem, iż się ogromnie cieszę. Być może, że było to do pewnego stopnia prawdą. Byłem zadowolony o tyle, o ile może być zadowolony człowiek, któremu wypatroszono wnętrzności. Lecz tracenie czasu na bezpłodne biadanie nie było moim zwyczajem, trzeba było nie zwlekając wziąć się do rzeczy. Posłałem po winowajczynię tej historii. Przyшла dziewczyna dość miła, jak można było sądzić, skromna i pocziwa, ale jeżeli chodzi o jej zeznania, zapewne nie bardziej ścisła niż pierwszy lepszy damski zegarek.

– Posłuchaj, moja droga – zapytałem ją urzędowym tonem – czy ktoś cię prywatnie badał w tej sprawie? Odpowiedziała przecząco.

– To dobrze, tak właśnie sądziłem, wolałem to jednak sprawdzić – taki już mam zwyczaj. Teraz proszę się nie gniewać i pozwolić mi się zapytać o parę rzeczy. Nie znam cię zupełnie, ale mam nadzieję, że nie będziesz się starała wprowadzić mnie w błąd. Rozumiesz, że jest to niezbędne. Nie bój się niczego i odpowiadaj na moje pytania tylko prawdę. Skąd pochodzisz?

– Z ziemi Moder, piękny sir!

- Hm... ziemia Moder. Nie przypominam coś sobie tej nazwy. Czy twoi rodzice żyją?
- Nie wiem, czy żyją, panie, bo już wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy uwieziono mnie w zamku.
- Twe imię?
- Nazywani się dziewczica Alizanda la Carteloire, sir!
- Czy jest ktoś, kto by mógł to potwierdzić?
- Prawdopodobnie nie, gdyż jestem tu po raz pierwszy, sir.
- Może masz jakieś listy lub dokumenty świadczące, że mówisz prawdę?
- Doprawdy nie mam. Skąd bym je zresztą wzięła? I po co mi one? Czyż nie mam języka w ustach, żeby samej wszystko powiedzieć?
- Ale ty możesz mówić jedno, a ktoś inny powie coś innego!
- Coś innego? Jakże to możliwe? nie rozumiem tego...
- Nie rozumiesz? O, co za kraj! Jak to, więc doprawdy!... Widzisz, widzisz... O, mój Boże, jak można nie rozumieć tak prostych rzeczy? Czyż doprawdy nie rozumiesz, że może być różnica pomiędzy twoim... Ale dlaczego masz taki niewinny i bezmyślny wygląd?
- Wygląd? Doprawdy nie wiem, sir, zapewne taka jest wola Boska.
- Tak, tak, zapewne właśnie tak jest. Nie myśl, że jestem zdenerwowany, nie – ani trochę. Zmieńmy temat rozmowy. Teraz opowiedz wszystko, co wiesz o zamku, w którym siedzi czterdzieści pięć królewien pod strażą trzech potworów... Czy możesz mi powiedzieć, gdzie się znajduje harem?
- Harem?
- Zamek, zamek!! Rozumiesz! Gdzie jest ten zamek?
- O jest to wielki, potężny i piękny zamek, a znajduje się w dalekim kraju. Wiele, wiele mil stąd.
- Ale wiele w końcu?
- O, sir, to bardzo trudno określić. Droga wciąż skręca w różne strony i dróg tych jest tyle i wszystkie są jednakowe, tak że nie podobna ich zupełnie odróżnić! Może Bóg byłby w stanie to uczynić, ale nie człowiek. Pomyśl tylko, piękny sir...
- Mów dalej, dalej! Dobrze, nie znasz odległości, ale w takim razie może mi powiesz, w jakiej miejscowości się znajduje zamek, w jakim kierunku należy go szukać!
- O łaskawy sir, stąd nie ma kierunku. Zapewniam cię, że droga nie idzie prosto, lecz wciąż skręca; określić jej kierunek nie podobna, gdyż prowadzi to pod jednym niebem, to znów – pod drugim. Wydaje się, że idziesz na wschód, a tymczasem trafiasz na zachód. I w ten sposób prowadzi droga wciąż zakrętami i wciąż kołuje i idzie się i znowu się wraca na to samo miejsce i znowu się jedzie, jedzie i krąży i wraca się z powrotem i dziwy te powtarzają się bez końca. Trzeba zupełnie przestać polegać na swym rozumie i powierzyć się opiece nieba. Jeżeli Bóg zechce, to zaprowadzi człowieka tam, gdzie trzeba, a wbrew Jego woli nic się nie stanie...
- Świetnie, doskonale!! niechże już pani trochę odpocznie! nikt się nie zna na kierunku, kierunku nie ma! A niech to wszyscy diabli! Proszę mi wybaczyć, jestem trochę zdenerwowany. Niekiedy mówię sam do siebie: stare brzydkie przyzwyczajenie. Wszystko to od niestrawności. Jest to zupełnie zrozumiałe, jeżeli człowiek odżywia się tak jak to czyniono tysiąc trzysta lat przed jego narodzeniem! Cudowny kraj! Człowiek nie może przecież skakać jak cielę majowe, kiedy liczy sobie tysiąc trzysta wiosen! Ale proszę dalej... Proszę nie zwracać na mnie uwagi... Zobaczymy. A może masz coś w rodzaju mapy tej miejscowości? Dobra mapka...
- Aha, już wiem, jest to zapewne ta rzecz, którą przywieźli niewierni zza dalekiego morza i którą smaży się na oleju dodając cebuli i soli.

– Jak to, do mapy? o czym mówisz? czy nie wiesz, co to jest mapa? Nie, nie, już lepiej nie objaśniaj! nienawidzę objaśnień. Możesz już iść, moja droga! Dobranoc: Klarence, odprowadź ją.

Teraz dopiero rozumiem, dlaczego te osły nigdy nie rozpytywały się tych szarlatanów o szczegóły. Bardzo możliwe, że ta dziewczyna wiedziała, czego chce, lecz nie podobna z niej byłoby wycisnąć ani jednego rozsądnego słowa nawet przy pomocy prasy hydraulicznej. Dziewczyna była zapewne skończoną oszustką, a król i rycerze słuchali jej, jak gdyby była stronicą z Pisma świętego. Wyobraźcie sobie tylko tę prostotę obyczajów. Włóczęgi zachodziły tu sobie do zamków równie swobodnie i bez trudności, jak dziś wchodzą do przytułków noclegowych. Wszystkich cieszyło ich przyście i z przyjemnością słuchano ich fantastycznych opowieści.

Rycerze korzystali z byle powodu, aby wyruszyć w świat na poszukiwanie przygód, i te wędrujące gady były tu wobec tego równie upragnionymi gośćmi jak chorzy u lekarza.

Gdy tak rozmyślałem, wrócił właśnie Klarens. Opowiedziałem mu o swojej rozmowie z dziewczyną i o tym że się nie mogłem w żaden sposób dowiedzieć, gdzie się znajduje zamek. Młodzieniec wyraził coś w rodzaju czy to zdumienia, czy zdziwienia i zapytał, jak mi wpadło do głowy rozpytywać o to dziewczynę.

– Mój Boże! – wykrzyknąłem – muszę wiedzieć przecież, gdzie się znajduje zamek, jeśli mam doń trafić?

– Po co, przecież dziewica pojedzie wraz z tobą. Zawsze się tak robi. Pojedzie razem z tobą na koniu, sir.

– Jak to ze mną na koniu! Nonsens!

– Zapewniam cię, że tak właśnie będzie, zresztą sam zobaczysz!

– Co! będzie wędrować ze mną przez lasy i góry... A co powie moja narzeczona?... we dwoje... ja z nią niby narzeczony? Ależ to skandal! Zastanów się, co to będzie!

Miła kobieca twarz nagle wyłoniła się przede mną. Chłopiec zaczął dopytywać się o jej imię. Zaklinając go, by nikomu nie zdradzał tajemnicy, szepnąłem mu na ucho: „Puss Flanugun”. Chłopiec chciał powtórzyć to nazwisko, zakrztusił się, spojrzął na mnie z rozpaczą i powiedział, że nie zna takiej hrabiny.

Było to zupełnie naturalne ze strony małego pazia, że z miejsca obdarzył ją tytułem. Następnie zapytał, gdzie mieszka.

– W East Har... – Oprzytomniałem i przystanąłem, mocno zmieszany, po czym starałem się zatuszować tę rozmowę.

– Nie mówmy o tym więcej, kiedy indziej opowiem ci wszystko.

A czy może ją ujrzeć, czy ją kiedyś mu pokażę?

Łatwo przyrzec, lecz jak dotrzymać obietnicy... tysiąc trzysta lat! A chłopiec jest taki ciekawy.

Westchnąłem. Chociaż, czy ma sens wzdychać do kobiety, która się narodzi za tysiąc trzysta lat? Ale tak już jesteśmy stworzeni, że kiedy kochamy, nie rozumiemy – lecz tylko kochamy.

Tymczasem o ekspedycji mojej mówiono dniami i nocami i młodzież na wszelki sposób wyrażała mi swą życzliwość zapomniawszy zupełnie o swej zazdrości i niezadowoleniu. Byli oni tak ogromnie zaniepokojeni tym, czy znajdę potworów i czy przywrócę wolność nieszczęśliwym starym pannom, jak gdyby mieli to zrobić sami. Tak, były to dobre dzieci, właśnie dzieci. Bez końca dawali mi wskazówki, jak odszukać wielkoludów i w jaki sposób ich zwyciężyć. Udzielali mi rozmaitych rad, jak przeciwdziałać czarom, obławowywali mnie rozmaitymi proszkami i maściami w sposób cudowny gojącymi rany. I nikomu z nich nawet nie przyszło na myśl, że takiemu potężnemu czarnoksiężnikowi jak mnie niepotrzebne są żadne maści ani zaklęcia przeciwko czarom. Nikt nie pomyślał o tym, że nie mogą być dla mnie groźne żadne potwory i że mógłbym z gołymi rękami wstąpić w bój z najstraszliwszym smo-

kiem. Musiałem przede wszystkim wstać o świcie i posilić się obfitym śniadaniem – tego bowiem wymagał zwyczaj. Piekielnie wiele czasu zmarudziłem na uzbrojenie się i dlatego też się nieco spóźniłem. Trzeba przyznać, że ubiór i uzbrojenie się rycerza wyruszającego w podróż jest dość skomplikowane. Przede wszystkim obwija się wokół ciała podwójnie kołdrą otrzymując tym sposobem rodzaj poduszek przeznaczonych do osłonięcia ciała przed zimnym żelazem. Następnie wkłada się koszulę z drobnych metalowych łusek. Tkanina ta jest tak giętka, że rzucona na ziemię leży zmięta na kształt w kłębek zebranej rybackiej sieci. Nie bacząc na to jest bardzo ciężka i zapewne jest najbardziej niedogodnym w świecie materiałem na nocną koszulę. Następnie wkłada się obuwie – płaskie buciory pokryte z wierzchu stalowymi listwami, w które się wkrębowuje niewygodne ostrogi. Później się wkłada zbroję stalową, która pokrywając hermetycznie ciało ściska człowieka ze wszystkich stron. Lecz to nie wszystko. Poniżej napierśników przyczepia się coś w rodzaju krótkiej spódnicy ze stalowych, zachodzących jedno na drugie, pasm i rozdzielonej z tyłu, by udogodnić siadanie. Ta ostatnia część garderoby mniej więcej tak samo nadaje się do noszenia, jak przewrócony do góry nogami kosz do węgla i tak samo jest mniej więcej piękna. Wreszcie poprzez ramię przewiesza się miecz, nadziewa się żelazne kominy zakończone żelaznymi rękawicami na ręce, na głowę zaś pakuje się żelazną pułapkę na szczury ze zwieszającym się z tyłu stalowym gałganem i wreszcie człowiek jest gotów, jak się patrzy.

Słowem położenie to, muszę zaznaczyć, nie usposobiało do tańca. Człowiek zapakowany w ten sposób przypomina orzech, którego nie warto rozłuc, gdyż jądro jest zbyt znikome w porównaniu ze skorupą. Jeśliby młodzież rycerska mi nie dopomogła, nigdy bym nie był w stanie zakończyć swej toalety.

Gdy już byłem gotów, wszedł rycerz Bediwer i wtedy zobaczyłem, że wybrałem sobie kostium mało nadający się do dalekiej podróży. Jakim wysokim, smukłym i imponującym wydawał mi się ten człowiek w porównaniu ze mną! Na głowie nosił stalowy kask w kształcie stożka, dochodzący tylko do uszu, a zamiast przyłbicy – wysokie pasmo stali dochodzące do górnej wargi i osłaniające mu nos. Od pięt aż do szyi mieniła się na nim błękitnie łuskowa koszulka ze stali, obciążająca jego ciało szczelnie jak sweter, i krótkie spodnie. Wyruszał on do Grobu Pańskiego i ubiór jego oraz broń najzupełniej licowały z przedsięwziętą przezeń uciążliwą podróżą. Drogo bym dał za taką samą odzież, lecz za późno już było naprawiać skutki własnej głupoty.

Słońce już wzeszło, król oraz cały dwór wyszli, by mnie zobaczyć opuszczającego zamek, prawidła etykiety nie pozwalały dłużej zwlekać. Wsiąść na konia samemu bez cudzej pomocy – było rozumie się nie do pomyślenia, każda próba tego rodzaju pociągnęłaby za sobą kompletne fiasko. Podniesiono, mnie jak człowieka, który dostał porażenia słonecznego, posadzono na konia, wyprostowano i włożono nogi do strzemion.

Podczas całej tej operacji czułem się jak człowiek, którego znieacka ożeniono lub którego trafił piorun, lub któremu przydarzyło się coś w tym rodzaju. Nie byłem w stanie się odwrócić i w ogóle ruszyć ręką ani nogą – czułem się, jeśli to sobie można wyobrazić, zupełnie jak swój własny posąg. Do ręki wciśnięto mi maszt zwany tu włócznią, wstawiono go uprzednio do żelaznej obręczy przy lewej nodze. Przez szyję przewieszono mi tarczę i w ten sposób byłem gotów do wyruszenia w drogę. Wszyscy okazali mi serdeczności, a pewna dziewczyna wysokiego rodu podarowała mi nawet na pożegnanie własny kubek. Pozostawało mi tylko objąć ręką moją towarzyszkę podróży, którą posadzono z tyłu za mną na siodle.

A więc wyruszyliśmy. Rycerze żegnali mnie okrzykami i życzeniami szczęśliwej podróży wymachując przy tym chustkami, rękami i hełmami. Kiedyśmy zjechali na dół i przejeżdżali przez wieś, wszyscy napotkani przechodnie z czcią się nam kłaniali. Jedyne urwisy wiejskie za rogatkami odprowadziły nas głośnym śmiechem, kocią muzyką i grudkami błota.

– Patrzcie no, co za skrzydła? Strach na wróble! – krzyczeli chórem.

Z doświadczenia wiem, że ulicznicy zawsze i wszędzie są jednakowi. Nie czują oni szacunku do nikogo – i nikogo, i niczego się nie boją. „Zmiataj z drogi!” krzyčili oni prorokowi głębokiej starożytności, który spokojnie szedł swoją drogą, drażnili mnie wypełniającego świętą misję wieków średnich i identycznie postępowali za moich czasów w Connecticut. To ostatnie szczególnie dobrze pamiętam, gdyż brałem osobisty udział w ich burzliwym, pełnym przygód życiu. Natomiast prorok miał niedźwiedzie, które wypuścił na chłopaków, ja zaś musiałbym sam zejść z konia, ażeby stoczyć z nimi walkę. Rozumie się, że nie zdecydowałem się na to, gdyż bez obcej pomocy nie mogłem nawet marzyć o tym, by dosiąść konia.

Źle jest mieszkać w kraju, w którym nie istnieją maszyny do windowania ciężarów.

11

Powolne tortury

Lekko i swobodnie oddycha się za miastem. Pięknie było w leśnej gęstwinie tego jesiennego poranku. Ze szczytu pagórka widzieliśmy przepiękne doliny, na dnie których wiły się przezroczyście strumyki. Tu i ówdzie widniały kępy drzew lub samotne olbrzymy-dęby, o konarach szeroko rozpostartych i rzucających dokoła ciemne plamy cienia. Gdyśmy zjeżdżali na dół, mieliśmy przed sobą łańcuch gór z wierzchołkami tonącymi w niebieskawej mgle.

Od czasu do czasu z dala ukazywały się białe lub szare faliste zarysy zębatych murów zamkowych. Jechaliśmy pogrążeni w słodkiej drzemce, otoczeni baśniowym zielonym blaskiem promieni słonecznych przenikających poprzez gęstwinę liści, a u stóp naszych igrały ze sobą i pluskały czyste i chłodne wody strumyków szmerzących wśród kamieni i kołyszących nas swym subtelnym harmonijnym szmerem. Niekiedy światło zostawało poza nami i wówczas pogrążaliśmy się w tajemniczy uroczysty półmrok odwiecznych borów. Kędyś śpiewały niewidoczne ptaki; miarowo stukał dzięcioł w pień drzewa, brzęczały owady, a nad samymi naszymi głowami zwieszały się splecione długie gałęzie nie przepuszczające ani jednego promienia słońca. Tajemnica otaczała nas dopóty, dopóki z dala nie ukazywały się znowu odbłaski światła. Kilkakrotnie przechodziliśmy w ten sposób z mroku do światła. Minęły już dwie godziny od wschodu słońca i zamiast porannego chłodu zaczął doskwierać przeraźliwy upał. Ciekawa rzecz, jak często drobne podrażnienie stopniowo wzrasta i staje się coraz bardziej dokuczliwe z chwilą, gdy się je spostrzeżga. Okoliczność, na którą początkowo nie zwróciłem uwagi, nagle dała mi się mocno we znaki. Przez pierwsze dziesięć lub piętnaście minut czułem, że potrzebna mi jest chustka do nosa, lecz nie zwróciłem na to uwagi i nie zadałem sobie trudu, by ją wydostać. Jadąc dalej mówiłem sobie, że nie warto o tym myśleć i że chustka nie jest przedmiotem godnym mej uwagi, lecz teraz, gdy dotkliwie odczuwałem całą niezbędność tego niewielkiego kawałka materii, straciłem cierpliwość i ordynarnie zakląłem: „Niech diabli porwą człowieka, który wymyślił ubranie bez kieszeni!” Trzeba państwu wiedzieć, że chustkę wraz z innymi drobiazgami musiałem umieścić w hełmie. Lecz hełm był urządzony tak dowcipnie, że bez obcej pomocy nie można było myśleć o zdjęciu go. Znaną jest rzeczą, że to, czego nie można osiągnąć, wydaje się nam zawsze absolutnie niezbędnym. Myśli moje uparczywie krążyły dookoła chustki znajdującej się w mym hełmie, wyobraźnia wysuwała przede mną tę chustkę w sposób najbardziej kuszący, a słony pot tymczasem powoli ściekał mi z czoła do oczu i do ust.

Na papierze wszystko to wydaje się fraszką, w rzeczywistości zaś była to najbardziej wyrafinowana tortura. Nie wspominałbym przecież o tym, gdyby tak nie było. Przysiągłem sobie nosić przy sobie woreczek, chociażby się miano z tego nie wiem jak wyśmiewać.

Nie ulega wątpliwości, że żelazne bałwany narobią gwałtu i będą to uważać za hańbę, lecz jest mi to całkowicie obojętne: wprzód dajcie mi wygodę a potem styl.

Jechaliśmy klusem podnosząc miejscami kłęby kurzu, który trafiał do nozdrzy i zmuszał mnie do ciągłego kichania aż do łez. Miałem wrażenie, że na tym odludziu nie podobna spotkać nawet potwora. A w tej sytuacji, w jakiej się znajdowałem, spotkanie z jakimś smokiem, szczególnie posiadającym chustkę do nosa, nie byłoby jeszcze najgorsze. Nie ulega wątpliwości, że większość rycerzy przede wszystkim postarałaby się odebrać mu broń, lecz co do mnie, to odebrałbym mu znajdujące się przy nim wyroby włókniste a wyroby miedziane i żelazne niechby mu już tam zostały.

Tymczasem upał się wzmagał, słońce bezlitośnie rozżarzało stal. Kiedy jest skwar, to człowieka denerwuje każdy drobiazg. Przy jeździe kłusa dzwoniłem i brzęczałem cały jak kosz z kuchennymi statkami, gdy zaś tylko stawałem, tarcza z całej siły uderzała mnie po piersi lub po plecach. Kiedy próbowałem jechać stępą, cała moja zbroja skrzypiała i piszczała jak nienasmarowany wóz, przy tym ani wiatorku, ani najmniejszego powiewu – miałem wrażenie, że się gotuję we wrzątku. Im spokojniej zaś i równiej stapał koń, tym ciężiej osiadało na mnie żelazo i waga jego zdawała się wzrastać z każdą sekundą. Prócz tego musiałem bez przerwy przekładać dzidę, gdyż w przeciwnym razie omdlewała mi ręka i noga. Kiedy się człowiek w ten sposób bez przerwy oblewa potem, to w końcu zaczyna go wszystko – swędzić. Początkowo daje się odczuć swędzenie w jednym miejscu, później w drugim, następnie w kilku równocześnie, aż wreszcie zaczyna ci swędzić całe ciało, a człowiek szczelnie okryty żelastwem absolutnie nie wie, co ma ze sobą robić! W końcu straciłem cierpliwość i zwróciłem się o pomoc do swej towarzyszki. Dziewczyna zdjęła ze mnie hełm, wyjęła całą jego zawartość i napełniła go świeżą zimną wodą, której z rozkoszą się napiłem, resztę zaś wylała mi za kołnierz. Trudno sobie wyobrazić ulgę, jaką odczułem. Polewała mnie tak długo, dopóki nie przemokłem do nitki; czułem się teraz jak nowonarodzony. Z rozkoszą oddawałem się słodkiemu wypoczynkowi. Lecz na ziemi nie ma idealnego szczęścia. Wkrótce poczułem ostrą tęsknotę za fajką, niestety, brakło mi zapalek. Z biegiem czasu dołączyła się jeszcze jedna niemiła okoliczność – musieliśmy przystanąć z powodu niepogody. Lecz uzbrojony rycerz nowicjusz nie potrafi zejść z konia o własnych siłach, Sandy zaś była zbyt słaba, aby mi dopomóc. Zmuszony więc byłem czekać na jakiego przechodnia. Milczące oczekiwanie nie było dla mnie uciążliwe, tematów do rozmyślań miałem dość. Chciałem się zastanowić i rozwiązać zagadnienie, w jaki sposób ludzie mający choć krztę rozsądku mogli dojść do pomysłu noszenia tak straszliwie niewygodnego ubrania. I jakże u licha mogły całe pokolenia znosić te tortury, kiedy nie ulegało wątpliwości, że jeśli ja znosząc męki z powodu zbroi przez jeden dzień tylko byłem już bliski omdlenia, to rycerze noszący ją bez przerwy codziennie byli skazani na piekło za życia. Oto czemu wziąłem się poważnie do obmyślenia reformy tego absurdalnego zwyczaju i rozmyślania nad sposobem przekonania ludzi o niewygodzie, a nawet szkodliwości tego rodzaju ubioru. Kwestia wymagała długiego i poważnego namysłu. Ale zechcicie, proszę, zając się czymkolwiek, kiedy za wami siedzi Sandy. Jest to bezsprzecznie bardzo miłe i pocziwe stworzenie, ale może trajkotać bez przerwy z nie mniejszą łatwością niż pierwsza lepsza nakręcona maszyna, tak że człowiekowi zaczyna wprost głowa pękać jak od turkotu kół wozów ciężarowych i dudnienia tramwajów w mieście. Katarynka nie przerywała ani na chwilę swej pracy i wszelkie nadzieje, że coś się w niej zepsuje, spełzły na niczym. Maszyna Sandy tygodniami, zdawałoby się, mogła pracować nie wymagając żadnej naprawy, opieki i naoliwienia. Inną jest rzeczą, że rezultatem tej pracy nie było nic, prócz przeciągu. Próżno byłoby się doszukiwać u tej wielomównej osóbkki jakiegokolwiek przebłyску myśli choćby najbardziej mglistej. Z tym wszystkim, gadanina nie ustawała ani na chwilę. Nie ulega wątpliwości, że moje poranne kłopoty oddały mi wielką przysługę: pozwoliły mi nie zauważyć, że podróżuję w towarzystwie żywej katarynki. Ale po południu byłem zmuszony poskromić jej krasomówczy temperament.

– Posłuchaj, moje dziecię – zwróciłem się do niej – zrób, na miłość Boską, małą pauzę. Przez cały czas nic innego nie robisz, jak tylko marnotrawnie zużytkowujesz tutejsze powietrze, tak że w końcu państwo będzie musiało pomyśleć o dostarczeniu tutaj nowego zapasu – a przecież skarb i bez tego ma dość wydatków.

12

Ludzie wolni

Zadziwiająca rzecz, jak mało przyjemnych chwil przypada w udziale człowiekowi. Jeszcze tak niedawno, wyczerpany upałem i dźwiganiem ciężkiej zbroi, rozkoszowałem się spoczynkiem w czarownym, cienistym zakątku słuchając szmeru czystego, chłodnego strumienia i delektując się przezroczystą, lodowo-zimną wodą, która gasiła dręczące mnie pragnienie i chłodziła me znużone od spieki ciało. I oto znowuż czułem się już pod psem częściowo z powodu tego, że chciało mi się jako namiętnemu palaczowi zapalić i że nie mogłem tego uczynić z braku zapalek – częściowo zaś dlatego, że zaczął mi dokuczać głód. W tym znowuż objawiała się dziecinna beztroska tego wieku i ówczesnych ludzi. Uzbrojony rycerz powinien być zawsze liczyć na to, że zdobędzie sobie żywność w drodze, i nie wolno mu było nawet dopuścić do siebie kompromitującej myśli o tym, żeby wziąć w drogę koszyk z kanapkami i przytroczyć go do siodła. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie znalazłby się ani jeden rycerz pomiędzy współbiesiadnikami Okrągłego Stołu, który by nie był gotów raczej ponieść śmierć głodową niżeli okryć się taką hańbą. A przecież czy mogło być coś bardziej normalnego? Co do mnie, to miałem szczerzy zamiar schować sobie na drogę parę kanapek do hełmu, ale, niestety, zostałem złapany na gorącym uczynku i musiałem nie tylko oddać tartinki, ale jeszcze w dodatku przeproszać za niestosowanie się do rycerskich reguł. Kompromitujące krajanki były rzucone na pożarcie psom, które nie omieszkały z tego skorzystać.

Tymczasem miało się ku nocy, a równocześnie zapowiadało się na burzę. Ciemność coraz bardziej się zgęszczała. Zmuszeni byliśmy się zatrzymać. Usadawiwszy dziewicę pod jedną ze skał sam umieściłem się pod inną. Nie mogłem jednakże zdjąć zbroi, a równocześnie było mi niesporo zwracać się z prośbą o pomoc do Alizandy, gdyż wydawało mi się nieprzyzwoitym rozbierać się przy niej. Właściwe było w tym wiele przesady, gdyż nosiłem ubranie pod zbroją, lecz trudno jest zerwać z przesadami zaszczipionymi nam przez wychowanie. Mam pewność, że byłbym mocno zmieszany już przy samym zdejmowaniu mej krótkiej spódniczki.

Po burzy pogoda się zmieniła: dał wiatr, deszcz lał bez przerwy i bardzo się oziębilo. Wkrótce pluskwiaki mrówki i wszelkiego rodzaju paskudztwo zaczęło ratować się od wilgoci i wpełzać pod moją zbroję w poszukiwaniu ciepła. Niektóre z tych zwierzątek zachowywały się dość taktownie i spokojnie siedziały sobie w fałdach mego ubrania – większość natomiast sprawiała mi niewymownie wiele udreki i kłopotu. Najbardziej niezdolne były mrówki. Pełzały całymi procesjami po mym ciele tam i z powrotem i były podczas snu najmniej miłymi sąsiadami, jakich sobie można wyobrazić. Gdybym miał radzić człowiekowi znajdującemu się w podobnej sytuacji, przede wszystkim zaleciłbym mu nie tarzać się po ziemi i nie rzucać się na wszystkie strony. Takie niezwykle zachowanie się budzi zaciekawienie wszystkich tych drobnych zwierząt, które wyłażą hurmem by zobaczyć co się dzieje. Sytuacja staje się nie do zniesienia i człowiek musi gorzko pokutować za swą nieostrożność. Jeśli jednak wcale się nie ruszać, to bardzo łatwo można się do tego przyzwyczaić na dłuższą metę i już w ogóle nie wstać więcej. Słowem obie metody są warte jedna drugiej i żadna z nich po prostu dlatego nie jest gorsza od drugiej, że obie są najgorsze. Zresztą, kiedy przemarłem już zupełnie do szpiku kości, musiałem przyznać pewne zasługi tym owadom: działały one na ciało na kształt prądu elektrycznego. W każdym bądź razie dałem sobie słowo, że jest to ostatnia moja podróż, którą odbywam w tego rodzaju zbroi. Ranek znalazł mnie w najokropniejszym stanie. Byłem zmordowany bezsennością i wyczerpany bezowocnymi usiłowaniami pogrążenia się w

sen, czułem nieznośne bóle w stawach, byłem całkiem połamany, dokuczał mi głód, marzyłem o kąpieli, która by pozwoliła mi się pozbyć nieznośnego robactwa, i na domiar wszystkiego nabawiłem się silnego reumatyzmu. A jakże się czuła wysoko urodzona, szlachetna, utytułowana arystokratka, dziewczica Alizanda la Carteloire? Była świeża i wesoła, spała całą noc jak zabita, co się zaś tyczy kąpieli, to zapewne ani ona, ani żaden ze szlachetnych obywateli tego kraju nie miał o niej pojęcia i, co za tym idzie, nie odczuwał najmniejszej potrzeby jej. Z punktu widzenia moich współczesnych ludzie ci mieli nie o wiele więcej kultury od najzwyczajniejszych dzikusów. Szlachetna lady nie wykazywała najmniejszej chęci zjedzenia śniadania – był to znów wyraźny objaw pierwotności. Brytańczycy owego czasu byli przyzwyczajeni głodować w czasie podróży i najadali się na kilka dni naprzód, jak to czynią Indianie i niektóre zwierzęta. To samo zapewne zrobiła również i Sandy.

Wyruszyliśmy w drogę jeszcze przed wschodem słońca, przy czym Sandy jechała, ja zaś kuśtykałem za nią w tyle. Po upływie mniej więcej pół godziny napotkaliśmy tłum nieszczęśliwych, obdartych ludzi, którzy przyszli tu naprawiać to, co można było od biedy nazwać drogą. Powitali nas uniżenie jak niewolnicy. Pochlebiała im niezmiernie wyrażona przeze mnie chęć przyłączenia się do nich i zjedzenia z nimi śniadania; byli oni oszołomieni moją propozycją i z trudem tylko dali się przekonać, że nie żartuję. Moja lady pogardliwie się skrzywiła i patrzyła w stronę. Kiedy zaś nasze pertraktacje w sprawie śniadania dobiegły końca – powiedziała, że wolałaby spożyć je z innym bydłem. Uwaga ta zmieszała nieszczęśliwych obdartsów, którzy ją słyszeli, ale nie obraziła ich. A jednak nie byli to bynajmniej niewolnicy, ironia prawa i nazwy czyniła ich wolnymi ludźmi. Siedem dziesiątych wolnych obywateli kraju należało do ich klasy i stanu. Byli to drobni „niezależni” farmerzy, rzemieślnicy itp., tworzący ściśle mówiąc najistotniejszą część nacji, czynną, pracującą, przynoszącą pożytek krajowi i zasługującą ze wszech miar na szacunek. Wykreślić ich – znaczyłoby to wykreślić nację, a zostawić nikomu niepotrzebną zbieraninę w postaci rozpróżnionych awanturników i nicponiów zajmujących się przeważnie pustoszeniem i rujnowaniem kraju i niereprezentujących żadnych zgoła istotnych życiowych wartości.

I otóż, na skutek złośliwej ironii losu, cała ta pozłacana mniejszość miast znaleźć się na szarym końcu pochodu, do którego należała, kroczyła na czele jego z zadartą głową i dumnie powiewającymi sztandarami.

Nie mówiłem o krwawym buncie i rewolcie z tym oszukanym i wyzyskiwanym ludzkim stadem. Wziąwszy na stronę jednego z tych ludzi, który wydał mi się bardziej rozgarniętym od innych, pomówiłem z nim o sprawach zupełnie innego rodzaju. Skończywszy rozmowę wręczyłem mu kartkę z napisem: „Umieścić go w męskiej kolonii.”

– Idź z tym – rzekłem mu – do kamełockiego zamku i oddaj to osobiście Amiasowi Le Poulet, zwanemu Klarenssem. Ten już będzie wiedział, o co chodzi.

– Czy to pater? – z pewnym zaniepokojeniem zapytał człowiek.

– Nie – odrzekłem.

Twarz jego wyraziła zadowolenie.

– Ale jakże potrafi on czytać, jeśli nie jest duchownym? – rzekł, dając wyraz swym wątpliwościom.

– Nauczyłem go tego. I ciebie również nauczę tego samego po przybyciu na miejsce.

Ostatnie wątpliwości zostały rozwiane.

– Mnie? – podchwycił z entuzjazmem. – Oddałbym całą moją krew serdeczną, by się wuczyć tej sztuki. Będę twoim niewolnikiem, panie, twoim...

– Nie, nie będziesz już niczym niewolnikiem. Weź ze sobą rodzinę i ruszaj do Camelotu. Twój pan odbierze ci zapewne wszystkie te okruchy, które są twą własnością, ale to nic – Klarens się tobą zaopiekuje.

13

Broń się, lordzie

Za śniadanie swe zapłaciłem aż trzy pensy, co było dość wysoką zapłatą, gdyż mogło za nią śmiało zjeść śniadanie jakichś dwunastu ludzi. Ale czułem się tak dobrze, że mogłem sobie pozwolić na tę „rozzutność”. Ci prości ludzie chętnie by podzielili się ze mną swymi skromnymi zapasami bez żadnej zapłaty. Widząc ich szczerą i gorącą wdzięczność pomyślałem, że pieniądze te byłyby znacznie bardziej na miejscu w ich rękach aniżeli w moim hełmie. Tym bardziej że pensy były z żelaza i niemało ważyły, a w tej chwili mnie obciążonemu żelastwem każdy szyling wydawał się młyńskim kamieniem. Co prawda, moje rzucanie pieniędzmi tłumaczyło się również i tym, że przez długi czas nie mogłem zdać sobie sprawy, iż pens w kraju króla Artura równał się kilku dolarom w moim rodzinnym Connecticut.

Farmerzy chcieli koniecznie obdarzyć mnie czymś jeszcze, aby wyrazić mi swą wdzięczność za niesłychaną hojność. Z przyjemnością przyjąłem od nich krzemień i hubkę. Kiedy tylko też moi amfitrioni wladowali mnie oraz Sandy na siodło, natychmiast zacząłem kurzyć fajkę. Ale nie zdążyły jeszcze ukazać się pierwsze kłęby dymu spod mej przyłbicy, kiedy wszyscy obecni popędzili w panicznym przestachu na łeb na szyję do lasu, a Sandy z przeraźliwym wrzaskiem zeskoczyła na ziemię. Nie ulega wątpliwości, że wszyscy oni byli przekonani, iż jestem rzygającym ogniem smokiem, o czym tak wiele nasłuchali się od rycerzy i innych profesjonalnych łgarzy. Wiele trudu kosztowało mnie namówienie ich, ażeby wrócili i zatrzymali się w przyzwoitej odległości ode mnie. Postarałem się im objaśnić, że jest to tylko drobne czarodziejstwo, straszne jedynie dla wrogów. Z ręką na sercu przyrzekłem im, że każdy, kto nie żywi złych zamiarów względem mnie, może bezpiecznie się do mnie zbliżyć i że śmierć grozi tym tylko, którzy mi nie dowierzają i zostają w tyle. Wówczas cała procesja uroczyście przedefilowała przede mną. Nie było potrzeby spisywania protokołu z nazwiskami obecnych, gdyż nikt nie pozostał w tyle dla przekonania się, ile prawdy mieści się w moich słowach.

Po tym wszystkim musiałem stracić niemało czasu, ażeby zaspokoić ciekawość tych poczciwców, kiedy już strach ich minął. Dopiero po wypaleniu dwóch fajek mogłem się udać w dalszą drogę. Ale czasu tego nie można było uważać za stracony, jeśli wziąć pod uwagę, że Sandy była cała pod wrażeniem wszystkiego wyżej opisanego i jej młynek przerwał na chwilę swą pracę, co pozwoliło mi nieco odpocząć.

Następną noc spędziliśmy w lepiance pustelnika, a przed południem tego samego dnia spotkała mnie nareszcie pierwsza moja przygoda.

Przejeżdżaliśmy właśnie przez wielką łąkę i byłem tak zatopiony w swych myślach, że nie widziałem ani słyszałem nic dookoła. Nagle wyrwał mnie z tych rozmyślań krzyk Sandy, która przerwała raptem swą jeszcze z rana rozpoczętą opowieść:

– Broń się, lordzie! Życie twe jest w niebezpieczeństwie!

Po czym towarzyska moja zwinnie zeskoczyła z konia, odbiegła na stronę i zatrzymała się w kilkunastu krokach ode mnie. W pobliżu, pod drzewem, zobaczyłem jakieś pół tuzina uzbrojonych rycerzy wraz z giermkami. Wszyscy ci jegomoście hałasowali i kłócili się gwałtownie ściągając popręgi na swych koniach.

Muszę powiedzieć, że fajkę swą miałem przez cały czas w ustach. W tej chwili mocno zaciągnąłem się parę razy z rzędu i zatrzymałem w sobie dym, pozwalając mym napastnikom się zbliżyć. Przeciwnicy moi rzucili się na mnie zwartą ławą. Najmniej wspólnego miało to z rycerskością, o której tyle się czytało, kiedy to jeden z przeciwników z ugrzeczieniem wy-

zywa drugiego na walkę, a pozostali stoją sobie na uboczu przypatrując się potyczce. O, te indywidua nie miały w każdym razie najmniejszego zamiaru potwierdzić legendy, jaka się o nich zachowała; rzucili się na mnie całą kupą, z wyciem i hałasem na wzór gradu armatnich kul. Głowy ich były nisko nachylone, z tyłu rozwiewały się pióropusze, włócznie wysunęły naprzód, na wysokości głowy. Musiało to być wspaniałe widowisko, oczywiście dla widza stojącego z dala pod drzewem. Wysunąłem również swą włócznię i czekałem.

Serce waliło mi młotem, tak mocno, że mój żelazny pancerz gotów był pęknąć. Lecz oto ukazał się kłęb dymu spod mej przyłbicy. Warto było zobaczyć, jak fala przeciwników nagle się rozprysła i znikła. Daję słowo, to widowisko wydało mi się najpiękniejszym ze wszystkich, jakie miałem kiedykolwiek sposobność oglądać.

Rycerze jednakże zatrzymali się o kilka staj ode mnie i to mnie nieco peszyło. Tryumf mój stawał się problematyczny: poczułem znowuż – po prostu mówiąc – strach. Uważałem się już za zgubionego i nie rozumiałem zupełnie zachowania się Sandy, która nie posiadała się z radości i, sądząc ze wszystkiego, postanowiła już zrobić użytek ze swego krasomównstwa. Powtrzymałem ją jednak i rzekłem, że czary moje widocznie zawiodły, i że radzę jej wobec tego wdrapać się na konia i ratować się wraz ze mną ucieczką. Ale Sandy nie miała do tego najmniejszej chęci. Zdaniem jej, moje żarty zupełnie opanowały rycerzy. Nie odjeżdżali oni po prostu dlatego, że nie byli w stanie tego uczynić. Kiedy tylko zwałą się z koni, trzeba będzie zawładnąć ich rumakami i uprzężą. Nie uwierzyłem, rzecz jasna, tym bredniom i starałem się ją przekonać, że się myli. Gdyby moje czary miały na nich tak piorunujące działanie, zabiłyby ich z miejsca, lecz ponieważ ci ludzie żyją, przeto należy sądzić, że coś się w moim aparacie popsulo. Słowem, musimy zmykać i to jak najprędzej, gdyż lada chwila możemy być znów zaatakowani. Lecz Sandy roześmiała się tylko: O nie, sir, niestety, nie są to ludzie tego pokroju. Sir Lancelot bez namysłu wszcząłby walkę ze smokami i walczyłby z nimi bez strachu dopóki by ich nie zwyciężył. To samo uczyniłby i sir Pelbinor i sir Aglowar i sir Karados i, być może, znalazłoby się jeszcze kilku takich śmiałków, – ale ci tam nie należą do takich, co by chcieli narażać życie. Czy nie widzisz, że ze strachu zupełnie potracili głowy. Co chcesz uczynić z tymi tchórzami?

– Ale w takim razie – rzekłem – na co ci ludzie czekają? Czemu nie zostawiają nas w spokoju i nie odjadą? Nikt im przecie tego nie broni zrobić. Wystarczy mi, że ich zwyciężyłem.

– Czemu nie odjeżdżają? Gdyż nie mają odwagi. Czekają na to, aby się zdać na twoją łaskę i niełaskę.

– Dlaczegoż więc tego nie robią, u licha?

– Nie sądz ich zbyt surowo, sir – ale strach przed smokami nie pozwala im się zbliżyć do ciebie.

– A więc ja podjadę do nich i...

– O nie, szlachetny panie, czmychną przy pierwszym twoim kroku. Pozwól raczej mnie pomówić z nimi.

Sandy skierowała się ku czekającym w oddali rycerzom.

Co do mnie, wciąż jeszcze wątpilem w swe zwycięstwo i uważałem jej przypuszczenia za błędne. Jednakowoż, po upływie kilku chwil już ujrzałem rycerzy, ruszających galopem w stronę Camelotu, a Sandy wracającą z powrotem. Odetchnąłem z ulgą. Sprawa była załatwiona idealnie.

Sandy powiedziała mi, że dość jej było oznajmić, że jest wysłanniczka Patrona, uzbrojona kompania nieprzytomna ze strachu przyjęła z największą pokorą wszystkie moje warunki. Wówczas Sandy rozkazała im zjawić się najpóźniej w ciągu dwóch dni na dworze króla Artura i oddać się w jego ręce wraz z giermkami, rumakami i uprzężą.

Trzeba przyznać mojej towarzysze, że świetnie się nadawała do tego rodzaju pertraktacji. O wieleż lepiej udało jej się załatwić to wszystko, niżbym potrafił zrobić to ja sam. Doprawdy, ta dziewczyna, mimo odmiennych pozorów, miała jednak głowę na karku.

Dalsza podróż odbywała się bez przygód. Już zupełnie o zmierzchu ujrzeliśmy w oddali wznoszący się na wzgórzu zamek. Był to olbrzymi, krzepki, budzący szacunek gmach o szarych wieżach i fortyfikacjach od stóp do wierzchołka owitych bluszczem. Majestatyczny i wspaniały wyrósł przed nami kąpiąc się w ostatnich promieniach krwawo zachodzącego słońca. Był to największy zamek spośród tych, jakie dotychczas spotkaliśmy na swej drodze. Sądziłem, że ten właśnie stanowi cel podróży, lecz Sandy nie mogła nawet poinformować mnie, do kogo należy. Nie przyszło jej jakoś do głowy zapytać o jego nazwę, kiedy jechała tędy do zamku króla Artura.

Jeśli wierzyć mej braci, błędnym rycerzom, to nie we wszystkich zamkach można było liczyć na gościnne przyjęcie. Skądinąd, jeśli wnioskować z tego, co miałem sposobność zaobserwować, nie bardzo zasługiwali oni na zaufanie, zaufanie w tym sensie, jaki się nadaje dziś temu słowu. Zgodnie z ówczesnymi poglądami byli oni może ludźmi zupełnie godnymi wiary. Co do mnie, to dla zdania sobie sprawy z istotnego stanu rzeczy robiłem zawsze mały arytmetyczny rachunek, mianowicie, odejmowałem od całości 97% kładąc je na karb fantazji rycerza, pozostałe zaś uważając za fakt nie ulegający wątpliwości. Przerobiwszy i tym razem to samo działanie postanowiłem zadzwonić u wejścia do zamku, tzn. zawołać strażę. Lecz w tej samej chwili na zakręcie wiodącej do zamku drogi ukazał się jakiś jeździec. Kiedyśmy się znaleźli w nieznaczej odległości od siebie, spojrzałem, że nosi hełm z pióropuszem i stalową zbroję, lecz że ta ostatnia mieściła się w czymś w rodzaju twardego, zabawnie wyglądającego futerału. Mimo woli uśmiechnąłem się ze swego braku pamięci, kiedy zbliżywszy się przeczytałem napis na futerale:

„Persimońskie mydło – używają wszystkie primadonny.” Był to mój własny wynalazek, wprowadzony przede wszystkim w celach higienicznych. W głębi duszy piastowałem jeszcze jeden zamiar: pragnąłem w ten sposób podciąć raz na zawsze korzenie idiotycznej instytucji błędnego rycerstwa. Wybrałem kilku zuchów spośród największych zawalidrogów i wyposażylem ich w płaszcze-futerały z różnymi ogłoszeniami. Byłem przekonany, że w miarę zwiększania się ich liczby zaczną oni czynić piekielnie zabawne wrażenie. Wówczas każdy bez wyjątku osioł, zakuty w stal, będzie wywoływał śmiech i kpiny i tym sposobem ten śmieszny i barbarzyński zwyczaj zostanie powoli wyrugowany. Misjonarze moi mieli zapowiedziane, że muszą wszystkim bez wyjątku, kogo spotkają, odczytywać złote napisy na swych futerałach. Pożłota odpowiadała barbarzyńskiej wspaniałości tych czasów i łatwiej niż co innego mogła ściągnąć uwagę ludzi i rycerstwa na napis. Obowiązkiem więc spotkanego błędnego rycerza było odczytywanie i objaśnianie lordom i ladies znaczenia mydła. W razie gdyby szlachetni lordowie i wysoko urodzone ladies wzdragali się przed użyciem go, proponowano wypróbować działanie mydła na psach ich szlachetnego właściciela. Poza tym misjonarze musieli używać mydła sami wraz ze swymi rodzinami i popierając swe słowa własnym doświadczeniem, przekonywać o jego dobrodziejstwie szlachtę. W wypadkach zaś wyjątkowej odporności klienta zalecane było złapanie i wyszorowanie mydłem jakiegoś pustelnika, co nie przedstawiało specjalnej trudności, gdyż wszystkie lasy roiły się od nich. Jeżeli zaś to nawet nie przekona szlachetnego klienta, to trzeba dać mu spokój, i posłać go do wszystkich diabłów.

Misjonarz czystości spotykający błędnego rycerza rzucał mu wyzwanie i jeśli udało mu się go zwyciężyć, szorował go od stóp do głowy. Jeśli zwyciężony nie rozchorował się po tej operacji, wiązano go rycerskim słowem honoru, że poświęci się reklamowaniu mydła i że do grobowej deski poświęci się krzewieniu mydła i cywilizacji. Co się tyczy mydlarni, to ta szła świetnie. Z początku miałem dwu robotników, lecz już przed wyjazdem zostawiłem piętnastu pracujących dniami i nocami. Skutki pomyślnego rozwoju mej fabryczki dały się prędko „odczuć”: król doznawał lekkich omdleń i kłął się, że w tego rodzaju powietrzu nie wytrzyma. Sir Lancelot wlaźł zaś aż na dach mydlarni i choć go zapewniałem, że tam jest najgorzej, nie schodził i powtarzał z uporem, że potrzebuje jak najwięcej powietrza. Przy tym kłął się, że

każdego, komu przyjdzie do głowy założyć u siebie w domu mydlarnię, wyprawi najkrótszą drogą do piekła.

Rycerza, któregośmy spotkali, zwano La Cote Male Taile. Poinformował mnie, że w zamku zamieszkuje siostra króla Artura, będąca żoną króla Urieusa, na którego terytorium znajdowaliśmy się. Królestwo Urieusa było zresztą tak wielkie, jak mniej więcej okręg Kolumbii; można było stanąć pośrodku niego i rzucić kamień z pełnym przeświadczeniem, że upadnie w sąsiednim królestwie. W ogóle królów i państw w Brytanii było tak wiele, jak swego czasu w Grecji lub w Palestynie. Mieszkańcy sypiali tam zwinawszy się w kłębek, gdyż nie mogli wyciągnąć nóg bez paszportu. La Cote był niezmiernie przygnębiony, gdyż spotkało go tu kompletne fiasko. Nie zarobił nawet na chleb. Nic nie pomogło, zawiodło nawet demonstracyjne szorowanie mydłem pustelnika, który oddał ducha ze strachu.

Pożegnawszy rycerza, którego na próżno starałem się pocieszyć, podążyliśmy bez przeszkód do zamku rozmawiając z Sandy po drodze o strapieniach La Cote'a. Dziewczyna twierdziła, że mego misjonarza od pierwszego dnia podróży zaczęły trapić niepowodzenia. Powodem ich była, podług niej, klęska, której La Cote doznał przed samym wyjazdem. Zgodnie z panującym zwyczajem, towarzyska rycerza, jeśli ten ją posiada, przechodzi do rąk zwycięzcy – lecz Maledisant-Sandy mego misjonarza – nie zgodziła się na to i nawet po porażce rycerza została przy jego boku. Na moje przypuszczenie, że zwycięzca wołał politycznie nie upominać się o zdobycz, Sandy odparła, że jest to niemożliwe, gdyż zwycięzca jest obowiązany przyjąć towarzyszkę zwyciężonego rycerza. Przyjąłem to do wiadomości. Kiedy muzyka Sandy zaczęła mi już zbyt mocno działać na nerwy, pozwoliłem się po prostu położyć przez jakiegoś draba na obie łopatki, tj. dam mu wysadzić się z siodła i będę wolny jak ptaszek.

Tymczasem zostaliśmy spostrzeżeni przez straż z murów zamku i po krótkich pertraktacjach wpuszczeni do środka. Nie wróżyłem sobie po tej wizycie niczego dobrego. Reputacja pani de Fay była mi znana. Dama ta trzymała w postrachu całe królestwo mówiąc wszystkim, że jest wszechwładną czarodziejką. Była ona przesiąknięta złością aż do szpiku kości. Życie jej było pasmem zbrodni, wśród których mord nie odgrywał ostatniej roli. Gdyby nie wzięty na siebie obowiązek poszukiwania przygód, nie pomyślałbym nigdy o odwiedzeniu tego zamku i jego właścicielki.

Pragnałem spotkania z nią w tym samym mniej więcej stopniu, co spotkania z Belzebubem. Lecz ku memu zdumieniu okazało się, że czarownica jest wyjątkowo piękną kobietą. Jej czarne myśli ani trochę nie odzwierciedlały się na jej obliczu, podobnie jak wiek nie wyrzył ani jednej zmarszczki, nie skaził ani jedną plamką jej olśniewająco świeżej, atlasowej cery. Mogłaby ona śmiało uchodzić za wnuczkę starego Urieusa i za siostrę własnego syna. Niezwłocznie po przestąpieniu progów zamku polecono nam stawić się przed królową. Tutaj, w sali przyjęć, ujrzelśmy obok królowej jej małżonka, staruszka o dziecinnym oczach i przygnębionym wyrazie twarzy, a także syna jej, Uwaine'a le Blanchemainga. Na tego ostatniego spojrziałem z zaciekawieniem; o wędrownie jego z sir Marhausem i zwycięstwie nad 30 rycerzami opowiadała mi Sandy. Lecz najwyraźniej główną rolę odgrywała tu Morgan i wszyscy wobec niej usuwali się na dalszy plan. Z niewysłowioną gracją i czarującą uprzejmością poprosiła nas, abyśmy zajęli miejsca, i zaczęła zarzucać mnie pytaniami. Mój Boże! Ta kobieta śpiewała jak ptak albo jak flet, jeśli wolno użyć takiego porównania. Byłem święcie przekonany, iż biedną królową ohydnie spotwarzono. Właśnie szczebiotała i śmiała się, gdy podszedł młodziutki śliczny pazik, w ubraniu mieniącym się wszystkimi kolorami tęczy. Lekkim krokiem, ledwo dotykając ziemi zbliżył się do królowej, przykłęknął na jedno kolano i podał jej coś na złotej tacy. Kiedy powstał i cofał się gnąc się w pokłonach; stracił nagle równowagę i bezgłośnie upadł u jej stóp. Wówczas zręcznie i spokojnie cisnęła weń swym ostrym sztyltem, tak jakby celowała w mysz!

Biedne dziecko upadło na wznak i po kilku konwulsyjnych drgawkach wyzionęło ducha. Staremu królowi wyrwał się okrzyk współczucia, który natychmiast zamarł na jego ustach.

Sir Uwaine na znak matki zawołał na sługi, królowa zaś szczebiotała dalej, jak gdyby nigdy nic. Mogłem spostrzec, jak doskonałą jest gospodynią, gdy nie przerywając rozmowy bacznie śledziła sługi wycierające podłogę. Przyniesione przez nich mokre płótna kazała sprzątnąć i przynieść inne. A gdy skończyli wycierać podłogę i zamierzali opuścić salę, Morgan le Fay zatrzymała ich spojrzeniem wskazawszy na czerwoną plamkę wielkości łzy, której nie dostrzegli. I to wszystko podczas niemiłkającej rozmowy ze mną!

Zadziwiająca kobieta! A jej spojrzenie! Gdy wzrokiem strofowała sługi, nieszczęśliwcy robili wrażenie rażonych piorunem. Sam zresztą zacząłem doznawać podobnego uczucia. Co do biednego starego Urieusa to wystarczyło, by odwróciła głowę w jego stronę, a stary król formalnie kurczył się ze strachu.

Wśród rozmowy wyraziłem się mimochodem pochlebnie o królu Arturze zapomniawszy o jej śmiertelnej nienawiści do niego. To wystarczyło. Jak gdyby czarna chmura padła nagle na jej twarz. Wezwawszy strażę Morgan le Fay zawołała:

– Odprowadzić tych ludzi do baszty!

Z przerażenia zaniemówiłem: reputacja jej baszty była mi nieco znana. Zupełnie wytrącony byłem z równowagi i żadna zbawcza myśl nie przychodziła mi do głowy mogąca mnie wyratować z tej opresji. Ale całkiem inaczej się zachowała Sandy. Nie zdążył jeszcze strażnik położyć ręki na mym ramieniu, kiedy moja towarzyszka zapiszczała:

– Niech Bóg was broni, szaleńcy! Czy się wam życie sprzykrzyło? Toż podnosicie rękę na Patrona!

Co za szczęśliwy pomysł! I jaki prosty! Czy coś podobnego strzeliłoby mi kiedykolwiek do głowy?! Co prawda, byłem skromny od urodzenia, ale tu moja skromność była co najmniej nie na miejscu.

Działanie tych słów na madame było piorunujące. Myśli jej nagle przyjęły zupełnie inny kierunek, twarz rozjaśnił czarujący uśmiech, ta sama pełna gracji miękkość czaiła się w ruchach i tak samo przymilnie, jak poprzednio, brzmiał jej głos. To wszystko nie przeszkadzało mi dostrzec, że ta niezwykła kobieta przeżywa w tej chwili równie wielki strach jak ja przed chwilą.

– Twoja towarzyszka jest doprawdy zabawna! Czyż sądzi, że kobieta o tak wielkiej potędze czarodziejskiej, jak ja, mogłaby nie wiedzieć o odwiedzinach słynnego zwycięzcy Merlina. Chciałam ci po prostu spłatać figła, aby ujrzeć, jak zabijesz jednym spojrzeniem strażników, gdy się ciebie dotkną. Takie cuda wymykają się spod mej władzy i byłam ich niezmiernie ciekawa.

Lecz strażnicy królowej byli widocznie mniej ciekawi, gdyż z pośpiechem zniknęli na pierwsze jej skinienie.

15

Uczta dworska

Madame widząc, że jestem pokojowo i dobrodusznie nastrojony, nie wątpiła, iż uwierzyłem jej tłumaczeniom. Strach jej minął i bezpośrednio po zejściu zaczęła mnie zarzucać prośbami, bym zabił kogokolwiek z otoczenia. Zacząłem już nie na żarty się niepokoić, gdy na moje szczęście zaczęto zwoływać na modlitwę. Do charakterystyki ówczesnej arystokracji należy dodać, że przy całym swoim okrucieństwie i krwiożerczości i w ogóle przy całym swym moralnym rozkładzie była ona głęboko i płomiennie religijna. Nic nie mogło tych ludzi oderwać od ciągłego drobiazgowego wykonywania obrzędów przepisanych przez Kościół. Niejednokrotnie zdarzało mi się widzieć rycerza, który zwyciężywszy wroga, odmawiał modlitwę wprzód, nim poderznął gardło pokonanemu. Niejednokrotnie również zdarzało mi się widzieć rycerza, który już wysławszy wroga na tamten świat stawał na stronie, by zmówić dziękczynną modlitwę przed ograbieniem ciała zabitego. Była to ta sama brutalność, którą się odznaczało życie takiego Benvenuto Cellini – żyjącego dziesięć stuleci po opisanym czasie. Wszyscy arystokraci Brytanii byli obecni wraz z rodzinami na wszystkich nabożeństwach porannych, dziennych i wieczornych w swoich kaplicach. Poza tym wszyscy, nawet najbardziej grzeszni z nich, pięć, sześć razy dziennie odmawiali swe zwykłe domowe modlitwy. Po nabożeństwie obiadowano w wielkiej sali oświetlonej setkami lamp z płonącym tłuszczem i ozdobionej z prostą wspaniałością owych czasów. W pierwszej połowie sali był ustawiony na podwyższeniu stół dla króla, królowej i ich syna, Uwayne'a. W górę od tej estrady ciągnęły się stoły. Przy pierwszych siedzieli przyjezdni goście, arystokraci

i członkowie rodziny królewskiej w liczbie sześćdziesięciu i jednego człowieka. Dalej zajmowali miejsca dworzanie. Ucztowało sto osiemdziesiąt osób, przy czym za krzesłem każdego biesiadnika stał sługa, a dookoła kręcił się tłum innych. Było to imponujące widowisko. Na galerii znajdowała się orkiestra składająca się z cymbałów, rogów, harf oraz innych instrumentów.

Przy wejściu orszaku królewskiego na salę orkiestra zagrała jakąś przeraźliwą melodię przypominającą agonię lub płacz umierającego. W późniejszych stuleciach rzecz ta stała się popularna pod nazwą „Słodycz Spotkania”. Podówczas była ona zupełnie nowa i mało znana, sądząc z wykonania, nawet muzykantom. Z tego, czy też innego powodu królowa kazała powiesić kompozytora natychmiast po obiedzie. Po muzyce, pater stojący przy królewskim stole odmówił długą modlitwę po łacinie. Potem cały batalion sług zerwał się z miejsca, wszyscy zaczęli się gorączkowo uwijać, latać na wszystkie strony, przynosząc dziesiątki dań, i uczta się zaczęła. Zamilkły śmiech i rozmowy, towarzystwo było obecnie całkowicie zaabsorbowane pochłanianiem przysmaków. Szczęki miarowo otwierały się i zamykały jednocześnie, młaskając i wydając dźwięk przypominający zgrzyt podziemnej maszyny.

To napychanie się trwało półtorej godziny, w ciągu których została pochłonięta niewiarygodna ilość jedzenia. Z głównej ozdoby stołu – olbrzymiego pieczonego niedźwiedzia, nie zostało nic, prócz czegoś w rodzaju krynoliny z żeber. Ten sam los spotkał również i pozostałe dania. Po wetach rozpoczęła się pijatyka, która rozwiązała języki. Beczułki wina i miodu zniknęły jedna za drugą i ukazywały się znowu, towarzystwo stawało się coraz bardziej hała-

śliwe i wesołe. Żarty, dowcipy i rozmowy, w których brały udział również i damy, stawały się coraz bardziej rozwiązłe. Mężczyźni opowiadali anegdotki, których nie podobna było słuchać lecz które tu na niczyjej twarzy nie wywoływały rumieńca wstydu. Gdy zaś sprośność przekraczała wszelkie granice, wówczas całe zebranie pokładało się od śmiechu, który przypominał końskie rzenie i od którego drżały ściany. Damy odpowiadały na to historyjkami, które by w stanie były zażenować nawet królową Małgorzatę Nawarską lub Katarzynę Wielką. Tu zaś te rzeczy nikogo nie konfundowały, lecz odwrotnie, wszyscy ryczeli ze śmiechu na najrozmaitszy sposób. Bohaterami najbardziej obleśnych historyj były osoby z duchowieństwa, co nie przeszkadzało bynajmniej kapelanowi zaśmiewać się wraz z resztą towarzystwa. Co więcej, ustępując ogólnym prośbom dobry pater zaśpiewał ochrypniętym głosem najbardziej pikantną ze wszystkich piosenek, jakie tu śpiewano tej nocy.

Koło północy wszyscy byli wyczerpani pićm i krzykiem i naturalnie wszyscy byli pijani. Jedni byli ponurzy, drudzy podnieceni, niektórzy tylko weseli, inni rozmarzeni, a inni znowu spali jak zabici pod stołem. Z dam najokropniejszy widok przedstawiała młodzianka wesoła księżna, dopiero od niedawna zamężna. Prześcignęła ona nawet słynną wiele wieków później córkę Regenta Orleańskiego, którą wyniesiono z sali po wielkoświatowym proszonym obiedzie pijaną do utraty przytomności. Było to za ostatnich haniebnych dni starego reżimu.

Nagle, kiedy kapelan podniósł ręce, a wszyscy, którzy nie stracili jeszcze przytomności, pochylili głowy, by przyjąć błogosławieństwo, we drzwiach pod arkadą ukazała się siwa zgarbiona staruszka. Wskazując na królową podniosła kulę, którą się opierała, i zawołała:

– Niech zemsta, niech przekleństwo spadnie na twą głowę, okrutna kobieto, któraś zabiła mego nieszczęsnego wnuka! Nie miałam nikogo, ani krewnych, ani przyjaciół, nikogo prócz tego dziecka!

Wszyscy w najwyższym przestachu zaczęli się żegnać, gdyż ogromnie się lękano przekleństwa. Jedna tylko królowa podniosła się i z majestatycznym gestem rzuciła okrutny rozkaz:

– Zawlecźcie ją i przywiąźcie do słupa!

Straż się rzuciła, aby czym prędzej wypełnić rozkaz. Była to hańba, wstyd mi było na to patrzeć. Ale co tu czynić? Sandy spojrzała na mnie, pojąłem, że zeszło na nią natchnienie.

– Rób, co uważasz za właściwe! – rzekłem.

Wówczas wstała i zwróciła się do królowej. Po czym wskazując na mnie wyrzekła:

– Madame, on mówi, że tego nie powinno być. Zastosujmy się do jego rozkazów, gdyż w przeciwnym razie zniszczy on zamek i zetrze go z oblicza ziemi wraz ze wszystkimi, którzy się tu znajdują!

Jak jej mogło przyjść do głowy stawiać tak szalone warunki! A co, jeśli królowa... Lecz nie zdążyłem się jeszcze opamiętać z przestachu, jak już królowa dygocząc z przerażenia dała straży znak, by zaniechała wypełnienia rozkazu, i bez słowa upadła raczej, niż usiadła na swoje miejsce, zapomniawszy o wszelkich ceremoniach. Zebranie zerwało się jak jeden mąż i rzuciło się ku drzwiom przewracając krzesła, tłukąc naczynia, walcząc i popychając się wzajemnie. W jednej chwili zrobiło się dookoła mnie pusto. Tak, ci ludzie byli zdumiewająco zabobonni i należało z tego zrobić użytek.

Biedna królowa do tego stopnia zmieniła się w owieczkę, że nawet bała się powiesić kompozytora nie poradziwszy się uprzednio ze mną. Było mi jej bardzo żal, tak czy inaczej biedactwo bardzo cierpiało. Postanowiłem korzystać ze swego wpływu rozumnie, nie nadużywając go. Sprawę kompozytora należało rozpatrzyć i stanęło na tym, że kazałem orkiestrze powtórnie zagrać „Słodycz Spotkania”. Po czym doszedłem do przekonania, że królowa miała kompletną rację, i pozwoliłem jej powiesić całą orkiestrę. To małe obluźnienie korbów wywarło na królowej nadzwyczajne wrażenie. Mąż stanu mało zyskuje, jeżeli zbyt przeciąga strunę autorytetu, gdyż to obraża ambicję podwładnych i tym samym podważa jego siłę. Mądra polityka poleca pewną pobłażliwość tam, gdzie nie może ona przynieść szkody.

Gdy królowa przysłała do siebie po przeżytych strachu, wypite wino znów zaczęło robić swoje i powrócił dawny humor. Znów popłynęły słodkie dźwięki, znów zadźwięczały srebrne dzwoneczki jej głosu. Ależ potrafiła mówić ta kobieta! Jednakowoż zacząłem odczuwać zmęczenie i chęć spoczynku – z przyjemnością wyciągnąłbym się na łóżku, gdybym nie był zmuszony podporządkowywać się okolicznościom. A ona wciąż dzwoniła i dzwoniła, długo rozbrzmiewał jej głos w pustej sali.

Nagle usłyszałem jakieś oddalone dźwięki wydobywające się jakby spod ziemi, dźwięki mówiące o tak nieludzkich cierpieniach, że aż dreszcz przebiegł mnie całego. Królowa zamilkła, oczy jej zabłyśły i z gracją przechyliła główkę na bok, niby nasłuchujący słowik. Jęki coraz wyraźniej i dobitniej dochodziły wśród ciszy, która nastąpiła.

– Co to? – zapytałem.

– Drobiazg! To rogata, twarda dusza nie chce zmięknąć i opuścić ciała. Już od wielu godzin to wytrzymuje.

– Co wytrzymuje?

– Tortury. Chodźmy, ujrzysz piękne widowisko. Jeden z moich ludzi nie chce wydać swej tajemnicy, zobaczysz, jak go rozszarpują.

Jakże pieszczotliwie i miękko wysunęła swe szpony! Jakże niezmaczenie spokojna była wtedy, gdy mnie pociemniało w oczach na myśl o torturach tego człowieka. W otoczeniu straży oświetlającej drogę płonącymi pochodniami zstępowaliśmy na dół ciemnymi wilgotnymi korytarzami, po krętych kamiennych schodach. Ze ścian ściekała woda, wilgoć przeszływała mnie dreszczem aż do szpiku kości, w powietrzu unosił się stęchły zapach podziemia. Nasza wędrowka w jakąś nieznaną ciemną głębię wydawała się nieskończenie długą i nie stawała się ani krótszą, ani przyjemniejszą od rozmów pięknej okrutnicy. Królowa opowiadała o torturowanym, o jego zbrodni. Na podstawie anonimowej skargi został on oskarżony o zabójstwo jelenia w królewskich lasach.

– Anonimowe skargi nie zawsze są wiarogodne, królowo! – zwróciłem się do niej – sprawiedliwość wymaga skonfrontowania oskarżyciela z oskarżonym.

– Nie pomyślałam o tych drobiazgach, lecz gdybym nawet chciała, nie mogłabym tego uczynić, gdyż oskarżyciel przyszedł w nocy zamaskowany i powiedziawszy kilka słów leśniczemu momentalnie znikł.

– A więc prócz niego, nikt nie widział, jak zabito jelenia?

– Ach, mój Boże! w ogóle nikt nie widział jak zabijano jelenia. Ale nieznajomy widział tego nędznika niedaleko miejsca, gdzie leżał zabity jelen, i momentalnie doniósł leśniczemu. Postępek godny pochwały.

– To znaczy, że nieznajomy też się znajdował w pobliżu zabitego jelenia. Wobec tego można również przypuścić, że to on zabił jelenia, czego dowodzi jego chwalebna zresztą gorliwość jak również i to, że był zamaskowany! Lecz dlaczego, królowo, uważałaś za wskazane poddać torturom zbrodniarza?

– W przeciwnym bowiem razie nie przyznałby się i nie wyspowiadał, i duszy jego groziłoby wieczne potępienie. Ja zaś dla uratowania własnej duszy nie mogę dopuścić, by on umarł bez skruchy i odpuszczenia grzechów. Byłabym idiotką, gdybym przez niego miała trafić do piekła.

– Ale niechże Wasza Wysokość sobie wyobrazi, że ten człowiek nie ma do czego się przyznać?

– To właśnie zobaczymy. Jeśli go zameczą na śmierć, a on jednak się nie przyzna, to będzie to znaczyło, że rzeczywiście nie ma się do czego przyznawać. I wówczas nikt mnie nie osądzi za to, że się człowiek nie przyznał, gdy się nie miał do czego przyznać.

Byłoby zupełnie pozbawione sensu tracić czas i wysiłki, aby ją przekonać. Wszelkie dowody rozbijały się o jej skamieniałe przesady, jak fala o skałę. I tymi przesadami byli zarażeni

wszyscy bez wyjątku. Najmędrzy człowiek w kraju nie był w stanie spostrzec absurdalności jej poglądów na tę sprawę.

Gdy weszliśmy do podziemia, ujrzałem obraz, którego nie mogę zapomnieć do dziś dnia. Młody olbrzym lat trzydziestu lub koło tego leżał na plecach w czworokątnej drewnianej ramie, przy czym ręce jego i nogi były przymocowane w przegubach do sznurów połączonych z kołami po obydwóch stronach ramy. Z twarzy jego zbiegła cała krew, wielkie krople zimnego potu zastygły na jego czole. Ojciec duchowny stał pochylony nad nim z jednej strony, kat z drugiej, straż stała dookoła, wzdłuż ścian paliły się pochodnie. W kącie skuliła się nieszczęśliwa młoda kobieta, której twarz wykrzywił spazm rozpacz. W oczach jej zastygł wyraz dzielnego przerażenia. Małe dziecko spało na jej kolanach. Kiedyśmy weszli i przystanęli na progu, kat obracał koło maszyny. Równocześnie rozległ się przeraźliwy jęk torturowanego i kobiety. Ja również nie powstrzymałem się od okrzyku zgrozy i kat wypuścił koło nie oglądając się na drzwi. Nie mogłem dłużej znieść tego widowiska, które mnie mogło zabić. Poprosiłem królową o pozwolenie podejścia do przestępcy i pomówienia z nim sam na sam. Gdy się zaczęła sprzeczać, powiedziałem jej, że nie chciałbym jej robić przykrości w obecności podwładnych, lecz będę jednak obstawał przy swoim. Jestem tu przedstawicielem króla Artura i mówię w jego imieniu. Wtedy Morgan le Fay zrozumiała iż musi mi być posłuszną. Z wielką przykrością połknęła tę pigułkę i odeszła na stronę, dalej nawet, niż trzeba było. Miałem właśnie zamiar powołać się na rozkaz królowej, lecz uprzedziła mnie powiedziawszy: „Róbcie, co wam rozkaże ten sir. To jest sam Patron”. Nazwa moja i tutaj miała magiczne działanie. Straż królowej posłuszenie wyszła w ślad za swoją panią z płonącymi pochodniami budząc echo drzemiących korytarzy miarowym odgłosem oddalających się kroków. Zdjąłem więźnia z ramy i ułożyłem na łożu, potem wymyłem i opatrzyłem rany oraz dałem mu wina. Kobieta podpełzła bliżej i spoglądała na nas z miłością, lecz równocześnie z obawą, jakby się lękając, że ją odepchnę. Spróbowała nawet dotknąć ręką czoła męża, lecz natychmiast ze strachem odskoczyła, gdy tylko na nią niechęć spojrzalem. Jaką głęboką litość wzbudzał ten obraz!

– Ależ na Boga popieść go, jeżeli chcesz – zwróciłem się do kobiety – nie bój się niczego, nie zwracaj na mnie uwagi! – Kobieta spojrzała na mnie z wdzięcznością zamęczonego zwierzęcia, które rozumie, że tym razem nie chcą mu zrobić nic złego. Wypuściwszy dziecko z rąk schyliła się ku mężowi, przytuliła się do niego głaskała go delikatnie po głowie, a łzy bez przerwy lały się z jej oczu. Mąż patrzył na nią wzrokiem pełnym miłości. Jego wymęczone torturami ciało nie pozwalało mu unieść nawet ręki. Korzystając z tego, że zostaliśmy sami, powiedziałem:

– Teraz, przyjacielu, opowiedz, jak się ta sprawę przedstawia w twoim oświeceniu?

Człowiek nic nie mówił, lecz twarz kobiety się ożywiła.

– Czy znacie mnie? – zapytałem.

– Tak. Wszyscy uciekają do królestwa króla Artura.

– A więc nie bójcie się mnie!...

– Ach, szlachetny panie, gdybyś potrafił go pokonać, a ty potrafisz, co zechcesz. On tak cierpiał i wszystko przeciw dla mnie, dla mnie! Jak można to wytrzymać! O, gdybym mogła go ujrzeć umarłego! Wolę cię widzieć martwego, niż patrzeć na twe cierpienia! O, mój Hugonie, nie mogę tego już dłużej znosić!

Padła ku moim nogom i płakała łkając i błagając mnie. Ale, o co błagała? O śmierć dla męża?! nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Lecz tu wtrącił się Hugon.

– Milcz, sama nie wiesz, o co prosisz! Czyż mam, ażeby samemu spokojnie i bez cierpień umrzeć, skazać na głodową śmierć mych najbliższych?!

– Lecz ja nadal nic nie rozumiem, tu jest jakieś nieporozumienie.

– Ach, drogi panie, przekonamy go! Spójrz, jaką torturą dla mnie jest jego męka! A on nie chce mówić! Nie chce dostąpić pociechy cichej, spokojnej śmierci!

– Ależ o czym tu mówicie! Twój mąż nie ma wcale potrzeby umierać, odejdzie stąd i będzie wolnym człowiekiem.

Błada twarz Hugona ożywiła się, a żona rzuciła się do mych kolan pełna niewymownego szczęścia i zachwytu.

– On jest uratowany! – krzyknęła – słowa twoje są słowami króla, jesteś wysłańcem króla Artura i słowa króla są złotem!

– Dobrze. Więc widzicie teraz, że możecie mi zaufać. Dlaczegoż więc mi nie ufacie? Opowiedzcież mi tę całą historię z jeleniem. Doskonale widzę, że nie przyznaliście się dlatego, że nie mieliście się do czego przyznać!

– Jak to nie miałem do czego się przyznać, Panie?! Przecież to ja zabiłem jelenia!

– Wyście zabili? Moi kochani, teraz już nic nie rozumiem.

– Drogi panie, ja na kolanach go błagałam, by się przyznał, ale...

– Wyście prosili? Coraz mniej rozumiem... Po cóż go o to prosiliście?

– Gdyż wtedy umarłby prędko i bez męczarni.

– Tak, to ma swoje podstawy, ale czyż on sam nie chciał prędkiej śmierci bez tortur?

– On? Ależ naturalnie, że chciał.

– Więc czemu się nie przyznał?

– Ach, szlachetny sir, niełatwo jest zostawić żonę i dziecko bez chleba i bez dachu nad głową!

– O, złote serce! Wszystko teraz rozumiem! Okrutne prawo konfiskuje majątek przestępcy, który się przyzna, a rodzinę puszcza z torbami w świat. Zamęczono by tu ciebie do śmierci, ale bez przyznania się do winy z twojej strony nie ograbiono by wdowy i dziecka. Postąpiłeś jak dobry mąż. A ty, wierna żono, jak prawdziwa kobieta, chciałaś kupić mu spokojną śmierć ceną własnej powolnej śmierci głodowej. Oboje poświęcaliście się jedno dla drugiego. Wezmę was do swojej kolonii. Znajdzie się tam dla was praca. Jest to moja fabryka gdzie z automatów czynię ludzi.

16

Podziemia królowej

Udało mi się wreszcie uwolnić więźnia. Miałem natomiast gorącą chęć skazania kata na tortury. Nie za to, że spełniał swój obowiązek gorliwie męcząc przestępcę – nie można przecież karać za spełnienie obowiązku. Lecz chciało mi się odpłacić mu za okrutne obchodzenie z biedną kobietą, za jego naigrywania się z niej. O tym donieśli mi i gorąco mnie prosili, bym go ukarał, obecni przy tym duchowni.

Niektórzy z tych ludzi, trzeba przyznać, byli zdolni do szlachetnych uczynków. Później nawet miewałem niejednokrotnie sposobność stwierdzić, że nie tylko wszyscy duchowni nie są oszustami i samolubami, lecz nawet że większość z nich, szczególnie duchowni chłopskiego pochodzenia, jest bezinteresowna, dobra i poświęca całe swe życie, aby nieść ulgę swym bliźnim. Wracając do poprzedniego, z jednej strony, nie mogłem skazać kata na tortury ze względu na królową, z drugiej zaś, nie mogłem nie spełnić zupełnie słusznych żądań duchownego. Tak czy inaczej, oprawca powinien być zostać ukarany; wymówiłem mu więc dotychczasowe miejsce i mianowałem go kapelmistrzem nowej orkiestry. Skazaniec prosił mnie o łaskę zaklinając się, iż nie ma pojęcia o muzyce; ale był to powód, który tylko w bardzo nieznacznym stopniu można było wziąć pod uwagę; w całym kraju nie było bowiem muzykanta mającego jakie takie pojęcie o muzyce.

Na drugi dzień królowa czuła się ogromnie urażona dowiedziawszy się, że nie będzie mogła zabrać Hugonowi ani życia, ani majątku. Lecz powiedziałem jej, że musi się pogodzić z losem i cierpliwie dźwigać swój krzyż. Choć zgodnie z prawem i zwyczajem miała ona prawo do życia i majątku przestępcy, lecz w tym wypadku zachodziły łagodzące okoliczności. Przebaczyłem mu winę w imieniu króla Artura. Jeleń stratował pola Hugona i ten uniesiony gniewem zabił go nie myśląc bynajmniej o przywłaszczeniu zwierzęcia sobie. Odnosił nawet jelenia do królewskiego lasu mając nadzieję ukryć tym sposobem zbrodnię. Nie mogłem jej w żaden sposób wytłumaczyć, że stan podniecenia jest uważany za łagodzącą okoliczność nie tylko w razie zabójstwa zwierzęcia, ale i człowieka. Zostawiłem ją przy swoim zdaniu nadąsaną. Myśląc jednak, że ją przekonam, gdy przypomnę jej własne zaślepienie gniewem przy zabójstwie pazia, nawiązałem do tego rozmowę mówiąc o jej czynie jako o zbrodni.

– Zbrodnia! – krzyknęła z oburzeniem. – Jak możesz tak mówić! Przecież ja płacę za pazia!

Zrozumiałem, że nonsensem byłoby żywić jakąkolwiek nadzieję, iż zmieni kiedyś swój punkt widzenia.

– Madame – powiedziałem – naród z pewnością będzie cię wielbił za twe miłosierdzie. – Niemniej pewne było to, że z przyjemnością powiesiłbym ją za to miłosierdzie na pierwszym lepszym sęku.

Zebrawszy się na odwagę postanowiłem zwrócić się ze swoimi sprawami do Jej Królewskiej Mości. Opowiedziałem jej, że oswobodziłem wszystkich więźniów w Camelocie i kilku sąsiednich zamkach. Za jej zezwoleniem chciałem również obejrzeć kolekcję jej klejnocików, jeśli można się tak wyrazić o jej więźniach. Królowa protestowała; lecz ja obstawałem przy swoim. Wreszcie prędzej, niż na to mogłem liczyć, wyraziła swą zgodę. Tym sposobem moje zabiegi zostały uwieńczone powodzeniem. Morgan la Fay zawołała straż z pochodniami i wyruszyliśmy do podziemi. Podziemia znajdowały się w fundamentach zamku i po większej części były to niewielkie zagłębienia w skałach. Do niektórych zupełnie nie dochodziło światło. W jednej z takich nor ujrzeliśmy istotę w brudnych cuchnących łachmanach siedzącą na

ziemi ze spuszczoną głową. Nie wydała ona ani dźwięku w odpowiedzi na nasze zapytania, spojrzała jedynie parę razy poprzez kosmyki włosów opadające na twarz, jak gdyby chcąc się dowiedzieć, co to się wdarło wraz z dźwiękiem i światłem w bezmyślną, tępą drzemkę, w jaką zmieniło się jej życie. Potem znowu opuściła głowę i siedziała schylona z rękami opadającymi na kolana. Ten nieszczęsny półżywy szkielet wyobrażał widocznie kobietę. Jak się dowiedziałem, była ona jeszcze niestara, trafiła tu, mając lat osiemnaście, a przebywała w ciemności od dziewięciu lat. Była to kobieta ze wsi i osadzona tu została w swą noc poślubną za to, że odmówiła swemu panu, sirowi Breuse Sans Pitié, tego, co się nazywało wówczas „le droit de seigneur” lub „lex primae noctis”. Opierając mu się, odchodząc od zmysłów ze strachu i rozpaczony przelała kilka kropel jego drogocennej krwi. Nowożeniec sądząc, że życie jego młodej żony jest w niebezpieczeństwie, wdarł się do komnaty i wyrzucił stamtąd swego pana do komnaty obok, ku drżącym ze strachu gościom. Tam też go pozostawił zdumionego dziwnym zachowaniem się swych wasalów i naturalnie rozwścieczonego na nich do ostateczności. Ponieważ lord nie posiadał własnych lochów, więc zwrócił się z prośbą do królowej, by dała u siebie schronienie obojgu przestępcom. I od tego czasu, gdy została dokonana „zbrodnia”, od tej nieszczęśliwej godziny, byli oni zamurowani oboje w tych strasznych podziemiach, o pięćdziesiąt kroków od siebie i jedno nie wiedziało nawet, czy drugie żyje. Pierwsze lata ze łzami pytali się jeszcze: „czy żyje?” Ich próby zapewne byłyby w stanie wzruszyć kamienie, lecz widocznie serca strażników twardsze były od kamieni. Nigdy nie otrzymali odpowiedzi i wreszcie przestali zadawać pytania nie tylko te, ale w ogóle wszelkie.

Wysłuchawszy tę historię wyraziłem chęć zobaczenia męża. Mężczyzna, mający dopiero 34 lata, wyglądał jak siedemdziesięcioletni starzec. Siedział na bryle kamiennej z opuszczoną na ręce głową, długie włosy spadały mu na oczy. Patrząc tępo w jeden punkt bez przerwy coś bełkotał do siebie. Spojrzał przez chwilę na pałającą pochodnię, znowu opuścił głowę bełkocząc i nie zwracając na nas najmniejszej uwagi.

Oswobodziłem ich oboje i odesłałem do krewnych i przyjaciół. Królowa nie była tym zachwycona, nie dlatego, że była osobiście dotknięta moim czynem, lecz dlatego, że nie chciała obrazić sira Sans Pitié. Zapewniłem ją, że jeżeli zacznie wyrażać niezadowolenie, potrafię go uspokoić.

Ogółem uwolniłem z tych strasznych nor czterdzieści siedem osób, zostawiwszy tam tylko jednego człowieka. Był to lord, który zamordował jakiegoś pobratymca królowej. Krewniak ten przygotował dlań pułapkę, by go zabić, lecz ten okazał się sprytniejszy i poderżnął mu gardło. Naturalnie, że nie za to chciałem zostawić go w lochu, lecz za to, że zrujnował całą wieś w swych posiadłościach. Królowa miała chęć powiesić go za zabójstwo krewnego. Lecz objaśniłem jej, że nie można uważać za zbrodnię zabójstwa mordercy. Za zrujnowanie wsi natomiast godziłem się go powiesić natychmiast. Królowa po krótkim namyśle ustąpiła.

Mój Boże, za jakie drobiazgi rzucono tu do tych okropnych lochów owych czterdzieści siedem osób, mężczyzn i kobiet. Niektórzy trafiali tu bez najmniejszej winy a wprost na skutek czyjejś urazy i nienawiści, nie tylko królowej, ale także i jej przyjaciół. Jeden z najdłużej przebywających tu zbrodniarzy został uwięziony za wypowiedzenie nieostrożnej uwagi o tym, że wszyscy ludzie są jednakowi i że gdyby rozebrać cały naród do naga i wpuścić do kraju cudzoziemca, to nie odróżniłby on króla od pierwszego lepszego rybaka a księcia od własnego sługi. Widocznie umysł tego człowieka nie uległ całkowitej atrofii nie bacząc na idiotyczne wychowanie i środowisko. Oswobodziłem go i odesłałem do swojej fabryki.

Niektóre z nor wyrąbanych w skale leżały tuż nad przepaścią i przez wąską szczelinę uwięziony mógł widzieć promień błogosławionego słońca. Klatka jednego z tych nieszczęśników była urządzona ze specjalnie wyrafinowanym okrucieństwem. Z ciemnego i ponurego swego gniazda skalnego, znajdującego się na olbrzymiej odległości, mógł widzieć przez wąską szparę swój dom w dalekiej dolinie. W ciągu dwudziestu lat rozdzierał sobie serce widokiem rodzinnego utraconego ogniska. Widział ognie migocące w oknach wieczorami, a w

dzień wpatrywał się w postacie przychodzących i wychodzących osób, żony i dzieci, jak mógł przypuszczać – przypuszczać, gdyż rozróżnić poszczególne osoby z takiej odległości było naturalnie niesposób. W ciągu długich lat widział uroczystości i starał się odgadnąć, czy to nie ślub któregoś z dorosłych synów lub córek. Widział i pogrzeby, które rozdzierały mu serce. Rozpoznawał trumnę, lecz nie rozróżniał wielkości jej i nie wiedział, kogo traci: żonę czy dziecko. Cała smutna procesja z odprowadzającymi trumnę krewnymi i duchowieństwem przechodziła przed jego oczyma zabierając ze sobą tajemnicę. Idąc do więzienia zostawił on w domu żonę i pięcioro dzieci, a w ciągu dziewięciu lat widział pięć żałobnych procesyj wychodzących z jego domu. Ze wspaniałości orszaku mógł sądzić, że umarł ktoś z rodziny, nie ze służby, i łamał sobie głowę nad tym, kogo porwała śmierć. Pięć swoich skarbów już stracił. A więc jeszcze z drogich mu istot przy życiu została tylko jedna, szczególnie teraz droga i kochana.

Ale kto? żona czy dziecko? I które?

W dzień i w nocy, we śnie i na jawie dręczyło go natrętne pytanie. Promień słoneczny i niedające mu spokoju zainteresowanie się życiem jego najbliższych miały jedną dobrą stronę; uchroniły umysł jego przed ostateczną katastrofą, przed zwierzęcym stępieniem.

Gdy opowiedział swe fantastyczne dzieje, przejąłem się nimi tak, że opanowała mnie prawdziwa gorączka hazardu, że niemal nie mniej od niego pragnąłem dowiedzieć się, kto został żywy z jego rodziny. Sam odprowadziłem go do domu i byłem świadkiem namiętnych, burzliwych przejawów radości i szczęścia. Były to wybuchy radości podobne do wulkanów i potoki łez przypominające Niagarę. I jakże wielkie było nasze zdziwienie! Spotkała nas siwa, czerstwa jeszcze matka jego; i żona otoczona młodymi mężczyznami i kobietami, którzy byli żonaci już i zamężni i mieli już własne dzieci. Wszyscy sześcioro – żona i dzieci byli żywi! Tutaj dopiero poznałem szatańską pomysłowość królowej, która, będąc specjalnie wrogo usposobiona względem tego więźnia, wydała rozkaz urządzania fikcyjnych pogrzebów, by go w ten sposób dręczyć.

I pomyśleć, że gdyby nie ja, nigdy by już nie odzyskał wolności i o niczym by się nie dowiedział. Morgan le Fay szczerze go nienawidziła i nigdy mu nie mogła przebaczyć jego przewinienia. A tymczasem przyczyną jego zbrodni była raczej lekkomyślność niż zła wola. Ośmielił się powiedzieć, że królowa ma rude włosy. Były one rzeczywiście rude, ale nie wolno było o tym mówić. Kiedy wysoko postawione osoby miały rude włosy, to należało je nazywać złotymi.

Trudno sobie to wyobrazić, ale wśród czterdziestu siedmiu więźniów było pięciu, których nikt nie znał z imienia, nikt nie wiedział, za co i kiedy zostali uwięzieni. Wszyscy wiedzieli, że ci nieszczęśliwi siedzą tu bardzo dawno, ale nikt nie wiedział od kiedy. Według niektórych, już 35 lat temu uważani byli za dawnych więźniów, lecz dokładnej liczby lat ich uwięzienia nie domyślano się nawet. Król i królowa również nic nie wiedzieli o tych nieszczęśliwych, lecz przyjęli ich jako część odziedziczonego po poprzednim władcy inwentarza. Zostali oni przyjęci jako pewien spadek nieprzedstawiający wartości i dlatego niezasługujący na zainteresowanie. „A więc po coście ich trzymali?” zapytałem królową. Pytanie to wprawilo ją w zakłopotanie. Nie wiedziała po co, gdyż po prostu nigdy o tym nie myślała. Dla mnie zaś było najzupełniej oczywiste, że według jej pojęć ci odziedziczeni przez nią więźniowie byli jej własnością i poza tym niczym. Gdy dostajemy coś w spadku nie przychodzi nam na myśl wyrzucić tego przez okno, nawet w tym wypadku, gdy to „coś” nie przedstawia żadnej wartości. Gdy wyprowadziłem moją procesję ludzkich ruin na światło Boże uprzednio zawiązawszy im oczy, które dziesiątki lat nie widziały słońca, było na co patrzeć. Gromada szkieletów, potworów i widm mniejsze by wywarła wrażenie.

– Dobrze byłoby teraz ich wszystkich sfotografować! – mimo woli wyrwało mi się na ich widok.

Znamy wszyscy ludzi, którzy nigdy się nie przyznają, że nie zrozumieli jakiegoś obcego wyrazu. Im bardziej są nieokrzesani, tym bardziej starają się wykazać coś wręcz przeciwnego. Królowa należała właśnie do tego gatunku ludzi i dlatego jej rozmowy ze mną nie były pozbawione częstokroć najbardziej nieprzewidzianych i zabawnych momentów.

I tym razem zamyśliła się na chwilę, później twarz jej się rozjaśniła i odchodząc powiedziała mi, że z chęcią uczyni to dla mnie.

Byłem zaskoczony wiadomością, że królowa ma pojęcie o fotografii. Ale moja towarzyszka niedługo mi się pozwoliła namyślać. Obejrzawszy się ujrzałem, że zbliża się do procesji z toporem w ręku.

Doprawdy zadziwiającą kobietą była ta Morgan le Fay! Znałem w swoim czasie różne kobiety, lecz pod względem oryginalności i skomplikowania przewyższała ona je wszystkie o niebo. Oto był charakterystyczny dla niej epizod! Królowa, rozumie się, nie bardziej od pierwszej lepszej krowy rozumiała, co znaczy fotografować procesję, lecz rozstrzygnęła swą wątpliwość próbując zastąpić aparat siekierą.

Zamek potworów

Następnego dnia byliśmy już z Sandy w drodze. W ciągu trzech godzin, od 6 do 9, zrobiliśmy dziewięć mil, co jest zupełnie dostateczne dla konia, obciążonego potrójnym ciężarem: kobietą, mężczyzną i zbroją. Wreszcie spoczęliśmy pod drzewami w pobliżu przezroczyściego źródła.

Akurat w tym samym czasie spostrzeżliśmy jakiegoś zbliżającego się do nas rycerza. Był tak blisko nas, że rozróżniałem wyraz niezadowolenia na jego twarzy i słyszałem soczyste przekleństwa, jakie miotał.

Jednakowoż ogromnie się ucieszyłem, gdy przeczytałem na jego plecach olbrzymią reklamę, wymalowaną błyszczącymi złotymi literami: „Używajcie wszyscy patentowanych szczotek do zębów! Wszyscy używają!”

Po tej reklamie poznałem jednego ze swoich zuchów. Był to sir Madok de Monden kolosalny chłop słynny z tego że kiedyś omal nie wysadził z siodła samego sira Lancelota. Nie przepuszczał on nigdy okazji pochwalenia się tym, szczególnie przed obcymi ludźmi.

Opowiadając wszakże to zdarzenie pomijał dyskretnie milczeniem zazwyczaj jeden tylko drobny szczegół, ten mianowicie, że ostatecznie jedynie dlatego nie wysadził z siodła sir Lancelota, że sam został zeń wysadzony. Naiwny dryblas nie zauważał istotnie różnicy między tymi dwoma faktami. Co do mnie, lubiłem i ceniłem go wielce za to, że nadzwyczaj poważnie i sumiennie pełnił swoje obowiązki.

Imponujące wrażenie wywierały jego szerokie ramiona i pierś przykryta pancerzem, jego pióropusz, olbrzymia tarcza i oryginalna dewiza na ręce, ubranej w żelazną rękawicę: „Używajcie Nojalont!” brzmiał napis pod wyobrażeniem szczotki do zębów. Była to wynaleziona przeze mnie pasta do zębów. Mówił, że jest strasznie znużony i rzeczywiście. robił takie wrażenie, choć jednakowoż nie chciał zsiąść z konia. Twierdził, że ściga rycerza Łażni. Na wspomnienie, tego człowieka, znów wymysły i przekleństwa posypały się z jego ust. Reklamowanie łaźni było powierzone przeze mnie sirowi Osserowi ze Surluzu – odważnemu rycerzowi znanemu na ogół ze swych uwieczonych powodzeniem walk na turniejach. Był to pełen życia wesoły człowiek, nic sobie z niczego nie robiący. Tego to właśnie obywatela wybrałem, by wzbudzał w obywatelach Brytanii zamiłowanie do kąpania się w łaźni. Trzeba wiedzieć, że ludzie nie mieli tu pojęcia nie tylko o łaźni, ale w ogóle o przyzwoitym myciu się. Wszyscy ajenci moi zobowiązani byli stopniowo i zręcznie przygotowywać społeczeństwo ku wielkiej przemianie, tymczasem zaś wpajać im przynajmniej przekonanie o potrzebie czystości i o łaźni jako drodze ku niej.

Sir Madok był wściekły i bez wytchnienia wyrzucał z siebie krocie przekleństw. Mówił, że niech Pan Bóg go skarże, jeżeli zejdzie z konia lub w ogóle pomyśli o odpoczynku, zanim nie znajdzie sira Ossera i nie porachuje się z nim. O ile mogłem zrozumieć z jego poszczególnych okrzyków i zdań, o świecie zdarzyło mu się spotkać z rycerzem Łażni, który powiedział mu, że skróciwszy drogę i ruszywszy na przełaj poprzez błota, pagórki i gęszcze napotka całą partię podróżników najbardziej nadających się do zużytkowania jego szczotek do zębów. Po trzygodzinnym błędzeniu wśród trzęsawisk napotkał pięciu patriarchów wypuszczonych przeze mnie poprzedniego dnia z lochów królowej! Nieszczęśliwi staruszkowie już dwadzieścia lat temu zapomnieli o przeznaczeniu tej niewielkiej resztki zębów, która im została!

– Ażeby go wszyscy diabli! – w dalszym ciągu wymyślał rycerz – już ja mu urządę taką łaźnię, że mnie popamięta. Nigdy jeszcze nikt nie wystrychnął mnie tak na dudka, jak ta wąsata tyka! Niech mi naplują w twarz, jeśli się nie zemszczę!

Obrażony rycerz zostawił nas, nie przestając przeklinać i potrząsając groźnie włócznią. W południe spotkaliśmy jednego z patriarchów w jakiejś nędznej wiosce. Grzał się w ciepłe pieszczoty rodziny i przyjaciół, których nie widział od lat pięćdziesięciu. Pieściły się z nim i uwijały się dookoła niego dzieci jego licznego potomstwa, których nigdy nie widział.

Lecz dla niego wszyscy byli obcymi, gdyż pamięć jego zanikła, a myśli zasnęły. Trudno uwierzyć, że ten człowiek mógł egzystować jak szczur w ciemnej norze w ciągu połowy stulecia, lecz tu była obecna żona, żywy świadek tego faktu.

Nikt z nowego pokolenia w zamku nie wiedział, za co ich dziad pokutuje i kiedy został uwięziony. Zbrodnia jego nigdzie nie była odnotowana. Lecz pamiętała o tej zbrodni stara żona, wiedziała o niej również starsza córka stojąca teraz obok swoich żonatych synów i zamężnych córek, zapatrzona w ojca, którego znała jedynie z imienia.

Po upływie dwóch dni koło południa Sandy zaczęła okazywać niepokój i gorączkowe oczekiwanie według jej słów zbliżaliśmy się do zamku potworów. Było to dla mnie niespodzianką i nie powiem, żeby zbyt miłą. Cel naszej wędrówki jakoś wyleciał mi z głowy, a to nieoczekiwane przypomnienie uczyniło go nagle realnym i nadzwyczaj zainteresowało mnie.

Tymczasem podniecenie i niepokój Sandy wzrastały z każdą minutą i udzielały się również i mnie. Serce mi zaczęło mocno bić. Z sercem trudno jest sobie poradzić – ma ono swoje prawa i zaczyna drżeć wobec rzeczy, które lekceważy zdrowy rozsądek. Toteż gdy Sandy ześliznęła się z konia, poczułem się bardzo nieswojo. Dziewczyna popęzła skradając się, schyliwszy głowę niemal ku samej ziemi, pomiędzy krzakami porastającymi niewielkie wzgórze.

Serce moje biło coraz prędzej, silniej i nie przerywało tej swojej czynności dopóty, dopóki Sandy zachowując wszystkie środki jak największej ostrożności nie dopełzła do szczytu pagórka. Koniec końców dołączyłem się do niej i popęzłem za nią na kolanach. Lecz nagle oczy jej zaświeciły i wskazując coś ręką szepnęła przerywanym ze wruszenia głosem:

– Zamek! Patrz, tam jest zamek! Czy widzisz jego zarysy?!

Co za miłe rozczarowanie!

– Zamek? – zapytałem. – Nie widzę nic prócz chlewu otoczonego parkanem.

Sandy spojrzała na mnie ze zdziwieniem, zakłopotanie oczywiście znikło z jej twarzy i na parę chwil pograżyła się w milczącym rozmyślaniu.

– Wtedy nie był jeszcze zaczarowany – wyrzekła wreszcie mówiąc jakby do siebie. – Jaki dziwny i okropny cud! Dla oczu jednych ludzi zamek jest zaczarowany i przyjmuje haniebny i wstrętny wygląd chlewu, zaś dla innych pozostaje wciąż tym samym i wznosi się wciąż tak samo dumny i niewzruszony jak dawniej. Widzę dokładnie tę olbrzymią twierdzę otoczoną fosą z rozwiewającymi się sztandarami na wieżach. Niech nas Pan Bóg ma w swojej opiece! – wyrwało się z jej piersi pobożne westchnienie. – Serce mi się krwawi, kiedy przypomnę sobie piękne uwięzione damy. Widzę wyraz głębokiego smutku na ich niebiańskich obliczach. Zbyt długo zwlekaliśmy – jesteśmy warci potępienia.

Zrozumiałem, co chciała powiedzieć. Była to aluzja do tego, że zamek zaczarowany jest dla mnie, ale nie dla niej. Próbować wyprowadzić ją z błędu byłoby niepotrzebną stratą czasu, a zresztą nie warto było martwić dziewczyny, lepiej było zostawić ją przy jej mniemaniu.

– To bardzo zwykły wypadek czarów, Sandy – rzekłem – kiedy rzeczy i ludzie zaczarowani są dla jednych, nie zmieniając swego istotnego wyglądu dla innych. Lecz w tym nie ma jeszcze nic strasznego, odwrotnie tego rodzaju czary można uważać za bardzo szczęśliwe. Gdyby twoje ladies pozostawały świniami

w oczach wszystkich i nawet w swoich własnych, wówczas trzeba by było zdjąć z nich czary, co jest rzeczą ogromnie niebezpieczną, gdyż niezbędny jest do tego specjalny klucz. W przeciwnym razie można by się pomylić i ze świń ladies mogą łatwo się zamienić w psy, z

psów w koty, z kotów w szczury, itd. Koniec końców gotowe się zmienić nagle w jakiś gaz bez zapachu lub z zapachem nawet, który trudno będzie uchwycić! A teraz, gdy są zaczarowane tylko dla mych oczu, nie ma potrzeby odczarowywać ich. Ladies przecież nie zmieniają się przez to dla ciebie, dla siebie i dla kogokolwiek bądź. A przez to że w moich oczach pozostaną świniami, nie poniosą żadnego uszczerbku. Wystarczy mi, bym wiedział, że dana świnia – jest lady, abym potrafił wobec niej odpowiednio się zachować.

– Dzięki ci mój słodki milordzie, mówisz jak anioł. Wiem, że je uwolnisz, gdyż jesteś nieustraszoną rycerzem i świetnie władasz mieczem, a rozum twój zdolny jest do wielkich czynów.

– Po cóż miałbym zostawiać księżniczki w chlewie, Sandy? Lecz zapewne i trzech świniarkowie, których tam widzę, wydają mi się takimi tylko z powodu mego zepsutego wzroku?

– Ludojady? Czyżby i oni byli zaczarowani? Jaki niezwykły cud! Ale lękam się o ciebie! Jakże będziesz walczył z nimi, kiedy trzy czwarte ich ciała jest dla ciebie niewidoczne. Lecz idź odważnie, piękny sir, ten bohaterski czyn godny jest ciebie!

– Nie niepokój się, Sandy! Dość mi wiedzieć, jaka część ciała ludojada jest widoczna, a co do reszty, to już sobie dam z nimi radę. Bądź spokojna, zaraz rozprawię się z tymi zuchami. Poczekaj tu na mnie.

Zostawiłem klęczącą Sandy z twarzą zwróconą ku mnie, ze spojrzeniem pełnym otuchy i nadziei. Dojechawszy do chlewu wyraziłem pastuchom chęć kupienia świń i zacząłem się targować. Kupiwszy wszystkie świnię za nędzną sumę sześćdziesięciu pensów, co stanowiło jednak o wiele droższą zapłatę od ceny rynkowej, zostałem obsypany podziękowaniami właścicieli. Transakcja została zawarta w najbardziej odpowiedniej chwili, gdyż kościół miał właśnie przysłać nadzorcę podatkowego, który tytułem podatku odebrałby wszystkie świnię pozostawisz w ten sposób właścicieli bez świń, a Sandy bez księżniczek. Teraz zaś wszystkie podatki zostaną pokryte i coś niecoś jeszcze zostanie. Jeden ze świniopasów miał dziesięcioro dzieci. Opowiedział mi, że ubiegłego roku, gdy pater kazał zabrać najlepsze świnię ze stada, cierpliwość jego żony się wyczerpała i kobieta podając mu dziecko krzyknęła: „Nielitościwe zwierzę! Po cóż zostawiasz mi dziecko, jeżeli zabierasz wszystko, czym bym je mogła wyżywić?”

Odesławszy trzech pastuchów otworzyłem drzwi chlewu i zawołałem Sandy. Ta jak wicher wdarła się do chlewu i rzucając się od jednej świni do drugiej, ze łzami zaczęła je całować tytułując księżniczkami. Wstyd mi było za nią i za całe jej pokolenie. Byliśmy zmuszeni gnać te świnię dziesięć mil drogi, zanim natknęliśmy się wreszcie na jakiś dom. Myślę, że prawdziwe ladies nie byłyby tak uparte i krnąbrne. Nie miały one najmniejszej chęci iść drogą lub ścieżką, lecz rozbiegały się na wszystkie strony, rzucały się do krzaków, wchodziły na skały i pagórki i zapędzały się tak daleko, że nie podobna było je odszukać. I przy tym nie wolno było je uderzyć lub w ogóle nieco ostrzej się z nimi obejść, gdyż Sandy nie dopuszczała w najmniejszej mierze zachowania się uchybiającego ich stanowisku. Najbardziej niespokojna stara maciora zwała się milady i wasza wysokość jak i znaczna część pozostałych. Można sobie łatwo wyobrazić, jak piekielnie nudne i uciążliwe było to uganianie się za świniami.

Była tam jedna mała hrabina z żelaznym pierścieniem przewleczonym przez ryj i niemal zupełnie łysa na grzbiecie, która mnie doprowadzała do rozpacz i wściekłości. Był to istny diabeł. Skazywała mnie ona na ciągłą opętaną bieżącą. Ledwo zdążyłem wypędzić ją na drogę, kiedy znów zapodziewała się i to nie wiadomo gdzie. W końcu doprowadzony do ostateczności złapałem ją za ogon i w ten sposób powlokłem na drogę. Sandy z przerażeniem spojrzała na mnie i oświadczyła, że szczytem nietaktu jest ciągnięcie hrabiny za tren.

Już ciemno było, gdyśmy przypędzili całe stado, a raczej większą jego część do jakiegoś pomieszczenia. Nieobecna była księżniczka Nerowena de Morgonore i dwie jej damy dworu: lady Angela Bohn oraz demoiselle Elaine Courtomains. Pierwsza z tych dwóch była młodą czarną świnią z białą łatą na czole, druga zaś miała czarne nogi i z lekka kulą. Obydwie dokuczyły mi w drodze do niemożliwości. Nie można było doliczyć się jeszcze kilku baronowych. Lecz wkrótce na szczęście odnalazły się i one.

18

Pielgrzymi

Dopiero w łóżku poczułem, jak jestem zmęczony. Z jaką rozkoszą wyprostowałem zniekształcone członki. Teraz właśnie warto by zasnąć! Lecz skądże, nie mogłem nawet marzyć o tym, za parę minut znikła najmniejsza nadzieja na odpoczynek. Chrząkanie, kwik i tupanie arystokratek rozmieszczonych po wszystkich pokojach i korytarzach przeistoczyło skromne mieszkanie w istne piekło. Zupełnie wytracony ze snu oddałem się rozmyślaniom. Najbardziej interesowała mnie w tej chwili zabawna iluzja Sandy. Dziewczyna była najzupełniej normalnym człowiekiem i normalnym wytworem swego środowiska, zaś z mojego punktu widzenia zachowywała się jak umysłowo chora. Tak wielki jest wpływ warunków, wychowania i obyczajów; człowiek wierzy we wszystko, co jest uznane przez współczesnych za prawdę. Żeby się przekonać że Sandy nie jest obłąkana, musiałem postawić się na jej miejscu lub też postawić ją na swoim własnym, by zobaczyć jak łatwo jest uznać kogoś innego za obłąkanego.

Istotnie! gdybym opowiedział Sandy, że widziałem ekwipaż wcale niezaczarowany, a jednak zdolny do przebycia bez koni sześćdziesięciu mil na godzinę lub że widziałem człowieka, nie czarodzieja, wzlatającego pod obłoki; lub że słyszałem nie uciekając się do czarów rozmowę człowieka znajdującego się o sto mil ode mnie – gdybym to wszystko opowiedział jej, to nie ulega wątpliwości, że myślałaby, że ma do czynienia z wariatem. Wszyscy wokół wierzą w czary i nikt nie wątpi w ich istnienie. Panuje ogólne przeświadczenie, że zamek może być zamieniony w chlew, zaś mieszkańcy jego w świnie, i nikt się temu nie dziwi, podobnie, jak żadnego Amerykanina nie dziwi istnienie telefonu, telegrafu, kolei itd. A więc z tego wynika, że powinienem uważać Sandy za zupełnie zdrowego człowieka. I z drugiej strony, by się wydawać Sandy normalnym człowiekiem powinienem kryć się przed nią ze swoją wiarą w lokomotywy, balony i telefony. Nie mogłem wierzyć, że ziemia jest płaska i opiera się na słupach i że niebo jest przestrzenią zapełnioną wodą przeznaczoną do zraszania ziemi. Lecz ponieważ byłem jedynym człowiekiem w kraju mającym tak dzikie i bezbożne mniemania, więc nie odzywałem się w tych kwestiach, by nie uchodzić za wariata.

Następnego ranka Sandy zebrała wszystkie świnie w jadalni i podała im śniadanie usługując z głębokimi reweransami i za każdym razem tytułując swe wysoko urodzone pupilki. Z powodu swego niskiego pochodzenia nie mogłem śniadać z tymi arystokratkami i dlatego też zasiedliśmy z Sandy przy oddzielnym stole. Gospodarze byli nieobecni.

– Gdzie jest rodzina, która zamieszkuje w tym domu, Sandy? – zapytałem.

– Rodzina?

– Tak.

– Jaka rodzina, drogi milordzie?

– No, gospodarze tego domu, to zapewne twoja rodzina?

– Nie rozumiem cię, milordzie, ja nie mam rodziny!

– Nie masz rodziny? Jakże to możliwe, myślałem, że to twój dom, Sandy?

– Nie, panie!

– Więc czyj jest ten dom u licha?!

– Z przyjemnością bym ci to powiedziała sir, gdybym sama wiedziała.

– Jak to, więc nie wiesz nawet, w którym jesteśmy domu? Któż nas tu zaprosił?

– Nikt nas nie zapraszał, przyszliśmy i basta!

– Ależ przepraszam cię, moja droga, w takim razie bezczelność nasza przekracza wszelkie granice. Wdarliśmy się do obcego mieszkania i rozlokowaliśmy się tu wygodnie wraz z jakąś

podejrzaną arystokracją, jakiej dotychczas nikt jeszcze nie spotykał pod słońcem. Jakżeś się mogła na coś podobnego zdecydować? Byłem pewien, że sprowadziłaś mnie do swego domu! Co pomyśli sobie gospodarz?

– Co pomyśli? A to dobre! Cóż innego prócz wdzięczności może do nas poczuć?

– Wdzięczności? Ale za co?

Twarz Sandy wyraziła szczere zdumienie.

– Doprawdy twoje dziwne słowa wprowadzają mnie w zakłopotanie, czy rzeczywiście myślisz, że często zdarza się ludziom ich pochodzenia takie szczęście?

– O, jestem przekonany że temu człowiekowi po raz pierwszy się zdarza podejmować taką kompanię.

– I dlatego właśnie musi się poczuwać do wdzięczności względem nas, gdyż w przeciwnym razie okazałby się niewdzięcznym psem!

Tak czy inaczej, sytuacja była według mnie kłopotliwa. Uważałem za właściwe zabrać świnię i wyruszyć nie zwlekając w drogę.

– Już dnieje, Sandy, czy nie czas byłoby zebrać towarzystwo i ruszyć?

– Po co, sir Patron?

– Ależ zapewne trzeba je odprowadzić do domu, czy nie?

– Co ty wygadujesz, milordzie! Toć one pochodzą z rozmaitych krańców ziemi. Każda będzie chciała trafić do domu i czy starczy krótkiego życia, by dokonać tych wszystkich podróży?

– Ale ktoś jednak musi odprowadzić nasze arystokratki do domu?

– Naturalnie, że ich przyjaciele, którzy zjadą się po nie z wszystkich krańców świata!

Było to coś na kształt promienia słońca przedzierającego się poprzez chmury! Sądząc z tych słów moja towarzyszka ma zamiar zostać tu na straży swych księżniczek.

– Doskonale, Sandy. Rzeczywiście, nasza przygoda została szczęśliwie zakończona, mogę więc udać się do domu i zdać tam sprawę z jej przebiegu. A jeżeli ktoś...

– Dobrze, milordzie, jestem gotowa w każdej chwili jechać z tobą.

Nadzieja zgasła, promień słoneczny znikł.

– Jak to? więc i ty jedziesz ze mną?

– Jakżeś mógł przypuszczać, panie, że zdradzę swojego rycerza? byłoby to hańbą dla mnie. Mogłabym cię opuścić tylko w tym wypadku, gdybyś został zwyciężony w walce przez innego rycerza, który zabrałby mnie jako zdobycz. Lecz godna byłabym potępienia za samą myśl o tym. „Wybrała mnie na długi termin” – rzekłem sobie z westchnieniem w duchu – „trzeba się z tym pogodzić”.

– Dobrze – powiedziałem – więc ruszajmy!

Dopóki przelewała łzy pożegnania nad świnią, powierzyłem tę całą arystokrację opiece sług. Następnie poradziłem im wziąć szczotki i dobrze zamieść podłogę w pokojach, gdzie księżniczki były umieszczone, oraz w tych, gdzie przechadzały się i przyjmowały posiłek.

Ale ci odpowiedzieli, że taki postępek byłby niezgodny z obyczajem i uważany za ciężką zbrodnię. Stosownie do starodawnego zwyczaju, słudzy powinni byli naznosić świeżo ściętej trzciny i, przykryć nią całą podłogę, ażeby ślady arystokratycznego przebywania w domu zostały zachowane. Pierwsze nasze spotkanie tego dnia miało miejsce w południe z procesją pielgrzymów. Choć nie było to nam po drodze, jednakowoż skręciłem i przyłączyłem się do nich. Byłem zdania, że chcąc rządzić państwem, powinienem poznać rozmaite strony jego życia i to nie z drugiej ręki, ale bezpośrednio. Tłum ten był ogromnie różnobarwny i składał się z ludzi wszystkich profesji, w najbardziej pstrych kostiumach. Byli tu starzy i starszki, młodzi mężczyźni i kobiety i nawet dzieci. Jedni byli smutni, inni weseli. Wszystko to, kobiety i mężczyźni, jechało na mułach i na koniach, ale oczywiście nie było tu ani jednego damskiego siodła, jak nie było go zresztą w Anglii dziewięć stuleci później. Było to wielkie ludzkie stado, wesole, zgodne, ruchliwe, pobożne i gadatliwe, nieświadome i naiwne we wszyst-

kich brutalnościach, jakich się dopuszczało. To, co nazywali oni wesołymi anegdotkami, wzbudzało w tej samej mierze ogólne zadowolenie, co w najlepszym angielskim towarzystwie po upływie trzynastu stuleci. W rzeczywistości były to oklepane kawały stojące na poziomie angielskiego humoru pierwszej połowy XIX wieku, które rozbrzmiewały tu i tam wywołując zawsze jednakową burzę oklasków. Czasem znów jakieś okolicznościowe bon-mot rzucone w jednym końcu procesji trafiało na inny wzbudzając wszędzie wybuchy zgodnego śmiechu. Sandy wiedziała o celu tej pielgrzymki i poinformowała mnie o nim:

– Jadą oni do Św. Doliny, ażeby otrzymać błogosławieństwo od świętego pustelnika i napić się z cudownego źródła wody, która oczyszcza człowieka z grzechów.

– Gdzie jest to źródło?

– Znajduje się w odległości dwóch mil drogi stąd.

– Opowiedz mi o nim! Cóż to za słynna miejscowość?

– O tak, rzeczywiście słynna, drugiej takiej nie ma. Już przed wielu, wielu laty żył tam opat z mnichem, i takich świętych ludzi, jak oni, nie było nigdy na świecie. Oddawali się oni całkowicie studiowaniu ksiąg świętych, nie rozmawiali ani z sobą, ani z kimkolwiek, odżywiali się zwiędłymi trawami i korzonkami i spali na gołej ziemi. W ogóle umartwiali ciągle ciało, wiecznie się modlili i nigdy się nie myli. Zasłynęli oni swym bogobożnym życiem i ściągali do nich zewsząd biedni i bogaci.

– Co dalej!?

– Lecz w źródle zabrakło pewnego dnia wody. Tylko w określonej godzinie, kiedy święty przeor się modlił, ogromny strumień wody wytryskał z bezpłodnej ziemi. Stało się to tak: lekkomyślni braciszkanie usłuchali podszeptów złego ducha i zaczęli natarczywie prosić przeora, by pozwolił w tym miejscu zażywać kąpiele. Przeor długo nie chciał się zgodzić, lecz w końcu ustąpił ulegając natarczywym prośbom mnichów. A teraz zwróć uwagę. co znaczy zbroczyć z prostej drogi i dać się uwieść płochym żądzom. Mnichowie weszli do wody, wykąпали się tam i wyszli biali jak śnieg. I cóż! W tej samej chwili ukazały się oznaki kary boskiej. Skalne święte wody przestały ciec i znikły zupełnie.

– Z kąpiącymi się mnichami bardzo miłosiernie postąpiono sobie, Sandy, sądząc z tego, jak w waszym kraju odnoszą się do tego rodzaju zbrodni!

– Tak, ale to był ich pierwszy grzech, do tego czasu odznaczali się oni surowością życia i nigdy się nie kąpali. Łzy, modlitwy i umartwienia cielesne nic nie pomagały, woda się nie zjawiała. Ani procesje, ani autoda-fé, ani gromnice ślubowane i ofiarowywane Najświętszej Pannie – wszystko na próżno, wody nie było ani na żąb.

– Jakie to dziwne, że nawet w tego rodzaju handlowym przedsiębiorstwie zdarza się panika, kiedy akcje zaczynają spadać na łeb i następuje zastój. Co dalej, Sandy?

– Równo po upływie roku i jednego dnia dobry przeor ukorzył się przed wolą boską i wydał rozkaz, by się na tym miejscu przestano kąpać. Wnet ucichł gniew boży, wody znów popłynęły obfitym strumieniem i do dziś dnia nie przestają płynąć.

– A więc od owego dnia, znaczy się, nikt już więcej nie mył ciała?

– Pragnącym się kąpać nie stawiają przeszkód, ale każdy woli zrezygnować z tego prawa.

– I ludność od tej chwili zażywa dobrobytu? szczęścia?

– Naturalnie. Wieść o cudzie rozpowszechniła się po wszystkich krajach. Zewsząd przybywali mnichowie zbierając się tam jak ryby na dnie rybackiej łodzi. Opactwo coraz bardziej się rozrastało, budynek przybywał za budynkiem i wrota były zawsze gościnnie rozwarte dla wszystkich wierzących. Przybyły również i zakonnice, jedna po drugiej, i zaczęły budować naprzeciwko opactwa, po drugiej stronie doliny, kobiecy klasztor, który stał się niebawem bardzo słynny. Prócz tego zjawili się także bracia pracujący i wybudowali wspólnymi siłami odosobnione schronisko pośrodku doliny.

– Nie mówiłaś jeszcze nic o pustelnikach, Sandy?

– A tak, ściągali oni tutaj ze wszystkich stron. Zawsze jest wielu pustelników, gdzie są pielgrzymi. Dookoła można znaleźć najrozmaitszych rodzajów pustelników w grotach, podziemiach i wśród trzęsawisk.

Zaciągnąwszy informacji u Sandy wszcząłem rozmowę z jakimś drabem o nalanej dobroduszej twarzy, który dał sobie słowo za wszelką cenę mnie rozweselić. Już po pierwszych moich słowach zaczął niezręcznie, lecz gorliwie opowiadać ten sam kawał, który mi opowiadał sir Dinadan, a z powodu którego pokłóciłem się z sirem Sagramorem i nawet zostałem wyzwany na pojedynek. Pośpiesznie go przeprosiłem i odsunąłem się na tył procesji. Ciężko mi było na sercu, chciało mi się czym prędzej stąd odejść, odejść z tego pełnego trwogi życia, z tego padołu łez i zabitych nadziei, męczącej walki i powolnego zamierania. Przed wieczorem spotkaliśmy inną partię wędrowców. Tu już nie widać było ożywienia, nie słychać było ani żartów, ani śmiechu, nie rozbrzmiewały tu głośne lekkomyślne rozmowy, jakie prowadzi między sobą młodzież. Wędrowcy byli w najrozmaitszym wieku – siwi starcy i staruszki, kobiety i mężczyźni w wieku średnim, młodzi mężowie z żonami i dziećmi i nawet kilka niemowląt. Ale nawet na dziecięcych twarzach nie zauważało się śmiechu. Wśród paruset ludzi nie było ani jednego człowieka, którego twarz nie wyrażałaby przygnębienia, beznaziejnej rozpacz i smutku. Byli to niewolnicy. Kajdany na ich zakutych rękach i nogach trzeszczały.

Wszyscy prócz dzieci związani byli po sześć osób na jednym łańcuchu, łączącym naszyjnik jednego z naszyjnikami drugiego. Przeszli oni pieszo około trzechset mil w ciągu kilku dni odżywiając się nędznie resztkami i korzonkami. Nawet w nocy nie zdejmowano z nich kajdanów i nieszczęśni spali związani razem jak bydło. Nosili oni na sobie jakieś podarte strzępy, wszyscy mieli pokaleczone od kajdanów nogi i kuleli. Połowa tych nieszczęśliwców była już sprzedana podczas drogi. Nabywca jechał obok zakupionych ludzi z biczem w rękę.

Bicz składał się z krótkiej rękojeści i kilku grubych i węzłowatych kamieni.

Ten bat wrzynał się w nagie plecy tych, którzy pozostawali w tyle nie mogąc nadążyć za innymi z powodu słabości lub zmęczenia.

Właściciel niewolników nie miał potrzeby mówić, gdyż bat przemawiał za niego. Żaden z tych męczenników nie spojrzał na nas, gdyśmy przejeżdżali obok, zapewne nawet nas nie zauważył. Nic nie było słychać prócz pobrzękiwania i zgrzytu kajdanów ciągnących się między szeregiem wolno stąpających nóg.

Twarze tych ludzi były zupełnie szare i pokryte kurzem. Taki osad kurzu zapewne każdemu zdarzyło się zaobserwować na meblach w opuszczonych mieszkaniach. Przypomniałem to sobie, gdy zwróciłem uwagę na twarze niektórych kobiet – młodych matek z dziećmi przy piersi, bliskich wyzwolenia tj. śmierci. Słowa wyryte w ich sercach czytało się na brudnych zakurzonych twarzach zupełnie wyraźnie i zrozumiale. Były to ślady łez.

Jedna z młodych matek, jeszcze dziewczynka prawie, miała na twarzy znamiona tak strasznej rozpacz, że poczułem na jej widok ból omalże fizyczny. Widziałem, że łzy są wyciśnięte z oczu dziecka, które mogłoby dopiero zacząć cieszyć się porankiem swego życia. Młoda kobieta właśnie zachwiała się, gdyż dostała zawrotu głowy ze zmęczenia. W tej samej chwili bicz wyrwał kawał mięsa z jej pleców.

Poczułem, że to uderzenie trafiło mnie w serce. Właściciel zeskoczył z konia i ze stkiem wymysłów rzucił się na nieszczęśliwą krzycząc, że już dosyć ma jej lenistwa, że się wreszcie z nią rozprawi, jak się należy. Kobieta padła na kolana i błagała o litość, lecz właściciel nie zwracał na to uwagi i wyrwawszy z rąk jej dziecko rozkazał zakutym z nią niewolnikom rzucić ją na ziemię, obnażyć jej plecy i przytrzymać. Następnie rzucił się ku niej rozwścieczony, z podniesionym biczem, i ćwiczył tak długo, dopóki plecy nie zmieniły się w kawał skrwa-wionego mięsa, a ona sama przestała jęczeć i krzyczeć. Jeden z trzymających ją niewolników odwrócił twarz od tego widowiska i za ten przejaw ludzkiego uczucia został z miejsca okrutnie obity przez nadzorcę. Natomiast pozostali jego towarzysze fachowo się przyglądali egze-

kucji i wydawali sąd o pracy bata oprawcy. Do tego stopnia skamieniały ich serca w ciągu długich lat niewoli; nie zdawali już sobie sprawy z tego, że widowisko to nie jest tego rodzaju, aby mogło wywołać fachową dyskusję. Niewola znieprawia ducha. Przecież w gruncie rzeczy ci poczciwcy nie pozwoliliby sobie obchodzić się w ten sposób nawet z koniem. Chciało mi się położyć kres tej ohydnej scenie i uwolnić nieszczęśliwych, lecz czułem, że nie powinienem tego czynić, za wcześniej wydawało mi się wtrącać do dzikich obyczajów kraju i w sposób gwałtowny łamać jego prawa. Miałem nadzieję, że dożyję do tego dnia, kiedy zniosę niewolnictwo z woli narodu.

Wkrótce przejeżdżaliśmy koło kuźni, gdzie właściciel pobitej kobiety musiał przekuć jej kajdany, by oddzielić ją od partii i zawieźć do domu.

Podczas gdy się sprzeczał z dozorcą, kto ma płacić kowalowi, nieszczęśliwa skorzystała z chwili swobody i rzuciła się na szyję niewolnika, który nie zdołał ukryć swego współczucia dla niej podczas okrutnej egzekucji. Ten objął ją i dziecko, obsypał twarze ich pocałunkami i obmył łzami. Zrozumiałem, iż byli to mąż i żona, których rozłączono na wieki. Siłą oderwano ich od siebie. Kobieta krzyczała, wrywała się i łkała, dopóki partia odchodzących niewolników nie znikła z jej oczu. A mąż i ojciec, czyż miał on nadzieję ujrzeć kiedyś jeszcze swą żonę i dziecko? Odwróciłem się, by tego nie widzieć, Lecz do końca życia nie mogłem zapomnieć tej wstrząsającej sceny.

Zatrzymaliśmy się na noc w wiejskiej oberży, a rankiem z okna mego pokoju ujrzałem znajomą sylwetkę i postać rycerza, jadącego zalaną słońcem drogą. Poznałem jednego ze swych rycerzy komisjonerów – sira Orana le Ane Hardy. Miał on wygląd gentlemana i dlatego uważałem za właściwe polecić mu rozpowszechnienie i sprzedaż kapeluszy. W tej chwili właśnie rycerz cały zakuty w przepyszną stalową zbroję nosił na głowie zamiast hełmu błyszczącego cylinder wysoki jak komin. Widowisko było dość zabawne. W tym wypadku zresztą chodziło mi przede wszystkim o ośmieszenie w oczach wszystkich bezsensownej instytucji błędnego rycerstwa. Do siodła sira Orana było przymocowane kilka pudeł z nakryciami głowy. Przy spotkaniu z wędrującym rycerzem obowiązkiem jego było zwyciężyć go i włożyć mu na głowę kapelusz oraz zmusić go do przysięgi, że stale będzie nosił kapelusz zamiast hełmu. Ubrawszy się pośpieszyłem na dół, by powitać sira Orana i rozpytać o nowości.

– Jak idzie handel? – zapytałem.

– Jak pan widzi, zostały mi tylko cztery pudła, a z Camelotu zabrałem ze sobą szesnaście.

– Rzeczywiście ostro wziął się pan do rzeczy.

– Jadę do Św. Doliny, sir.

– Wybieram się tam również. Czy to doprawdy coś godnego obejrzenia, czy też tylko fanaberie starych dewotek?

– O nie, sir! Przed chwilą dowiedziałem się od pielgrzymów niezmiernie interesujących rzeczy. Są to poczciwi ludkowie – nikt tak dobrze nie potrafi człowieka poinformować jak oni. W Św. Dolinie zaszło obecnie zdarzenie, jakiego nie pamiętają już ludzie od dwustu lat.

– Zapewne znowu wyszło cudowne źródło?

– O to właśnie chodzi. Sam widziałem, że woda przestała ciec.

– Cóż, czy znowu ktoś się wykapał w źródle?

– Tak podejrzewają. Przypuszczają również, że popełniono jakiś inny, jeszcze cięższy grzech, lecz nikt nie wie nic konkretnego.

– A jak się odniesiono do tej klęski?

– O, tego niepodobna opisać! Wody w źródle braknie już od dziesięciu dni. Większość wdziwała włosiennice, lamentuje, modli się przez cały czas, nadeciągają olbrzymie procesje mnichów i mniszek – pustelnicy odchodzą od zmysłów z rozpacz. Posłano po ciebie, sir Patron, ażebyś użył swych czarów, ale ponieważ nie zastano ciebie w Camelocie, więc wezwano Merlina. Oświadczył, iż postawi całą ziemię do góry nogami i zrówna z ziemią wszystko, co istnieje, lecz zmusi wodę, by popłynęła. Już od trzech dni pracuje w pocie czoła, wezwawszy

wszystkie siły piekielne do pomocy, ale dotychczas nie może wycisnąć ze źródła ani kropli wilgoci Gdybyś zechciał, sir...

Śniadanie było gotowe. Po śniadaniu pokazałem sirowi Oranie słowa napisane przeze mnie wewnątrz jednego z kapeluszy: „Departament Chemiczny, Laboratorium, oddział DKR. Przyśłać dwa ładunki 1 rozmiaru, dwa – 3 i sześć – 4, wraz ze wszystkimi przysposobieniami. Niech przybędą dwaj doświadczeni asystenci.”

– Teraz, rycerzu, czym prędzej jedź do Camelotu – powiedziałem – wręcz ten liścik Klarensowi i powiedz mu, aby wszystko zostało natychmiast wysłane. Spiesz się, szlachetny rycerzu!

– Wszystko będzie załatwione, sir Patron – rzekł rycerz i dosiadł konia.

19

Święte źródło

Pielgrzymi byli ludźmi, dlatego też postąpili w sposób następujący. Przebywszy wielki szmat drogi, teraz, gdy podróż była właściwie zakończona, a główny jej cel znikł, nie zawrócili, nie udali się na poszukiwania czegoś lepszego, jakby to na ich miejscu uczyniły koty, psy lub inne zwierzęta. Na odwrót, kontynuowali drogę pragnąc ujrzeć miejsce, gdzie tryskało źródło, przy czym ku temu nowemu celowi dążyli z niemniejszym zapałem niż ku poprzedniemu. Natura ludzka jest tajemnicza i nieodgadniona.

Wyjechaliśmy wszyscy razem i w trzy godziny przed zachodem słońca znaleźliśmy się na wzgórzu w pobliżu Św. Doliny. Stąd można było spojrzeniem ogarnąć całą dolinę. Widać było trzy grupy zabudowań położonych w olbrzymiej odległości od siebie. Z tej wysokości wydawały się zabawkami rozrzuconymi wśród ogromnej pustyni. Krajobraz wzbudzał jakąś dziwną melancholię, przygnębiająca cisza nasuwała myśli o nicości wszystkiego doczesnego. Jeden tylko dźwięk mącił i podkreślał całą jej ponurość. Były to oddalone dźwięki dzwonów klasztornych, które dolatywały do nas wraz z lekkimi podmuchami wiatru i były tak lekkie i przytłumione, iż trudno było określić, czy dźwięczą one w rzeczywistości czy też są jedynie płodem wyobraźni.

Było jeszcze widno, gdyśmy przestąpili progi klasztoru. Mężczyznom zaproponowano nocleg na miejscu, kobiety zaś odesłano do żeńskiego klasztoru.

Dzwony kołysały się teraz nad nami i uroczyste dźwięki ich brzmiały jak trąby sądu ostatecznego. Zabobonne przerażenie opanowało tu wszystkich mnichów i odzwierciedliło się na posępnych ich twarzach. Dookoła snuły się ponure, czarne cienie w miękkich sandałach, o białych twarzach. Bezgłośnie się zjawiały i znikwały jak widziadła gorączkowego snu.

Stary przeor przyszedł do mnie ogromnie podniecony, łzy spływały po jego policzkach, wreszcie zapanowawszy nad sobą powiedział:

– Nie zwlekaj, synu, ratuj nas. Jeżeli woda nie zjawi się w najbliższych dniach, to jesteśmy zgubieni! Lecz uczyn tak, synu, ażeby czary twe miłe były Bogu, gdyż kościół nie może zezwolić, by dopomagały mu moce piekielne.

– Bądź pewien, ojcze, że moje czary nigdy nie są związane z mocą szatana. Dopomagają mi siły, którymi obdarzył mnie Pan Bóg, oraz materiały przezeń stworzone. Lecz chyba i Merlin ucieka się tylko do boskiej pomocy?

– Ach, synu, obiecuje wciąż, że nas uratuje, i przysięga, że dotrzyma słowa.

– A więc, niechże skończy, co zaczął!

– Czyż możliwe, byś nie wziął udziału w naszym strapieniu?

– Ojcze, nie mogę przeszkodzić czarom innego. Ludzie jednej profesji nie powinni podrywać sobie wzajemnie autorytetu. Dopóki Merlin nie skończy, inny mag nie ma prawa wtrącać się do jego roboty.

– Ale ja go zaraz usunę! Wobec krytycznej sytuacji nie będzie to nawet niesprawiedliwością. I w ogóle kto śmie stwarzać przepisy dla kościoła, który sam stwarza je dla wszystkich. Usunę go, a ty bez zwłoki weźmiesz się do pracy.

– Nie, to niemożliwe, ojcze! Masz rację, że tam gdzie dyktuje zakazy siła, należy się jej podporządkować. Lecz my, biedni magowie, znajdujemy się w nieco odmiennej sytuacji. Merlin jest dobrym czarownikiem i w swej skromnej dziedzinie cieszy się dobrą opinią. Stara się zrobić, co może, i byłoby nieprzyzwoite z mojej strony wtrącać się do jego spraw, zanim sam nie zrezygnuje. – Oblicze przeora rozjaśniło się.

– Ależ, jeśli tak, to sprawa jest bardzo prosta, można go namówić, by zrezygnował choć zaraz.

– Nie, nie, ojczy, z tej mąki ciasta nie będzie. Jeżeli namówi się go wbrew własnej woli, to gotów powikłać sprawę złymi czarami, których usunięcie będzie trwało kilka miesięcy. Ale tymczasem już puściłem w ruch nie tracąc czasu małą czarodziejską sztuczkę zwaną telefonem i ręczę, że nawet w ciągu stu lat nie odkryją jej sekretu. A chyba nie chcesz, ojczy, by się sprawa odwlekała na parę miesięcy.

– Na parę miesięcy! Drzę na samą myśl o tym! Czyń synu, jak uważasz za właściwe, ja zaś nadal będę pościć i umartwiać swe ciało wzmacniając ducha modlitwami, jak to czynię w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Choć siły moje są już na wyczerpaniu, a znękanе ciało domaga się odpoczynku.

Rzecz jasna, że najlepiej było przyczepić się do przyzwoitości i pozwolić Merlinowi nadal trudzić się przy źródle. Cud mu się naturalnie nie uda, gdyż jeżeli mu nawet czasami jakiś cud się udaje, to nie w obecności tłumu widzów, jak to miało miejsce teraz. Tłum dla magów zawsze był przeszkodą podobnie jak dla spirytystów moich czasów. Zawsze znajdzie się sceptyk, który zapali światło w najbardziej nieodpowiedniej chwili i popsuje całą sprawę.

Zresztą, było mi bardzo nie na rękę odrywać Merlina od jego zajęć, dopóki sam nie zakończyłem wszystkich przygotowań do pracy. Moi asystenci zaś wraz z niezbędnymi materiałami mogli nadejść z Camelotu nie wcześniej niż za jakieś dwa, trzy dni.

Obecność moja jednakże bardzo pokrzepiła mnichów na duchu i na nowo obudziła w nich nadzieję, po raz pierwszy od dni dziesięciu kusili oni siebie tej nocy, jak się należy. Kiedy przestali czuć w brzuchach niemłą pustkę, nastrój ich się znacznie poprawił, a kiedy do tego przyłączył się wpływ wychylanego dzbanami miodu, wesołość doszła do szczytu. Posypały się żarty i dowcipy, stare, dobre dowcipy krążyły przechodząc z ust do ust, łzy płynęły z oczu, szerokie gardziele nie zamykały się ani na chwilę, a okrągłe brzuchy trzęsły się od niemilkącego śmiechu. Ciche, żalodne dźwięki dzwonów tonęły w hałasie tej orgii.

Wreszcie przyszło mi do głowy opowiedzieć własną anegdotę. Trudno opisać jej sukces. Co prawda, nie tak od razu znowu się połapano, o co w niej chodzi, gdyż autochtoni tutejsi są przyzwyczajeni do bardziej nieskomplikowanego i rubasznego humoru. Dopiero po piątym powtórzeniu zaczęli z lekka parskać, po ósmym, zdawało się, że zerwą sobie boki ze śmiechu, po dwunastym leżeli pokotem na ziemi i pod stołami, a po piętnastym musiałem zbierać ich członki i doprowadzić je własnoręcznie do porządku.

Rozumie się, że wyrażam się obrazowo. Nie ulega wątpliwości jednakże to, że wyspiarzy na ogół z trudem tylko udaje się rozruszać i że z początku wynagradzają nas bardzo słabo w porównaniu z użytą przez nas energią i materiałem. Za to już raz się rozruszawszy stają się tak szczodrzy, że zostawiają daleko w tyle za sobą wszystkie inne narodowości. Ale czas już było działać. Merlin wyczerpał swe czarodziejstwa i pracował jak bóbr, ale bez skutku. Humor mu też, łatwo zrozumieć, nie dopisywał i za każdym razem, kiedy wspominałem, że sprawa jest trudna, zaczynał wymyślać i kłać jak tragarz. Co zaś do źródła, to rzeczy się przedstawiały, jak przypuszczałem. Była to zwykła studnia w najzwyklejszy sposób wykopana i otoczona kamienną cembrowiną. Żadnego cudu sądząc ze wszystkiego w dziejach jej nie było. Mogłem to sobie powiedzieć będąc sam na sam ze sobą. Znajdowała się ta studnia w ciemnej sali mieszczącej się w kamiennej kaplicy. Ściany jej były gęsto obwieszane rozmaitymi obrazami świątobliwej treści, namalowanymi przez wczesnych mistrzów, ale które, rzecz jasna, nie umywały się nawet do przyzwoitych chromolitografii. Po większej części wyobrażały one rozmaite cuda; nie brak było również aniołów. Ci ostatni co prawda bardzo przypominali strażaków. Przyjrzyjcie się specjalnie obrazom starych mistrzów.

Sala ze studnią była oświetlona słabo palącymi się łuczycami. Wodę wydostawali mnisi za pomocą wiadra ciągniętego na łańcuchu. Wyciekała ona na zewnątrz budynku kamiennym korytem. Nikt poza mnichami nie miał prawa wchodzić do kaplicy. Co do mnie, dostałem się tam korzystając ze swego autorytetu i dzięki uprzejmości mego kolegi po profesji, Merlina. Sam on jednak tam nie wszedł. Nie lubił on nigdy wysilić mózgu, ale zawsze prostodusznie

wierzył w swą czarodziejską moc. Gdyby przestąpił próg kaplicy i zbadał rzecz na miejscu, zamiast samemu ją gmatwać, z pewnością znalazłby sposób naprawienia źródła. Był to jednak, jak powiedziałem, stary idiota nie wątpiący ani trochę w swą nadprzyrodzoną potęgę. A nie było jeszcze maga, któremu by cokolwiek się udawało przy tego rodzaju wierze.

Przyszło mi do głowy, że w studni zrobiła się po prostu dziura. Zapewne w kamiennnej ścianie wypadł kamień i utworzył się otwór, przez który wyciekała woda. Zmierzyłem łańcuch – dziesięć metrów. Zawoławszy paru mnichów zamknąłem drzwi, wziąłem świecę i kazałem im spuścić siebie na łańcuchu do studni. Kiedy dosięgnąłem dna, stwierdziłem, że przypuszczenia moje mnie nie myliły. Znaczna część ściany była zniszczona i utworzyła się w niej szeroka szczelina.

Żałowałem niemal, że przypuszczenie moje okazało się słuszne: w głębi duszy spodziewałem się czegoś innego i miałem nadzieję, że będę musiał się uciec do cudu. Przypomniałem sobie, że w Ameryce po wielu stuleciach, kiedy przestawało bić źródło nafty, pomagano sobie dynamitem. To samo zamierzałem zrobić teraz. Ale, jak się okazało, można było obejść się bez bomby.

Tak czy inaczej, nie miałem zamiaru z tego powodu się martwić. Należało wymyślić coś nowego. „Nie będę się śpieszył – pomyślałem – może przyda się jeszcze i bomba”. Tak też postąpiłem.

Wydostawszy się ze studni poprosiłem, aby mi przyniesiono miarę. Studnia miała 14 metrów głębokości, woda zaś podnosiła się na 8 metrów.

– Do jakiej wysokości dochodziła woda w studni? – zapytałem mnicha.

– Do samego wierzchu w ciągu dwustu lat, tak mówią kroniki zostawione przez naszych poprzedników.

Wówczas rzekłem:

– Ażeby z powrotem podnieść poziom wody w studni, będę musiał uciec się do bardzo trudnego cudu. Jestem pewien, że wkrótce będę musiał wyręczyć w tej pracy Merlina. Kolega Merlin jest bardzo przeciętnym czarownikiem i może liczyć na jakiegokolwiek wyniki tylko w zakresie salonowej magii. Ale ja potrafię dokonać tego cudu, dokonam go! Nie ukrywam jednak, że będzie on wymagał z mojej strony bardzo wielkiego wysiłku.

– Nikt nie wie o tym lepiej od naszego bractwa. Mamy wiadomości, z których wynika, że dawniejszymi czasy to zło można było usunąć po wielu wysiłkach i to nie prędzej niż w ciągu roku. Wszyscy jednak będziemy zanosili modły do Boga, aby twoja praca dała pomyślne wyniki.

Było rzeczą niezbędną szerzenie wiadomości, że zadanie, które przede mną stoi, jest niepospolicie trudne. Mnich był oczywiście pełen szacunku dla mego przedsięwzięcia i rozumie się, że nie omieszka doń odpowiednio usposobić swych towarzyszy. W ciągu dwu dni w miasteczku będzie się kotłowało.

Wracając w południe do domu spotkałem Sandy: zwiedzała ona siedziby pustelników.

– Chciałbym zrobić to samo – rzekłem do Sandy. – Dzisiaj jest środa, czy przyjmują oni z rana?

– Jak się wyraziłeś, sir?

– Co do przyjęć? No, czy z rana sklepik jest otwarty, czy pracują oni rankiem?

– Pracują?

– Tak, pracują! zdaje się, że to jest zupełnie zrozumiałe. Nigdy nie zdarzyło mi się spotykać tak mało rozgarnionych ludzi jak tutaj. Słuchaj no, Sandy, czy ty jesteś w ogóle w stanie coś pojąć? No, pytam ciebie, czy interes jest zamknięty, czy też otwarty, czy pracują...

– Zamykają interes...

– Daj już spokój! Nie chcesz, czy nie możesz zrozumieć najprostszyc rzeczy.

– Drogi sir, staram ci się z całych sił przysłużyć i sprawia mi to ból, że jestem tylko prostą dziewczyną zupełnie nieuczoną, która nigdy nie zanurzyła się w głębokiej krynicy wiedzy i

nie była namaszczone świętym olejem nauk. Nieuczeni ludzie godni są litości, oczy ich toną w mroku, a głowa posypana jest popiołem smutku. I kiedy w mych mrokach zabłysną złote, tajemne słowa mądrości, to tylko dzięki specjalnej łasce Pańskiej nie opanowuje mnie zadróżka wobec umysłu, który je płodzi, i języka, który może stwarzać takie wzniosłe, słodko brzmiące dźwięki, i mój skromny rozum skłania się przed tymi cudami, lecz nie może zrozumieć ich i nie może się nimi nakarmić. Chciałabym tego bardzo, ale nie mogę, i dlatego, szlachetny panie i drogi mój lordzie, błagam cię o pobłażliwość dla mnie i proszę cię, zechciej mi wybaczyć moje błędy.

Trudno w było zrozumieć szczegóły i uchwycić wątek tego długiego monologu, lecz ogólny ton jego skłonił mnie do pożałowania mego rozdrażnienia. Używając terminów i wyrażeń wieku XIX, nie miałem prawa żądać, ażeby sens ich był dostępny dla tego naiwnego dziecięcia VI wieku. A w każdym razie nie miałem prawa jej wymyślać i oskarżać ją o tępość.

Nie zostawało mi nic innego, jak prosić ją o wybaczenie, co też i uczyniłem. Po czym w najlepszej komitywie i gawędząc o tym i owym, udaliśmy się do grot pustelników.

Przez cały boży dzień wydeptaliśmy drogę od jednego pustelnika do drugiego. Na ogół nie ma dziwniejszej profesji niż profesja pustelnika.

Największa rywalizacja daje się tu zauważyć głównie w kierunku metodycznego nawarstwiania na ciele pokładów brudu i robactwa. Ich maniery, sposób zachowania się i całe życie odznaczało się krańcowym brakiem wstydlivosti. Niektórzy z nich np. z nader niezależną miną leżeli zupełnie nadzy w błocie wydając swoje ciało na pastwę owadów, pod wpływem ukąszeń których występowały pęcherze i wrzody. Drudzy zatopieni w ekstazie stali oparci o skałę, podczas gdy pielgrzymi z nabożeństwem oddawali się ich kontemplacji. I wszyscy ci ludzie byli nadzy. Nago pełzali na czworakach, nago sterczeli dniami i nocami w kłujących gąszczach i skręcali się w konwulsjach na widok pielgrzymów. Jedna z kobiet przykrywała ciało, miast odzieży, swymi siwymi włosami i ciało jej było pokryte taką samą, jak u innych, warstwą brudu i błota, gdyż od 47 lat nie dotykała go woda. Tłumy nabożnych stały otaczając ich ze złością, zdumiewając się na widok ich umartwień i zginając kolana przed ich świętością. Dziwni ludzie!

Zbliżaliśmy się do najsłynniejszego z pustelników. Sława jego daleko się rozeszła po całym chrześcijańskim świecie. Szlachta i lud prosty, bogacze i nędzarze ściągali tu ze wszystkich krańców ziemi, aby złożyć mu hołd. Pomieszczenie jego mieściło się w środku doliny i obszerna przestrzeń dookoła była zawsze pełna tłoczących się tłumów.

Pomieszczenie to było właściwie niczym innym jak kolumną wysokości kilkunastu metrów z szeroką platformą na szczycie. Kiedyśmy nadeszli, pustelnik czynił to, czym był zajęty co dzień już od lat 20. Bez przerwy i z niesłychaną szybkością zginał całe ciało niemal do stóp, zastępując tym obrzędem swe modły. Obliczyłem z zegarkiem w rękę, że tym sposobem wykonywał on 1244 ruchy na dobę. Było to arcyniemile, że taka energia przepadała bez żadnego pożytku. Ponieważ tego właśnie rodzaju ruch pedałowy, jak wiadomo, ma zastosowanie w mechanice, zanotowałem więc sobie w swym bloku nazwisko pustelnika mając nadzieję zastosować tu z czasem systemat elastycznych drutów, którymi się połączy go z maszyną do szycia. I rzeczywiście projekt ten po pewnym czasie wprowadziłem w życie i korzystałem z bezpłodnie traconej dotąd siły tego poczciwca przez pięć lat z rzędu, w ciągu których pustelnik uszył 80 tysięcy płóciennych koszul, wyrabiając po 10 na dzień. Z pracy jego można było korzystać również i w niedzielę, gdyż nawet w święta nie przerywał swego zajęcia. W ten sposób, poza nieznacznymi kosztami materiału, koszule nie kosztowały mnie nic kompletnie. Cieszyły się one wśród pielgrzymów dużym popytem mimo dość wysokiej ceny wynoszącej 1 i pół dolara. Za sumę tę można było nabyć podówczas w królestwie Artura 50 krów lub jednego rasowego konia. Koszule były uważane za talizman przeciwko grzechom i chorobom. Rycerze moi rozwozili i rozwieszali wszędzie jaskrawe, krzyczące plakaty, reklamując je wszędzie w najbardziej zachęcający sposób. Wkrótce nie było w całym państwie ani jednej

skały i ani jednego większego kamienia, na którym by nie widniały olbrzymie litery: „Kupujcie koszule św. Stylita. Najbardziej używane przez lordów. Patent wynalazcy”.

Tak, gdy się ma głowę na karku, ze wszystkiego można wytrzasnąć pieniądze.

20

Odrestaurowanie źródła

W sobotę w południe przyszedłem do źródła i popatrzyłem przez chwilę. Merlin palił wciąż swe dymiące prochy wyczyniając przy tym ruchy. Lecz wyglądał jakoś nie bardzo zadowolony, gdyż w istocie rzeczy nie mógł wydobyć ze źródła ani śladu wody.

Wreszcie odezwałem się:

– Jak się obecnie przedstawia sprawa?

– Patrz, jestem teraz zajęty próbą najpotężniejszego czarodziejstwa znanego księżętom nauk tajemnych w krajach Wschodu. I to mnie zawodzi, i nic nie może zdziałać. Spokoju, póki nie skończę.

Tymczasem Merlin wzniecił dym, który zaciemnił całą okolicę przyczyniając wiele niewygody pustelnikom, gdyż wiatr dał w tamtą właśnie stronę i ogarniał ich coraz to gęstszą, kłębiącą się mgłą. Z ust Merlina płynęły potoki słów, ciało jego wyginało się, a ręce przecinały powietrze w jakiś niezwykły sposób. Po upływie dwudziestu minut legł dysząc ciężko na ziemię niemal całkiem wyczerpany. Wnet nadszedł opat i kilkuset mnichów oraz mniszek, a za nimi tłum pielgrzymów oraz podrzutków zwabionych nadzwyczajnym dymem. Wszyscy byli w stanie wielkiego podniecenia. Opat zapytywał niespokojnie o rezultaty.

Merlin odrzekł:

– Jeżeli jakaś moc ludzka może w ogóle zniweczyć czary wiążące te wody, to uczyniono wszystko w tym kierunku. Lecz to zawiodło. Teraz więc wiem, że obawy, jakie żywiłem, stały się niezbitym pewnikiem. Niepowodzenie moje świadczy, że na to źródło rzucił swe czary najpotężniejszy duch, jakiego znają czarnoksiężnicy Wschodu, a którego imienia nikt nie śmie wymówić. Nie ma śmiertelnika, który by zdołał przeniknąć tajemnicę tego źródła, a bez tej tajemnicy nikt nie potrafi nic działać. Dobry ojczy, woda ta już nigdy nie tryśnie. Uczyniłem wszystko, co mogłem. Pozwólcie mi odejść.

Słowa te wprawiły opata w stan niezmiernej konsternacji. Zwrócił się do mnie pod tym wrażeniem i rzekł:

– Słyszałeś go. Czy to prawda?

– Po części tak.

– Więc, niezupełnie, niezupełnie! Co jest prawdą?

– To, że duch o rosyjskim imieniu rzucił czary na to źródło.

– Na Boga, zatem jesteście zgubieni!

– Możliwe.

– Ale nie pewne? Myślisz, że to nie jest pewne?

– Tak.

– Przeto sądzisz, że kiedy on mówi, iż nikt nie zdoła zdjąć czarów...

– Tak, kiedy on to mówi, opowiada rzecz niekoniecznie prawdziwą. Są pewne warunki, przy których wysiłki zdjęcia czarów mogą mieć niejaki – bardzo niewielkie, znikome – szansę powodzenia.

– Warunki...

– O, to nic trudnego. Tyle tylko: pragnę mieć źródło i okolicę jego w promieniu pół mili do swojej dyspozycji, do swojej wyłącznej dyspozycji, poczynając od zachodu dnia dzisiejszego aż do odwołania – i nikomu nie wolno bez mojej wiedzy wstąpić na to terytorium.

– To wszystko?

– Tak.

- I nie boisz się próbować?
- O, nie. Może oczywiście spotkać mnie niepowodzenie, ale też może mi się udać. Można spróbować i ja jestem gotów uczynić to. Czy przyjęto moje warunki?
- Te oraz wszystkie inne, jakie wymienisz. Wydam odpowiednie zarządzenia.
- Poczekaj – rzekł Merlin ze złośliwym uśmiechem. – Czy wiesz, że ten, kto chce zdjąć czary, musi znać imię ducha?
- Tak, ja znam jego imię.
- I wiesz również, że nie wystarcza je znać, lecz trzeba je wypowiedzieć odpowiednio? Ha-ha? Wiesz to?
- Tak, wiem również i to.
- Posiadasz tę wiedzę? Jesteś szalony? Czy zamierzasz wypowiedzieć to imię i umrzeć?
- Tak.
- Jesteś już zatem nieboszczykiem. Idę powiedzieć o tym Arturowi.
- To słuszne.

Moi dwaj eksperci przybyli wieczorem, porządnie zmęczeni, ponieważ podróżowali przez dłuższy czas. Byli obładowani tym wszystkim, czego potrzebowałem: mieli z sobą przeróżne narzędzia, ołowiane rury, ogień grecki, świece rzymskie, aparaty elektryczne – słowem wszystko niezbędne do wykonania najwspanialszego z cudów. Zjedli kolację i zdrzemnęli się nieco, a około północy wyszliśmy pośród tak doskonałej i zupełnej nocy, że wprost przewyższała żądane warunki. Zawładnęliśmy źródłem i okolicą. Moi chłopcy byli biegli we wszelkiego rodzaju sprawach, od ocembrowania studni aż do konstruowania instrumentów matematycznych. Na godzinę przed wschodem słońca przewierciliśmy odpowiednie otwory i woda zaczęła tryskać. Po czym zamknęliśmy ognie sztuczne w kaplicy i poszliśmy spać.

Zanim nadeszła pora południowej mszy, byliśmy już z powrotem u źródła, gdyż pozostało jeszcze sporo do zrobienia, a ja postanowiłem okazać cud przed północą dla wielu powodów; przede wszystkim, jeśli cud dokonany dla kościoła w dzień powszedni wart jest zachodu, to sześćkroć więcej wart jest w niedzielę. W ciągu dziesięciu godzin woda podniosła się do swego zwykłego poziomu.

Wciągnęliśmy na płaski dach kaplicy beczkę, tam umocowaliśmy ją i napełniliśmy dno dość grubą warstwą prochu. Dołączyliśmy drut kieszonkowej baterii elektrycznej, a na każdym rogu dachu umieściliśmy duży zapas greckiego ognia: niebieski na jednym, zielony na drugim, na trzecim czerwony i purpurowy na czwartym, i połączyliśmy je wszystkie drutami.

W odległości jakichś dwustu jardów wybudowaliśmy na równinie coś w rodzaju zagrody wysokiej na cztery stopy układając na niej deski, tak że tworzyła wzniesienie. Pokryliśmy ją puszystymi dywanami, wypożyczonymi w tym celu, i ozdobiliśmy własnym tronem opata. Skoro chce się dokonać cudu dla ludzi z gatunku ignorantów, trzeba uwzględnić każdy szczegół, mający tu znaczenie, trzeba wydobyć wszystko, co działa na zewnętrzny efekt. Znam wartość tych rzeczy, gdyż znam ludzką naturę. Nie można ich przecenić tam, gdzie idzie o cud. To wymaga zachodu, pracy i nieraz pieniędzy, ale wszystko opłaca się w końcu. Zamia-rem moim było rozpocząć widowisko o godzinie jedenastej minut dwadzieścia pięć. Nakaza-łem swoim chłopcom przybyć o dziesiątej, zanim ktoś jeszcze znajdzie się w pobliżu, i trzymać się w pogotowiu.

Wieść o kłesce, jaka spotkała źródło, rozszerzyła się tymczasem, i w ciągu dwóch czy trzech dni istne lawiny ludzkie zwały się na dolinę. Niższy jej koniec stał się olbrzymim obozowiskiem. Heroldowie rozbiegli się wczesnym wieczorem obwieszczając zbliżającą się próbę, co wprowadziło wszystkich w jakiś stan febrycznej gorączki. Doniesiono, że opat wraz ze świętą przybędzie i zajmie wzniesienie o godzinie dziesiątej i pół, do tej zaś chwili cała okolica będzie w moim władaniu.

Stałem na wzniesieniu, gotowy na przyjęcie uroczystej procesji w chwili, kiedy się ukaże. Wraz z nią zjawił się Merlin i zajął przednie miejsce na wzniesieniu. Gdy zamilkły dzwonki,

co było umówionym znakiem, masy ludzkie zalały całą przestrzeń, na kształt wielkiej, czarnej fali, i płynęły nieprzerwanie przez pół godziny tak zwartym tłumem, że można było przecha-
dzać się po tym morzu głów.

W ciągu następnych dwudziestu minut trwało uroczyste oczekiwanie, obliczone na wywołanie odpowiedniego efektu. Wreszcie poważny śpiew łaciński w wykonaniu męskich głosów przerwał ciszę i potoczyła się w noc majestatyczna melodia. Był to jeden z najlepszych efektów, jakie wymyśliłem. Kiedy nastąpił koniec, wyciągnąłem stojąc na wzniesieniu obydwie ręce i trwałem tak z podniesioną w górę twarzą dwie minuty, to wywołuje zawsze grobową ciszę – po czym z wolna wymówiłem wyraz zaklęcia z pewnym rodzajem grozy, która wprawiała w drżenie setki ludzi a wiele kobiet – w omdlenie.

„Konstantinopolischerdudelsackpfeifenmachergesellschaft!”

Równocześnie dotknąłem jednego z elektrycznych kontaktów i jakiś dziwny błękitny blask zalał cały ten mroczny tłum. Wrażenie było nadzwyczajne! Należało mnożyć dalej te efekty. Podniosłem ręce do góry i zamruczałem następny wyraz:

„Nihilistendynamitkästchentheatersprengungsattentatsversuche!”

Wraz z tym zabłyśło czerwone światło. Po upływie sześćdziesięciu sekund krzyknąłem:

„Transvaaltruppentropentransporttrampeltiertreibersangststrählen!”

I zapaliłem światło zielone. A przeczekawszy tym razem więcej nad czterdzieści sekund, ponownie wyrzuciłem w górę swe ramiona hucząc groźne sylaby tego słowa nad słowami:

„Mekkamuselmannesmarmormonumentmachersmenschenmassenmördersmohrenmutter!”

Zajaśniało purpurowe światło. Wiedziałem, że moi chłopcy stoją gotowi z pompami u źródła.

Wówczas rzekłem do opata:

– Nadeszła chwila, ojcze, abym wypowiedział straszliwe imię i zdjął czary. Wypowiedzieć?

– Oczywiście.

Potem zwróciłem się do zgromadzonego ludu:

– Patrzcie, niebawem czary będą przełamane lub też żaden śmiertelnik uczynić tego nie zdoła. Jeśli to się stanie, wszyscy będą wiedzieli, gdyż ujrzą świętą wodę, tryskającą przed drzwiami kaplicy!

Stałem przez chwilę, czekając, aż bliżsi słuchacze będą mogli zakomunikować moje oświadczenie aż do najdalszych szeregów tym, do których nie dotarło, po czym przy akompaniamencie niezwykłych ruchów i gestów zawołałem:

– Lo, rozkazuję okrutnemu duchowi, co włada świętym źródłem, by wystrzelił ku niebiosom wszystkie piekielne ognie, jakie jeszcze w nim tkwią, i przełamał czary. Na jego straszliwe imię rozkazuję to – BGWILLJGKKK!

Następnie dotknąłem przewodnika połączonego z beczką i ku górze trysnęła z sykiem fontanna olśniewającego ognia, wybuchając na tle nieba niby błyskliwy deszcz klejnotów!

Potężny okrzyk zgrozy wydarł się z ludzkiego tłumu, lecz nagle zmienił się w żywiołową hosannę radości – gdyż w tej samej chwili ujrzano wodę, bijącą ze źródła. Sędziwy opat nie mógł wymówić słowa, łzy wzruszenia tamowały mu głos i tylko objął mnie swymi ramionami. Było to wymowniejsze od wszelkich słów.

21

Yankes walczy z rycerzami

W dwa dni później znalazłem rano na stole obok swego nakrycia gazetę jeszcze wilgotną od druku. Obejrzałem ją wiedząc, że musi tam być coś interesującego mnie osobiście. Oto, com przeczytał:

DE PAR LE ROI

Wobec tego, że możny pan i znakomity rycerz sir Sagramour Le Desirous zgodził się na spotkanie z ministrem królewskim, Hank Morganem o przydomku The Boss, celem dania satysfakcji za dawniejszą obrazę, wyżej wymienieni wstąpią w szranki około godziny czwartej z rana dnia szesnastego przyszłego miesiąca. Walka toczyć się będzie à outrance zważywszy, iż obraza miała ciężki charakter, niedopuszczający pojednania.

DE PAR LE ROI

Od tej chwili w całej Brytanii nie mówiono o niczym innym. Wszystkie sprawy uległy zapomnieniu i przestały interesować ludzi, i nie dlatego, że turniej był ważnym wydarzeniem, nie dlatego, że sir Sagramour znalazł Holy Groid, nie dlatego, że jednym z przeciwników była osobistość zajmująca drugie miejsce w królestwie. Nie, wszystko to nie miało wielkiej wagi. Nadzwyczajne zainteresowanie, jakie budziła ta walka wynikało z tego, że cała ludność wiedziała, iż nie ma to być pojedynek między zwykłymi ludźmi, lecz spotkanie między dwoma potężnymi czarodziejami! walka nie mięśni, ale rozumu, nie – ludzkiej zręczności, ale nadludzkiej sztuki, ostateczne zapasy o supremację pomiędzy dwoma mistrzami czarnoksięstwa. Rozumiano, że najwspanialsze wyczyny najbardziej znanych rycerzy nie będą mogły iść w paragon z widowiskiem podobnym temu. Wyglądałyby jak dziecinna zabawa wobec tajemniczych i straszliwych zapasów bogów. Tak, wiedziano, że ma to być w rzeczywistości walka między Merlinem i mną, próba jego magicznych mocy wobec mnie. Było rzeczą wiadomą, że Merlin zajęty jest dzień i noc, nasycając oręż i pancerz sir Sagramoura jakąś nadzwyczajną mocą natarcia i obrony, i że dostarczył mu od duchów powietrza specjalnej zasłony czyniącej posiadacza jej niewidzialnym dla przeciwnika, podczas gdy inni ludzie mogą go widzieć. Przeciwno sir Sagramourowi tak uzbrojonemu i zabezpieczonemu nic nie mogło zdziałać nawet tysiąc rycerzy, i żadne ze znanych czarodziejstw nie było zdolne sprostać. To było pewne i nie istniała pod tym względem najmniejsza wątpliwość. Ale z tego wynikało inne pytanie. Może inne sztuki czarnoksięskie, nie znane Merlinowi, potrafiłyby uczynić zasłonę sir Sagramoura widoczną dla mnie, a jego zaczarowaną kolczugę wystawić na ciosy mego oręża? To jedno tylko miało decydować w szrankach. I co do tego świat musiał trwać w niepewności.

Byłem szampionem, to prawda, ale nie szampionem lekkomyślnych czarnych sztuk, lecz – twardego, pozbawionego sentymentów zdrowego rozsądku i rozumu. Wstępowałem w szranki, aby zniszczyć błędne rycerstwo; lub też – paść jego ofiarą.

Dnia szesnastego o godzinie dziesiątej rano cała wielka przestrzeń poza szrankami była całkowicie wypełniona ludźmi. Zdobiły ją chorągwie i proporce oraz bogate kobierce, zajmowały tłumy królewskich lenników przybyłych wraz ze świtami i arystokracji brytyjskiej. Na pierwszym miejscu widnieli ludzie królewscy, a wszyscy razem i każdy z osobna błysz-

czał od jedwabii i aksamitów. W ogromnym obozie roilo się od różnobarwnych namiotów, przed którymi stały wyprostowane strażę. Gdybym nawet wyszedł zwycięsko z walki z sir Sagramourem, inni mieliby prawo wyzwać mnie, póki byłbym zdolny stawić im czoło.

Na drugim końcu obozu stały tylko dwa namioty: mój i mojej służby. W oznaczonej godzinie król dał znak, zjawili się heroldowie i ogłosili walkę wymieniając imiona przeciwników oraz przyczynę sporu. Nastąpiła pauza, a potem rozległy się dźwięki rogu myśliwskiego będące sygnałem dla nas. Zgromadzony tłum czekał z zapartym oddechem, a na wszystkich obliczach malowało się skupione zaniepokojenie.

Ze swego namiotu wyjechał olbrzymi sir Sagramour, imponująca masa żelaza, wielka włócznia sterczała w jego mocnej dłoni; koń jego był zakuty w stal. Wszystko to tworzyło wspianą całość, którą powitały okrzyki zachwyty.

A potem wystąpiłem ja. Lecz mnie nie powitały okrzyki. Panowało przez chwilę wymowne milczenie, a potem wielka fala śmiechu zakoiysała tym morzem ludzi, lecz ostrzegawczy sygnał rychło położył jej kres. Miałem na sobie zwykły i wygodny kostium gimnastyczny, cielistej barwy, obciskający mnie od szyi do pięt, błękitną jedwabną opaskę na biodrach i gołą głowę. Koń mój nie przekraczał średniej miary, lecz był żwawy, muskularny i smukłonogi, a śmigły jak chart.

Zaczęliśmy wolno zbliżać się do siebie. Przystanęliśmy: tamten się skłonił, ja mu odpowiedziałem. Po czym przejechaliśmy obok siebie i ustawiliśmy się na wprost króla i królowej czekając rozkazów. Królowa rzekła:

– Niestety, sir Boss, będziecie walczyli bez tarczy i bez miecza...

Ale król dał jej w sposób grzeczny do zrozumienia w kilku słowach, że to nie jest jej sprawa. Rogi zagrały znowu. Rozłączyliśmy się kierując konie ku zewnętrznym szrankom. Zajęliśmy swe miejsca. Teraz wystąpił na widownię Merlin i zarzucił na sir Sagramoura lekką, niby sieć pajęczą, tkaninę. Król dał znak. Sir Sagramour nastawił swą lancę i po chwili popędził galopem, z rozwiewającą się za nim tkaniną, a ja, niby strzała przesywająca z świstem powietrze, pośpieszyłem mu naprzeciw. Natężyłem ucha jakby słuchem łowiąc miejsce niewidzialnego rycerza. Rozległ się chór zachęcających dlań okrzyków, a tylko jeden dzielny głos wyrzekł to krzepiące serce moje słowo:

– Dalejże, Jimie!

Kiedy straszliwy grot lancy znalazł się półtora jarda od mojej piersi, uskoczyłem z koniem w bok bez żadnego wysiłku i cios wielkiego rycerza uderzył w próżnię. Tym razem zdobyłem huczny poklask. Zawróciliśmy konie i znowu spotkaliśmy się. Ponowne niepowodzenie rycerza i uznanie – dla mnie. To samo powtórzyło się kilkakrotnie. Wreszcie sir Sagramour stracił panowanie nad sobą i zmieniawszy taktykę postanowił wysadzić mnie z siodła. Lecz w całej tej grze przewaga była po mojej stronie. Ze swobodą wymykałem mu się wciąż wirując i ostatecznie inicjatywa przeszła w moje ręce. Tamten stracił wówczas serce. Wyrwałem przytroczone do mojego siodła lasso i uchwyciłem je mocno prawą ręką. Trzeba było to widzieć! Jego oczy nabiegły krwią. Ja siedziałem lekko na swoim koniu i ponad głową manewrowałem lassem skręcając je szerokimi kołami. Ruszyłem ku niemu i kiedy dzieliła nas przestrzeń wynosząca czterdzieści stóp, puściłem wężowo skręcone spirale poprzez powietrze i wszystkimi czterema kopytami wparłem swego rumaka w ziemię. W następnej chwili rzucony sznur wyprężył się mocno wysadzając sir Sagramoura z siodła! Cóż to była za sensacja!

Bez wątpienia wszelka nowość na tym świecie jest popularna. Tutejszy lud nie widział nigdy jeszcze podobnych wyczynów cowboya i wszyscy w zachwycie porwali się na nogi. Zewsząd rozległy się jeno okrzyki:

– Encore! Encore!

Dziwiłem się, skąd się wzięło to słowo w ich ustach, ale nie czas był na dociekania filologiczne, gdyż w całej masie błędnego rycerstwa zawrzało jak w ulu, i moje widoki bynajmniej nie wydawały się lepsze. Kiedy po uwolnieniu z lassa zanieziono sir Sagramoura do namiotu.

Ja znów zająłem stanowisko i zacząłem wywijać sznurem ponad głową. Byłem przygotowany, aby go użyć z chwilą gdy będzie wybrany następca sir Sagramoura, a nie mogło to trwać długo tam, gdzie było tylu żadnych kandydatów. Rzeczywiście wybrano zaraz – sir Hensa de Reval.

W chwilę później siodło jego było puste.

Wysadziłem jeszcze jednego i następnego, i znów jednego. Kiedy w ten sposób obezwładniłem pięciu, sprawa zaczęła wyglądać poważnie. Zakuci w żelazo mężowie jęli się naradzać. W rezultacie postanowiono wysłać przeciwko mnie największego i najlepszego. Ku ogólnemu zdumieniu wysadziłem z siodła sir Lamoreka de Galis, a po nim sir Galahada. Nie pozostało nic innego, jak wystawić najdumniejszego z dumnych, najpotężniejszego z potężnych – samego sir Lancelota.

Czy była to dla mnie chwila dumy? Sądzę, że tak. Tam się znajdował Artur, król Brytanii, i Guniwera, tam byli wszyscy lenni królewicze, a na pokrytym namiotami polu znani rycerze ze wszystkich krajów i najbardziej wybrani – rycerze Okrągłego Stołu – najświetniejsi w całym chrześcijaństwie. W umyśle moim przemknął drogi obraz pewnej dziewczyny z West Hartford i pragnąłem, aby ona mogła mnie widzieć w tej chwili. Tymczasem wystąpił Niezwyciężony – wszyscy zerwali się czyniąc pokłon w jego stronę – fatalne sznury zawirowały w powietrzu i zanim ktoś zdążył mrugnąć, ja już wlokłem sir Lancelota poprzez pole pośród morza powiewających chustek i grzmiących na moją cześć oklasków.

Zwycięstwo było zupełne – błędne rycerstwo zginęło ostateczną śmiercią.

Triumfujący i upojony sławą siedziałem w siodle i zwijając swoje lasso mówiłem sam do siebie: „Zwycięstwo całkowite, nikt już nie ośmielił się wystąpić przeciwko mnie – błędne rycerstwo umarło”. Wyobraźcie sobie teraz moje zdumienie – każdy zdumiałby się na moim miejscu – gdym naraz usłyszał znajomy dźwięk rogu, zapowiadający, że nowy przeciwnik pragnie wstąpić na arenę. Tkwiła w tym jakaś zagadka. Tego się wcale nie spodziewałem. Ale jednocześnie zauważyłem Merlina, który prześliznął się tuż obok mnie, i od razu zorientowałem się, że mi skradziono lasso. Stary, nieuczciwy czarownik najpewniej ukradł mi je i ukrył pod swą szatą.

Róg zatrąbił ponownie. Ujrzałem Sagramoura pędzącego w moim kierunku, rozbijającego kurz końskimi kopytami, z rozwianą za plecami zasłoną. Przygotowałem się na spotkanie przysłuchując się tętentowi konia.

– Masz dobry słuch – powiedział mi – ale nie uratuje cię przed tym. – Tu uniósł olbrzymi miecz. – Choć nie możesz go zobaczyć na skutek czarów zasłony, ale wiedz, że to nie ciężka kopia, to miecz, i wiem, że nie unikniesz od niego śmierci.

Jego przyłbica była podniesiona i śmierć niósł w uśmiechu. Pewnie, przed mieczem nie mogłem uciec, to było oczywiste. Jeden z nas musiał zginąć. Jeżeli trafi mnie, padnę trupem. Pojechaliśmy razem naprzód; by powitać władcę. Król był zmieszany.

– Gdzie masz swój straszliwy oręż? – spytał mnie.

– Ukradziono mi go, najjaśniejszy panie.

– Masz może inny?

– Nie, panie, wziąłem tylko ten ze sobą. Tu wtrącił się Merlin.

– On przyniósł tylko jeden, mógł bowiem tylko jeden przynieść. Drugi taki nie istnieje. Ten oręż jest własnością króla demonów morza. Ten człowiek, to pyszałek a jednocześnie nieuk, w przeciwnym razie wiedziałby bowiem, że oręża tego można użyć tylko po osiemkroć, a potem wraca on znów do morza, do swego właściciela.

– Zatem jest bezbronny – powiedział król. – Sir Sagramourze, powinieneś zaczekać, dopóki on nie zdobędzie broni.

– Dam mu swoją – powiedział sir Lancelot, zbliżywszy się kulejąc. – To najdzielniejszy rycerz, jakiego widziałem w życiu, zatem może użyć mojej broni.

Położył rękę na mieczu, aby go wydobyć, lecz sir Sagramour powiedział:

– Stój, tak nie może być. On powinien walczyć własną bronią. Otrzymał przywilej wybrania sobie broni i przyniesienia jej. Jeżeli ją stracił, niech odpowiada za to.

– Rycerzu – powiedział król – twoje namietności zaciemniają twój rozum. Czyż zdolny jesteś zabić nagiego, bezbronnego człowieka?

– Jeżeli on to uczyni, będzie miał do czynienia ze mną – powiedział sir Lancelot.

– Stanę do walki z każdym, kto zechce – wyniośle powiedział sir Sagramour.

Merlin przerwał mu zacierając dłonie z najohydniejszym uśmiechem podłej satysfakcji:

– Dobrze powiedziane, bardzo dobrze powiedziane! I dość rozmów, milordowie, nie przeszkadzajcie królowi, który chce dać sygnał do bitwy.

Król ustąpił. Zatrąbił róg i wróciliśmy na nasze miejsca. Stanęliśmy w odległości stu jardów jeden od drugiego, wyprostowani i nieruchomi jak dwa posągi. Jeszcze chwilę staliśmy tak, bez głosu, patrząc na siebie i nie poruszając się. Zdawało się, że król nie zdobędzie się na to, by dać sygnał. Ale wreszcie podniósł rękę, róg głośno zatrąbił, sir Sagramour uniósł miecz i długa, wąska, błyszcząca klinga mignęła w powietrzu pięknym zygzakiem. Stałem wciąż nieruchomo. Sir Sagramour zbliżał się do mnie. Nie ruszałem się. Lud był tak podniecony, że krzyczał mi:

– Uciekaj, uciekaj! Ratuj się! To morderca!

Ja wciąż się nie cofałem więcej niż na cal, dopóki śmiertelna postać nie znalazła się w odległości piętnastu kroków ode mnie. Wtedy dobyłem rewolwer z olstra, rozległ się trzask, błysnęła iskra i pistolet znalazł się znów w olstrze, zanim ktokolwiek zdążył zorientować się, co zaszło.

Koń bez jeźdźca odbiegł, na ziemi leżał sir Sagramour martwy.

Lud, który zbiegł się, oniemiał ze zdumienia nie znajdując w ciele leżącego ani znaków życia, ani widomej przyczyny śmierci. Żadnego uszkodzenia, żadnej rany na ciele, nic podobnego do rany. Był tylko otwór w kolczudze na piersi, ale nikt do takiego drobiazgu nie przywiązywał wagi. Niewielka ranka od kuli dała niewiele krwi, której nikt nie dostrzegł, bowiem ściekła pod pancerz. Ciało zaniecono przed króla, który chciał je obejrzeć. Wszyscy byli zdumieni. Wezwano mnie, abym przyszedł i udzielił wyjaśnień. Ale ja stałem wciąż na swoim miejscu nieruchomy jak posąg.

– Jeżeli to rozkaz, przyjdę – powiedziałem – ale jego królewska wysokość wie, że prawo pojedynku żąda, bym pozostał na miejscu dopóty, dopóki ktoś jeszcze nie zechce wystąpić przeciw mnie.

Czekałem. Nikt nie występował. Wtedy rzekłem:

– Jeżeli kto wątpi, że w tych szrankach zwyciężyłem uczciwie i szlachetnie, to nie będę oczekiwać wyzwania, lecz wyzwę sam.

– To szlachetna propozycja – powiedział król – i godna ciebie. Kogo pierwszego chcesz wyzwąć?

– Ja nie wyzywam nikogo imiennie, ja wyzywam wszystkich. Tu oto stoję i rzucam wyzwanie całemu rycerstwu angielskiemu i nie w pojedynkę, lecz wszystkim na raz.

– Co! – krzyknęli wszyscy rycerze.

– Słyszeliście wyzwanie? Przyjmijcie je albo krzyknę, żeście tchórze, których zwyciężyć może pierwszy lepszy!

To było bardzo brutalne. I można się było spodziewać, że z pięćdziesięciu chłopca rzuci się na mnie i rozerwie na sztuki za zuchwalstwo. Stałem i czekałem. Pięciuset rycerzy obsiadło koni w jednej chwili i podążyło w moim kierunku. Dobyłem obydwóch pistoletów z olster i począłem obliczać odległość.

Trach! Jedno siodło opróżniło się. Trach! Drugie. Trach, trach! Jeszcze dwa. Rozumiecie, że działałem już, jak to się mówi, na całego. Gdybym wystrzelił jedenastą kulę i nie nastraszyl ostatecznie rycerzy, dwunastym zabitym byłbym ja sam. Dlatego też byłem niewiarogodnie szczęśliwy, kiedy położywszy trupem dziewiątego rycerza dostrzegłem w tłumie za-

mieszanie – pierwszą oznakę paniki. Jedna stracona obecnie chwila cofnęłaby mi wszystkie szanse ostatecznego zwycięstwa. I nie straciłem jej. Podniosłem obydwa rewolwery celując – tłum stał nieruchomo z ćwierć minuty, po czym rozbiegł się.

To był mój dzień. Błędne rycerstwo zostało skazane na śmierć. Cywilizacja obejmowała swoje prawa. Jak ja się czułem? Nie potraficie sobie tego wyobrazić.

A brat Merlin? Jego pozycja upadła. Jak zwykle w starciu czarodziejstwa i kuglarstwa z czarodziejstwem nauki, zwyciężyło to ostatnie.

22

Po trzech latach

Kiedym zdruzgotał błędne rycerstwo, zbyteczne się stało utrzymywanie mojej działalności w tajemnicy. I pewnego pięknego dnia pokazałem zdumionemu światu moje szkoły, kopalnie i cały system moich ukrytych kolonij z warsztatami, fabrykami i zakładami przemysłowymi. Słowem, było to tak, jak gdybym dał wiekowi szóstemu do obejrzenia wiek dziewiętnasty.

We wszelkiej pracy – naczelna zasada: nie zwlekać, lecz kroczyć szybko naprzód. Rycerze chwilowo zostali obezwładnieni, ale, by utrzymać ich w tej pozycji, należało całkowicie sparaliżować ich siły. Widzieliście, że brawurowałem podczas ostatniego starcia i inaczej nie mogłem wtedy postąpić – cała moja nadzieja leżała w tym brawurowaniu. Teraz nie wolno mi było dać im się opamiętać. Tak też uczyniłem.

Ponowiłem moje wyzwanie, wyryłem je na miedzi i rozesłałem do wszystkich miejscowości, gdzie kler mógł odczytać je ludowi. Oprócz tego drukowałem je codziennie w rubryce ogłoszeń w gazecie.

Nie tylko ponowiłem wyzwanie, lecz i rozszerzyłem je. „Wyznaczcie dzień – pisałem – a wystąpię wraz z pięćdziesięcioma pomocnikami przeciw rycerstwu całego świata i zniszczę je.”

Tym razem nie brawurowałem. Wiedziałem, co mówię, i mogłem spełnić obietnice. Nie można było nie zrozumieć sensu mego wyzwania. Najgłupszy z rycerzy zrozumiał, że nadzedeł czas albo śmierci, albo poddania się. Byli rozsądni i wybrali to ostatnie. W ciągu następnych trzech lat ani razu nie sprawili mi poważnego kłopotu.

Rozpatrzmy teraz, postępy ostatnich trzech lat. Jaka stała się Anglia? Całkowicie zmieniony, szczęśliwy i kwitnący kraj. Wszędzie szkoły i kilka uniwersytetów. Duża liczba bardzo dobrych gazet. Pisarstwo rozwinęło się nadzwyczajnie. Humorysta sir Dinadan pierwszy wystąpił na tym polu z całym tomem starych dowcipów, które przeżyły jeszcze trzynaście wieków i zdążyły mi zbrzydnąć w dziewiętnastym stuleciu. Gdybyż on był wydał tę tandetę w niewielkiej ilości egzemplarzy tylko dla siebie i kaznodziejów, nie powiedziałbym nic. Ale na to liczyć nie mogłem i dlatego zakazałem książki i powiesiłem autora.

Niewolnictwo zostało zniesione, wszyscy ludzie byli równi przed prawem, podatki zostały również zrównane. Telegraf, telefon, fonograf, prasy drukarskie, maszyny do szycia i tysiące wszelkich innych urządzeń mechanicznych poruszanych za pomocą pary i elektryczności pracowały dla mieszkańców. Po Tamizie kursowały statki parowe, istniała flota wojenna i tworzyła się już handlowa. Zamierzałem już wysłać ekspedycję dla odkrycia Ameryki.

Przystąpiliśmy do budowy kilku linii kolejowych, a linia między Camelotem i Londynem kursowała już. Byłem na tyle przewidujący, że wszystkie stanowiska urzędowe, związane z obsługą pasażerów, obsadziłem dostojnymi osobami. Moim zamiarem było przyciągnąć do pracy rycerstwo i arystokrację i uczynić je pożytecznymi, nie zaś szkodliwymi. Nadzieje moje ziściły się, współzawodnictwo o posady było olbrzymie. Nadkonduktorem ekspresu był książę i nie było ani jednego konduktora na linii poniżej hrabiego.

Dzielni to byli chłopcy, jeśli nie brać pod uwagę dwóch wad, na które nie mogłem nic poradzić i w końcu machnąłem na nie ręką. Nie mogli mianowicie rozstać się ze swym uzbrojeniem i zawsze ukrywali kilku pasażerów, tj. mówiąc po prostu okradali kompanię. Nie było już prawie w kraju ani jednego rycerza, który by nie był zaprzęgnięty do jakiejś pożytecznej pracy. Przebiegali oni kraj z końca w koniec z najróżnorodniejszymi zleceniami. I tu ich działość i doświadczenie były nie tylko na miejscu, ale i przydawały się bardzo dla rozpo-

wszechnienia oświaty. Zakuci w stal, uzbrojeni w pikę, miecz lub topór, zachęcali oni do wypróbowania maszyny do szycia, instrumentu muzycznego, aparatu do golenia i setek innych wytworów kultury, a w razie odmowy zabijali uparciucha i wędrowali dalej. Byłem bardzo zadowolony. Wszystko szło tak składnie, że cel moich tajemnych pragnień wydawał się bliski urzeczywistnienia. Miałem, widzicie, w głowie dwa schematy, według których chciałem urzeczywistnić jeden z mych najdonioślejszych projektów. Po pierwsze chciałem obalić kościół katolicki, a zamiast niego wprowadzić protestantyzm, oczywiście nie jako religię panującą, lecz dla tych, którzy by sobie go życzyli. Po drugie chciałem osiągnąć wydanie dekretu, który by za życia Artura ustanowił nieskrępowane głosowanie mężczyzn i kobiet – wszystkich mężczyzn: głupich i mądrych, i wszystkich matek, które w średnim wieku powinny wiedzieć w przybliżeniu tyle, ile wiedzą ich synowie w dwudziestym roku życia. Artur mógł żyć jeszcze ze trzydzieści lat. Był wtedy w moim wieku, tj. miał lat czterdzieści. Liczyłem, że w ciągu tego czasu uda mi się przygotować czynną część ludności do takiego przewrotu. W ten sposób odbyłaby się niespotykana w historii rzecz – rewolucja rządowa bez przelewu krwi. Tak, spodziewałem się tego wszystkiego, ale było w tym także coś, na wspomnienie czego zawsze rumienię się. Chwytałem się na marzeniach o zostaniu pierwszym prezydentem owej nowej republiki.

Nagle wbiegła Sandy okropnie przestraszona i zanosząca się od płaczu do tego stopnia, że nie mogła wymówić ani jednego słowa. Podbiegłem do niej, objąłem ją, pieściłem, uspokajałem i prosiłem, by powiedziała, o co chodzi.

– Powiedz, najdroższa moja, powiedz prędzej! Co się stało?

Głowa jej opadła na moją pierś. Z trudem wyjąkała:

– Hallo-Centrala!

– Prędzej – zawołałem do Klarensa – telefonujcie do królewskiego homeopaty, żeby tu natychmiast przyszedł.

W dwie minuty byłem przy kołysce dziecka, Sandy zaś rozesłała służbę po lekarstwa i doktorów. Na pierwszy rzut oka poznałem, że dziecko ma krup. Nachyliłem się i wyszeptalem:

– Obudź się, mój skarbie.

Powoli otworzyła oczęta i przemówiła:

– Papa.

Poczułem ulgę. Była jeszcze daleka od śmierci. Posłałem po preparat siarkowy wiedząc, że przydaje się on w przypadku krupu. W ogóle nigdy nie siedziałem z założonymi rękami w oczekiwaniu doktora, gdy Sandy lub dziecko bywały chore. Umiałem je pielęgnować, a małeńka spędziła większą część swego życia na moich rękach. Często udawało mi się wywołać uśmiech na jej usteczkach, zanim jeszcze obeschły łyzy perlące się w oczach, co nie udawało się nawet matce.

Sir Lancelot w swym bogatym rynsztunku zmierzał właśnie poprzez wielką salę do komitetu giełdowego, którego był przewodniczącym. Komitet giełdowy składał się z rycerzy Okrągłego Stołu i posiedzenia jego odbywały się przy tymże Okrągłym Stole. Sir Lancelot, choć wstąpił na nową drogę, pozostał dobrodusznym niedźwiedziem, jakim był i dawniej. Zajrzawszy po drodze do nas i dowiedziawszy się, że jego ulubienica jest chora, od razu zapomniał o wszystkim. Zapytał, co ma czynić, i odstawivszy oręż w kącie, w minutę później wkręcał już nowy knot do spirytusowej lampki i stawiał na niej ronderek.

Przez ten czas Sandy przykryła kołyskę białą kapą i wszystko było gotowe. Lancelot zagotował wodę, po czym włożyliśmy do kociołka niegaszonego wapna, kwasu karbolowego oraz odrobinę kwasu mlecznego i poczęliśmy kierować strumień pary pod kapę, przykrywającą kołyskę.

Wszystko było teraz w porządku i nie odchodziliśmy ani na chwilę od kołyski. Sandy zopatrzyła nas w tartą korę bukową zamiast tytoniu i powiedziała, że możemy palić, gdyż za-

słona nie przepuści dymu do dziecka, a ona sama przyzwyczała się już do niego. Niekiedy paliła nawet sama i była pierwszą z dam, którą widziano wypuszczającą kłęby dymu z ust. Wzruszający był widok sir Lancelota, siedzącego w pełnym uzbrojeniu z zatroskaną miną u kołyski dziecka.

Był to przemiły i dobry człowiek, który powinien mieć własną żonę i dzieci, a bez wątpienia uczyniłby je szczęśliwymi. Ale, bez wątpienia, Guniwera... choć nie warto opłakiwać tego, na co nie można poradzić.

Trzy doby spędziliśmy u łoża dziewczynki, zanim minęło niebezpieczeństwo. Sir Lancelot wziął ją na ręce i mocno ucałował, a pióra zdobiące jego hełm opadały na jej złocistą główkę. Potem ostrożnie położył ją na kolanach matki i ruszył dalej w swą drogę przez wielką salę stąpając dumnie obok patrzących nań z zachwytem strażników i sług. I żadne przecucie nie tknęło mego serca, że widzę go ostatni raz na tym świecie. Boże, jakże okrutne ciosy ranią serca nasze na ziemi.

Doktorzy radzili nam wyjechać z dzieckiem, aby poprawiło się i wzmocniło. Według ich zdania potrzebne było dla dziewczynki morskie powietrze. Wzięliśmy ze sobą wodza i świętę złożoną z dwustu sześćdziesięciu osób i pojechaliśmy. W dwa tygodnie dotarliśmy do brzegów Francji, gdzie doktor poradził nam zamieszkać. Jeden z mniejszych królów zaofiarował nam swój pałac i przyjął bardzo gościnnie.

Gdyby miał on wszystko to, czego brakowało, urządzilibyśmy się znakomicie. Ale i tak było nam bardzo dobrze w jego starym zamku, zwłaszcza z wszystkimi rzeczami, które przywieźliśmy na statku.

W końcu miesiąca wysłałem okręt do domu po zapasy i wieści. Między innymi chciałem dowiedzieć się o rezultacie pewnej próby, którą uczyniłem przed odjazdem.

Zamiarem moim było zastąpienie turniejów czymś, co ostatecznie wypełniłoby wśród rycerstwa jego krwiożerczość, a jednocześnie zaspokoiliło potrzebę współzawodnictwa. Wybrałem spośród rycerzy kilkanastu do specjalnego treningu i właśnie teraz mieli oni wystąpić na publicznych zawodach.

Próba ta polegała na grze w piłkę. Aby usunąć ze sprawy wszelkie niesnaski i wyłączyć wszelką krytykę, wyznaczyłem do partii po dziewięciu ludzi, wybranych nie wedle ich zdolności, lecz według tytułów, tak że w partiach byli sami koronowani rycerze. Jeśli chodzi o towar tego rodzaju, było tego pod dostatkiem w otoczeniu Artura. Nie można było rzucić kamieniem w jakimkolwiek kierunku, by nie trafić w jakiegoś króla. Oczywiście, nie było mowy, abym mógł zmusić tych ludzi do zdjęcia zbroi. Nie zdejmowali ich nawet wtedy, kiedy się myli.

Zgodzili się jedynie dla odróżnienia partyj nosić kolczugi z różnej stali. Tak więc jedna partia przybrana była w kolczugi ulsterskie, druga zaś w gładkie kolczugi z mojej nowej besemerskiej stali. Ćwiczenia ich na boisku stanowiły tak fantastyczne widowisko, jakiego nigdy nie widziałem. Gdy piłka leciała w stronę kogoś z nich, nie odskakiwał on na bok, lecz oczekiwał skutku. Jeśli trafiła besemerowca, z hukiem odbijała się odlatując nieraz na sto pięćdziesiąt jardów. A gdy któryś z nich uciekał i rzucał się na ziemię, by uniknąć uderzenia, wyglądał jak pancernik wchodzący do portu. Z początku wyznaczyłem na sędziego człowieka nieutytułowanego, ale trzeba było go zmienić. Nie mógł nigdy wszystkich zadowolić. Jego pierwsza decyzja była ostatnią.

Rozbijali mu głowę na części swymi berłami i przyjaciele odnosili do domu sztywnego trupa. Trzeba było wyznaczyć na sędziego którąś ze znanych osobistości. Oto nazwiska członków obu partyj.

Besemerowcy.

Królowie; Artur, Lot Lochiana, Północnej Galii, Marcil, Małej Brytanii, Labour, Pelham-Listinghouse, Bagelemagus, Tollem-La-Feint.

Ulsterczycy.

Cesarz Lucjusz. Królowie: Lagris, Marchoń Irlandzki, Morganor, Marek Kornwalijski, Nentres Harlota, Mediadas Liona, Lacka, Sułtan Syryjski.

Sędzia – Klarens.

Pierwsze publiczne zawody ściągnęły pięćdziesiąt tysięcy widzów. Dla takiej uciechy warto byłoby objechać kulę ziemską. Zdawało się, że wszystko sprzyja, pogoda była przecudna i cała natura przyodziła się w swą nową wiosenną szatę.

23

Interdykt

Moja uwaga została zwrócona nagle w inną stronę. Nasze dziecko znów zaczynało chorować i musieliśmy siedzieć obok niego, gdyż sytuacja stała się bardzo poważna. Nie mogliśmy pozwolić, aby ktokolwiek wyręczał nas w tych sprawach, i tak spędziliśmy na czuwaniu dzień za dniem.

Ach Sandy! Jak cudowne było two serce, proste, szczere i dobre! Jako żona i matka była bez zarzutu, a jednak ożeniłem się z nią z przyczyn całkiem osobliwych. Jak wiadomo, miała być moją własnością dopóty, dopóki którykolwiek z rycerzy nie odbierze mi jej na polu walki. Jeździła za mną po całej Brytanii, odnalazła mnie pod szubienicą, pod murami Londynu i zajęła przy mnie swe dawne miejsce, łagodnie lecz zdecydowanie, jakby czując swe niezaprzeczalne prawo. Byłem Anglikiem późniejszej epoki i sądziłem, że tego rodzaju stosunek prędzej czy później mógł mnie skompromitować. Wtedy gdy się najmniej tego spodziewała, przerwałem swe rozmyślenia oświadczając się jej. To była, oczywiście, loteria – lecz po 12 miesiącach ubóstwiałem ją i między nami zapanowała tak doskonała przyjaźń, jak tylko to można sobie wyobrazić! Wiele mówi się pochlebnego o przyjaźni ludzi tej samej płci. Lecz czyż można porównać najserdeczniejszą z nich z przyjaźnią pomiędzy mężem i żoną, gdzie pobudki z najwyższych płynące źródeł dwojga różnych istnień łączą się w jednolitą, nienaruszalną harmonię? Nie może istnieć w ogóle porównanie – jedna przyjaźń jest ziemską, druga – niebieską. Przez długi czas wracałem we śnie do dziewiętnastego stulecia i mój nieukojonny i wzburzony duch przysłuchiwał się dźwiękom i wymawiał słowa, zawierające pojęcia ze zagalonego już dla mnie świata. Często Sandy słyszała okrzyki wyrrywające mi się z ust podczas snu lub natarczywe żądania za pomocą użycia tych samych wyrazów, które słyszała ode mnie również na jawie i które szczególnie zapamiętała. Z właściwą sobie szlachetnością postanowiła nazwać nasze dziecko imieniem mej utraconej ukochanej. Byłem wzruszony do łez i jednocześnie omal nie runąłem jak długi, gdy ze swym czarującym uśmiechem oznajmiła, jaką szykuje mi niespodziankę.

– Imię, które było ci tak drogie, pozostanie dla nas święte i stanie się muzyką dla naszych uszu. Jestem pewna, że będziesz zachwycony i ucałujesz mnie, gdy się dowiesz, jakie imię postanowiłam nadać naszemu dziecięciu.

Oczywiście, nie mogłem sobie wyobrazić tego imienia i byłem na tyle okrutny, że pozbawiłem ją przyjemności uczynienia mi niespodzianki we właściwym czasie.

– Znam two dobre serduszko, najdroższa! Ale chciałbym, żeby two słodkie usteczka wymówiły teraz to drogie imię, które ma się stać z czasem muzyką dla naszych uszu.

Zmieszana i promieniejąca szczęściem nie do wypowiedzenia wyrzekła:

– Hallo!-Centrala!

Nie zaśmiałem się, oczywiście, byłem wzruszony i wdzięczny, lecz wysiłek, by nie wybuchnąć śmiechem, był tak potężny, że omal mi nie skręcił kręgosłupa. I co najmniej

przez tydzień jeszcze potem słyszałem, jak trzeszczały mi kości przy każdym poruszeniu. Nigdy nie poznała swego błędu. Z początku słysząc ode mnie to umówione pozdrowienie telefoniczne, dziwiła się, a nawet złościła. Potem przyszło jej do głowy, że wymyśliłem ten wyraz, by uczcić i uwiecznić pamięć ukochanej, i że to było jej pieszczotliwą nazwą. Oczywiście, nie było to prawdą – ale na ogół mniej więcej się z nią pokrywało.

Dwa i pół tygodnia spędziliśmy przy kołysce naszego maleństwa i nie wiedzieliśmy o niczym, co się działo poza ścianami dziecinnego pokoju. Ostatecznie byliśmy wynagrodzeni – nasz skarb zaczął powoli powracać do zdrowia. Cośmy wtedy czuli? Radość? Wdzięczność?

Wszystkie słowa były zbyt ubogie, by wyrazić to uczucie. Każdy je zna, kto wyrwał swe dziecko z krainy cieni i widział, jak życie doń powraca i uśmiech radości zaigra na ukochanym buziaku.

W jednej chwili powróciliśmy do rzeczywistości I natychmiast przeczytaliśmy nawzajem w naszych oczach jedną i tę samą myśl: dwa tygodnie minęły od odejścia naszego okrętu, dotąd jednak nie powrócił!

W następnej chwili już byłem przy swej eskorcie. Z ich twarzy widziałem, jak straszliwy przeżywali niepokój. W ich otoczeniu ruszyłem na wzgórze, by rozejrzeć się po morzu. Gdzie się podział mój olbrzymi handlowy okręt olśniewający pięknem swych białych, rozwiniętych żagli?

Znikł. Ani żagla, ani dymu, od końca do końca jak okiem sięgnąć – pustka i martwota bezludna w tym królestwie wiatru i ruchu. Szybko zawróciłem nic nikomu nie mówiąc. Opowiedziałem tylko Sandy o smutnej nowinie. Nie przychodziło nam do głowy żadne wytłumaczenie. Napad? Trzęsienie ziemi? Zaraza? Być może cała ludność została starta z oblicza ziemi? Błądzenie po omacku było bezcelowe. Obowiązek nakazywał mi jechać tam natychmiast. Król użyczył mi swego małego okręciku, nieprzekraczającego wymiarami drobnego rzecznoego siateczka.

Trzeba było się rozstać – cóż za okrutny los! Zasypywałem moje maleństwo pożegnalnymi pocałunkami, a ono śmiało się do mnie bełkocąc coś w swej osobliwej gwarze. Po raz pierwszy od dwóch tygodni – omal nie powariowaliśmy z radości! Kochany dziecinnie bełkot, którego nie zastąpi mi najpiękniejsza muzyka. Jakżeż smutno, gdy ustępuje miejsca prawidłowej wymowie... Ale nie wywołujmy lepiej miłych, subtelnych wizyj minionego.

Następnego ranka zbliżyłem się do Anglii. W porcie Dawida były statki, ale ogołocone z żagli, i nigdzie nie ujrzałbyś znaku życia. Była to niedziela. Nawet w Canterbury ulice świeciły pustką, a co najdziwniejsze, nigdzie ani jednego księdza i do uszu nie wpadł mi dźwięk dzwonów. Wszędzie panowała śmiertelna ponurość. Nie mogłem tego pojąć. Wreszcie w odległym zakątku tego miasta ujrzałem pogrzeb – rodzina i kilku przyjaciół towarzyszyło trumnie – bez księdza. Pogrzeb – bez dzwonów i świec. W pobliżu znajdował się kościół, zamknięty. Przeszli obok niego płacząc, ale nikt tam nie wszedł. Spojrzałem na dzwonnice: dzwon był owinięty krepą, a serce jego – odjęte. Teraz zrozumiałem! Wiedziałem teraz, jaka to straszliwa klęska spadła na Anglię. Inwazja? Inwazja to fraszka w porównaniu z tym. To był INTERDYKT!

Więcej nie pytałem, gdyż to było zbyt bezcelne. Kościół karał. Jedyne, co mi pozostawało – przebrać się i mieć się na ostrożności. Jeden ze służących dał mi swą odzież, a gdy już byliśmy za miastem, odprawiłem go i poszedłem samotnie obawiając się pozostawać w jakimkolwiek towarzystwie.

Smutna podróż. Wszędy beznadziejne milczenie. Nawet w Londynie. Handel ustał. Ludzie nie rozmawiali i nie śmiali się, nie chodzili grupami a nawet we dwójkę. Błąkali się samotnie z pochylonymi głowami i spazmem przerażenia w sercach.

Na wieży dały się zauważyć ślady wojennych operacji. O tak, wiele się tu stało beze mnie. Ma się rozumieć, zdążyłem ku pociągowi do Camelot. Pociąg! Na stacji było pusto i ciemno jak w podziemiach. Poszedłem pieszo. Podróż do Camelot była powtórzeniem tego, com już widział. Poniedziałek i wtorek niczym się nie różni od niedzieli. Przybyłem późną nocą. Zamiast jaskrawo oświetlonego elektrycznością miasta – podobnego najbardziej do odpoczywającego słońca – zobaczyłem złowrogą czarną plamę na ciemnym tle, jeśli można tak się wyrazić, gdyż było ciemnością bardziej zgęszczoną od otaczającego mroku. Poczulem w tym coś jakby symbol – znak, że kościół położył władczą rękę na wszystkich mych poczynaniach,

zgasił światło mej cudownej cywilizacji, zarówno jak i światła Camelotu. Nie było życia w ciemnych ulicach. Szedłem dalej z ciężkim sercem. Olbrzymi zamek niby czarne widmo piętrzył się na wzgórzu, nie wyblęsała ani jedna iskierka. Most był spuszczone, potężne wrota rozwarte na oścież. Wszedłem bez hasła i słyszałem tylko stuk własnych kroków pośród mogilnej ciszy rozległego podwórca.

Odnalazłem Klarensa samotnego w mieszkaniu, pogrążonego w melancholii. Zamiast elektryczności przyświecał sobie starożytną lampką z olejem i gałgankiem. Wszystkie zasłony były zapuszczone; przebywał w ponurym półmroku. Podskoczył radośnie ku mnie.

– Och, zobaczyć znów żywego człowieka, przecież to warte milion milrejsów!

Poznał mnie natychmiast mimo przebrania. Łatwo odgadnąć, że ta okoliczność cokolwiek mnie zaniepokoiła.

– Powiedźże mi jak najrychlej, co było przyczyną tego nieszczęścia! – spytałem. – Jak to się stało?

– Ba, żeby nie królowa, być może, tak prędko by się to nie stało, chociaż, ostatecznie, musiało się tak skończyć. Po trosze z pańskiego powodu, ale na szczęście, stało się to właściwie z powodu królowej.

– I sir Lancelota?

– Istotnie.

– Opowiedz mi szczegółowo.

– Znana jest panu zapewne historia, że tylko jedna para oczu w królestwie nie patrzyła krzywo na królową i sir Lancelota.

– No tak. Króla Artura.

– ... i tylko jedno serce nie dopuszczało podejrzeń.

– Tak, serce króla, serce niezdolne do złej myśli o przyjacielu.

– Właśnie. Zapewne król żyłby nadal w szczęściu i ufności do końca swych dni, gdyby nie jeden z pańskich wynalazków, mianowicie – komitet giełdowy. Po pańskim wyjeździe wszyscy byli gotowi i dojrzały do rozpoczęcia giełdowych operacji. Że tu mieściła się beczka z prochem, to dla każdego zrozumiałe. Papiery były wyznaczone do sprzedania z rabatem.

Cóż tedy czyni sir Lancelot...

– Wiem. Skwapliwie cofnął omal wszystkie za bezcen. Ponadto nabył dwa razy tyle, ile przeznaczało się do wykupienia. Chciał je już wtedy przedkładać, gdy wyjeżdżałem.

– Nawet przedłożył. Nasi chłopackowie nie byli w stanie ich zapłacić. Wtedy ich przycisnął. Śmieli się w kułak, radzi z kawału, że udało im się sprzedać mu papiery po piętnaście i szesnaście, gdy niewarte były dziesięciu Ale nie śmieli się już tak wesoło, gdy Niepokonany zmusił ich do kompromisu na dwieście osiemdziesiąt trzy.

– To ci dopiero kawał!

– Obdarł ich żywcem ze skóry, a całe królestwo przyklasnęło mówiąc, że dostali za swoje. Pośród obdartych znajdowali się kuzynkowie królewscy, sir Agrevan i sir Mordread. Tu mamy koniec aktu pierwszego. Akt drugi, scena pierwsza – pokój w Carlyle Castle, dokąd dwór zjechał po parodniowym polowaniu. Osoby – cały wylęg królewskich kuzynków. Mordread i Agrevan proponują zwrócenie uwagi pocziwego Artura na Guniwerę i sir Lancelota.

Panowie Jawen, Gareth i Harris postanowili nie mieszać się do tej sprawy. Rozgorzał głośny, zacięty spór, podczas którego wszedł król. Tableau. Z rozporządzenia królewskiego Lancelotowi zastawiono pułapkę, w którą wpadł. Ma się rozumieć, dla świadków – panów Agrevana, Mordreada i całego tuzina pomniejszych rycerzy – sprawa nie skończyła się dobrze, bowiem Lancelot wszystkich ich, prócz Mordreada, pozabijał. Ale nie wpłynęło to oczywiście na załagodzenie jego zatargu z królem.

– O, kochanie, w tym wypadku mogło być tylko jedno zakończenie, właśnie je spostrzegam: wojna; właśnie wszyscy rycerze tego kraju dzielą się na dwie partie, jedna po stronie królewskiej, druga przy Lancelocie.

– Rzeczywiście, tak się też stało. Król posłał królową na stos proponując jej, by oczyściła się przez ogień. Lancelot ze swymi rycerzami uwolnił ją i podczas tego starcia zabito wielu pańskich i moich przyjaciół, w każdym razie najczcigodniejszych, jakich kraj posiadał. Na przykład, sir Belias le-Argulus, sir Geglardes, sir Greeflet, sir Braudiies i Agloval...

– Och, rozdzierasz mi serce!

– Ha! To jeszcze nie wszyscy. Sir Tor i sir Hautez... trzech bracia sir Raynolda, sir Priamus, sir Kay-Cudzoziemiec oraz Driant i... któż, myślałby pan jeszcze?

– Kończcie pan prędzej!

– Sir Harris, sir Harret, obaj!

– Niemożliwe! Ich przywiązanie do Lancelota było wszak niezniszczalne!

– Tu zaszła zwykła, fatalna pomyłka. Byli tylko widzami, nie mieli nawet zbroi, przyglądali się jedynie, jak karzą królową. W swej zaciekłości sir Lancelot rzucał się na każdego, kto mu się podwinał pod rękę. Zabił ich, nie wiedząc nawet, kim byli. Oto proszę migawkowe zdjęcie, które zrobił jeden z naszych chłopców w trakcie utarczki. Wystawiono je na sprzedaż na wszystkich kolejowych stacjach. Tu są osoby z najbliższego otoczenia królowej – sir Lancelot z podniesionym mieczem i sir Harret wyziewający ducha. Może pan tu dostrzec poprzez kłęby dymu cierpienie na obliczu królowej. Wspaniały batalistyczny obraz!

– Istotnie, musimy go zachować. Bezcenny historyczny dokument. Proszę, mów dalej.

– Więc, ostatecznie zaczęła się prawdziwa wojna. Lancelot cofnął się ku swemu miastu i zatarasował się w zamku gromadząc rycerzy. Król wyruszył przeciw niemu z olbrzymim wojskiem, zaważła parodniowa bitwa, w której rezultacie ogromna przestrzeń została zasłana trupami i odłamkami żelaza. Wtedy kościół jakoś załagodził spór między Arturem, Lancelotem i królową oraz pomiędzy walczącymi stronami z wyjątkiem sir Jawena, bardzo rozgoryczonego z powodu śmierci swych braci, Harreta i Harrisa, i nie godzącego się na zawieszenie broni. Powiadomił Lancelota, że odstępuje ze swoimi, a tymczasem począł szykować się do ataku. Jawen poszedł za nim ze swoimi i namówił Artura, by się przyłączył. Artur pozostawił rządy królestwem aż do czasu swego powrotu w rękach Mordreada...

– A! Poznają króla z jego mądrych czynów!

– Właśnie. Sir Mordread natychmiast przystąpił do utrwalenia swej władzy – na zawsze. Pierwszym krokiem była decyzja poślubienia Guniwery, lecz królowa uciekła i zamknęła się w wieży londyńskiej. Mordread zaatakował wieżę. Biskup Canterbury gruchnął weń interdyktem. Król wrócił. Mordread rozproszył jego wojska przy Dovrze, pod Canterbury i raz jeszcze przy Bergamie, po czym zainicjowano rokowania pokojowe. Zważ pan: Mordread otrzymał Kornwalię i Cant jeszcze za życia króla – i całe królestwo po jego śmierci.

– Wszystko tak, jak myślałem! Moje marzenie o republice niestety pozostanie marzeniem...

– O, tak. Obydwie armie zajęły pozycje w pobliżu Salisbury. Jawen... jego głowa znajduje się obecnie w Dovrze, poległ tam na polu walki. Zjawił się królowi we śnie, a raczej uczynił to jego duch i ostrzegał, by za wszelką cenę wystrzegał się starcia w ciągu miesiąca. Lecz bitwa została podjęta z najgłupszego powodu. Artur zarządził alarm i atak, jeśli tylko podnie się się w górę choć jeden miecz w trakcie pertraktacji z Mordreadem, gdyż mu nie dowierzał.

Mordread wydał analogiczny rozkaz swemu wojsku. Nagle żmija ugryzła pewnego rycerza w piętę. Przelekniony zapomniał o rozkazie, dobył miecza i przepołowił żmiję. Chwila nie minęła, jak obydwie wojska zwały się we wściekłej walce. Rzeź trwała przez cały dzień. Wtedy król.. Ale muszę panu pokazać teraz pewną nowość, którą zapoczątkowaliśmy tu bez pana w naszym piśmie.

– Serio? Cóż to?

– Korespondencja wojenna.

– Cóż, wspaniale!

– Tak, pismo alarmowało na prawo i na lewo, że interdykt nie jest w stanie wyrzucić należącego wpływu i w ogóle znaczenie jego niknie, a wojna obarcza kraj. Miałem korespondentów w obydwu armiach. Zakończę swą opowieść o walce słowami jednego z moich zuchów: „Wtedy król rozejrzał się dokoła i zobaczył, że ze wszystkich jego sławnych rycerzy i z całego wojska pozostali tylko dwaj: sir Łukasz de-Boutler i brat jego, Bediwer, przy czym obaj są ciężko ranni. – Wielki Boże, rzecze król – co się stało ze wszystkimi tymi szlachetnymi rycerzami? Gorze mi, że doczekał tak bolesnego dnia! Albowiem – rzecze Artur – nadszedł i na mnie kres. Azaliż Bóg nie da mi spotkać się ze zdrajcą Mordreadem, sprawcą złego? – Aż oto dojrzał król Mordreada stojącego z mieczem pośród stosu trupów. – Daj mi mój miecz! – rzecze król do Łukasza – ujrzałem bo zdrajcę Mordreada winnego nieszczęściu. – Sir, daj mi spokój – powiada sir Łukasz – wszak on również jest nieszczęśliwy. Minie ten złowrogi dzień, będziesz, królu, pomszczony sprawiedliwie! Wspomnij na swój sen i na to, co rzekł ci duch Jawena tej nocy. Bóg w swym miłosierdziu zachował cię przy życiu, oszczędź tedy ty Mordreada. Dzięki miłosierdziu bożemu, bądź co bądź, bitwę wygraliśmy: nas trzech zostało przy życiu, a sir Mordread jeno sam jeden. Gdy mu je, królu, darujesz, złowrogi dzień odejdzie do wieczności.

– Kwestia życia i śmierci jest mi obojętna – odrzecz król – teraz widzę tylko jego jednego i nie ujdzie mych rąk; dogodniejszej sytuacji nie przewiduję.

– Niech Bóg cię ma w swej pieczy – odpowiada Bediwer. Wtedy król porwał oburącz za miecz i pognął ku Mordreadowi z okrzykiem: – Ha, zdrajco, wybiła twa godzina! – A skoro usłyszał głos króla, sir Mordread porwał również za miecz i runął na spotkanie. Tedy Artur zadał cios panu Mordreadowi poniżej tarczy, przebijając go na wylot. Czując się rannym śmiertelnie sir Mordread zebrał resztki sił i skoczył z mieczem na Artura. Trzymając oburącz miecz ciał swego brata, Artura przez hełm i czaszkę i padł martwy na ziemię. A za nim padł również szlachetny Artur.”

– Świetna próbka wojennej korespondencji. Klarens, jesteś wspaniałym dziennikarzem. Ale cóż z królem? Przyszedł do siebie?

– Nie, zmarło się biedakowi.

Byłem wstrząśnięty, sądziłem, iż żadna rana nie może być dlań śmiertelna.

– A królowa?

– Została mniszka w Almesbury.

– Ileż zmian w tak krótkim przeciągu czasu! To niepojęte! Cóż teraz począć?

– Właśnie chcę rzec.

– No?

– Rzucić wszystko na los szczęścia i powstać przeciwko nim.

– Co masz na myśli?

– Jest pan wraz z Mordreadem na indeksie i pozostanie pan do końca życia. Kościół posiada wykaz wszystkich rycerzy, którzy ocaleli, i skoro się dowie, że pan tu przebywa, będziemy mieli sporo kłopotu z ratowaniem pana.

– Ależ! Przy naszych wojennych środkach, z naszym zdyscyplinowanym wojskiem...

– Bez przesady, sir. Nie wiem, czy doliczylibyśmy się do 60 ludzi.

– Co mówisz! A nasze szkoły, kolegia, warsztaty, nasze...

– Skoro tylko nadejdą rycerze, wszystkie te instytucje staną pustkami, a nasi uczniowie i majstrzy przejdą na stronę wroga. Myśli pan, że pan wygnał zabobon z tych ludzi wychowaniem?

– Oczywiście, byłem o tym przekonany.

– To niech się pan rozczaruje. Wszystko, co nowo nabyte, trzymało się ich tylko do czasu interdyktu. Od interdyktu zaś są twardzi zaledwie po wierzchu, w sercach ich strach panuje. Gdy zobaczą wojsko, maski opadną.

– Smutne nowiny. To znaczy, żeśmy zginęli. Obróca przeciwko nam naszą własną naukę.

– Tego nie uczynią.

– A to dlaczego?

– Ponieważ ja i garść oddanych mi ludzi przedsięwzięliśmy po temu odpowiednie środki. Opowiem, co uczyniłem i co mnie do tego skłoniło. Jesteś pan sprytny, wszakże kościół sprytniejszy od pana. Przecież to on usunął pana stąd przy pomocy swych sług – lekarzy.

– Klarensie!

– Tak, tak! Teraz już wiem. Cała obsługa na okręcie, zarówno jak i pańska eskorta, to byli nasłani ludzie.

– O, Boże!

– Najistotniejsza prawda! Z początku również o niczym nie wiedziałem i dopiero pod koniec zorientowałem się. Czyż pan dawał zlecenie kapitanowi, by mi zakomunikował, że otrzymawszy zapasy wyjedzie pan do Kadyksu na stałe?

– Kadyks? W myślach go nie miałem!

– ... Żeś pan postanowił mieszkać w Kadyksie i pływać po okolicznych morzach dla poprawienia zdrowia swej rodziny? Czy pan dawał takie zlecenie?

– Oczywiście, nie. Napisałbym, a nie przekazywał ustnie.

– Sądzę. Od tego czasu powziąłem wątpliwości. Gdy okręt wyruszył z powrotem, wsadziłem tam swego szpiega. W ciągu dwóch tygodni oczekiwałem wiadomości wreszcie postanowiłem wysłać statek do Kadyksu. Ale tu powstała przeszkoda, która mi uniemożliwiła wykonanie zamiaru.

– Jakaż?

– Cała nasza flota nieoczekiwanie i w tajemniczy sposób zniknęła. Również tajemniczo i nagle przestały funkcjonować telegraf i telefony, obsługa rozbiegła się, druty zostały przecięte. Ostatecznie – kościół wypędził nawet elektryczne oświetlenie! Nie było czasu do stracenia. Pańskiemu życiu niebezpieczeństwo nie zagrażało – nikt w całym królestwie poza Merlinem nie ważyłby się podnieść ręki na takiego przeciwnika jak pan, nie mając za sobą co najmniej tysiąca ludzi. Pozostawało mi tedy dbać o to, by wszystko było w porządku na pański przyjazd. O siebie też się nie lękałem; nikt nie ważyłby się tknąć również kogokolwiek z pańskich przyjaciół. I oto, com przedsięwziął. Ze wszystkich warsztatów i szkół pańskich począłem wybierać młodzieńców, za których ręczyłbym głową, zebrałem ich wszystkich razem i dałem instrukcje. Jest ich 52, w wieku od 14 do 17 lat.

– Po coś pan wybrał takich wyrostków?

– Dlatego, że inni narodzili się w atmosferze zabobonu i wrócili doń. Wszedł w ich krew i kości. Ludziliśmy się, żeśmy ich przekształcili, zresztą oni również tak myśleli, ale interdykt obudził ich jak odgłos grzmotu. Pokazał, czym są w istocie, ale co do chłopców, to co innego. Wybrałem takich, którzy wychowywali się u nas nie mniej niż 7 do 10 lat i nie stykali się z uciskiem kościoła. Przede wszystkim zaś odwiedziłem cichcem grotę Merlina – nie małą, a wielką...

– Tę, gdzieśmy założyli nasz główny skład elektrycznych maszyn, gdy projektowałem jeszcze jeden cud?

– Właśnie, właśnie. Ponieważ zaś nie zachodziła potrzeba cudu, sądziłem, że byłoby niezgorzej, abym wykorzystał te maszyny i aparaty. Chodziło mi o przygotowanie groty do obłędzenia.

– Dobra myśl, Klarensie. Całkiem dobra!

– I ja tak myślę. Czterech chłopców umieściłem tam jako straż wewnętrzną, by nikt ich nie dojrzał. Niech tylko kto spróbuje dostać się do groty, już my go powitamy! Dalej znalazłem

ukryte druty łączące pańską sypialnię ze składami dynamitu pod naszymi młynami, warsztatami, magazynami itd. W nocy przecięliśmy druty i połączyliśmy je z grota. Nikt prócz pana i mnie nie podejrzewa, dokąd prowadzą ich drugie końce. Ma się rozumieć, przeciągnęliśmy je pod ziemią i cała praca została wykonana w ciągu 2 godzin. Teraz nie pozostawimy już naszej twierdzy w wypadku konieczności zniszczenia naszej cywilizacji.

– Krok prawidłowy i całkiem naturalny. Nieunikniona konsekwencja wojny przy zmienionych warunkach. Ba! Ależ jakie zmiany zaszły! Spodziewaliśmy się osaczenia w pałacu prędzej czy później, ale... No, mów dalej.

– Ponadto zrobiliśmy ogrodzenie z drutów.

– Z drutów?

– No, tak. Pan sam podsunął nam tę myśl przed dwoma–trzema laty.

– O, pamiętam! To było wtedy, kiedy kościół po raz pierwszy spróbował pokazać nam swoją moc, ale postanowił odłożyć do bardziej sprzyjających warunków. Dobrze, więc jakieś urządził to ogrodzenie z drutu?

– Przeciągnąłem 12 nadzwyczaj mocnych drutów – niezolowanych – od wielkiego dynamo do groty. Maszyna tylko o dwóch szczotkach, dodatniej i ujemnej.

– W porządku.

– Druty idą od groty i tworzą pod ziemią krąg o średnicy 100 jardów. Powstało w ten sposób 12 przegródek na dystansie stu stóp i wszystkie ich zakończenia zdążają również ku grocie.

– Pięknie! Cóż dalej?

– Ogrodzenie umacniają ciężkie dębowe pale, trzy stopy od siebie odległe, wbite na głębokość 5 stóp.

– To mocno.

– Druty nie mają uziemienia – poza grota. Idą od końca dodatniego, połączenie z ziemią odbywa się poprzez ujemny. Drugie końce drutów wracają do groty i każdy niewidocznie łączy się z ziemią.

– O nie, to do niczego!

– Dlaczego?

– Niewygodne, marnuje się siła. Uziemienie jest niepotrzebne z wyjątkiem połączenia z ujemną szczotką. Drugie zakończenie każdego drutu winno być doprowadzone z powrotem do groty i bezpośrednio umocowane bez połączenia z ziemią. Teraz uważaj, jaka stąd ekonomia. Kawaleria cwałuje na zagrodzenie. Nie tracisz energii, ponieważ posiadasz tylko jedno uziemienie, dopóki konie nie dotkną drutów. Z chwilą zaś dotknięcia powstaje połączenie z ujemną szczotką przez ziemię i powoduje śmierć. Jasne. Nie zużyłeś energii, dokąd nie zachodziła potrzeba, twój piorun zawsze jest w pogotowiu jak nabój w lufie, ale to cię nic nie kosztuje, zanim się do tego nikt nie dotknie. – O, tak – połączenie przez ziemię, jedyna rzecz!

– Racja. Przeoczyłem to. To jest nie tylko oszczędniejsze, ale i skuteczniejsze, gdyż w razie porwania się lub poplątania drutu nie powoduje szkód.

– A nie, tym bardziej skoro posiadamy akumulator w grocie i możemy każdy złamany drut wyłączyć. Więc proszę dalej. Armaty?

– Zrobione. W centrum wewnętrznego koła, na placu, zgrupowałem baterię z 30 dział z odpowiednim zapasem ładunków.

– Pięknie. Gdy rycerze papiści zawitają, spotka ich niezła orkiestra. Wierzchołki przepaści nad grota?

– Przeprowadziłem tamtędy drucziane zagrodzenie i ustawiłem jedno działo. Nie przedostaną się przez żadną skałę.

– Dobrze. A szklane cylindry i dynamitowe torpedy?

– Też są. Posiadam piękny ogródek, jakiego nikt jeszcze nie uprawiał. Jest to pas 40 stopowej szerokości otaczający zewnętrzne oparkanie; dystans między nim a zagrodzeniem

wynosi około 100 jardów stanowiąc coś w rodzaju neutralnego pasa. Nie ma ani jednego jarda ziemi nie zawierającego torpedy. Przykryliśmy je warstwą piasku. Ogródek posiada całkiem niewinny wygląd, ale niechby kto spróbował nań wstąpić!

- Czyś wypróbował torpedy?
- Chciałem to uczynić, ale...
- Co za „ale”? To bardzo nieogłędnie z twojej strony, żeś nie wypróbował.
- Wiem, ale w gruncie rzeczy one są wypróbowane. Położyłem parę na wielkiej drodze opodal naszej linii, no i te zostały wypróbowane.
- To co innego. Któż tego dokonał?
- Komitet kościelny. Szedł do nas, by zażądać podporządkowania się. Jak pan widzi, szli nie po to, aby wypróbować torpedy, ale uczynili to przypadkiem.
- No i co? Złożyli raport komitetowi?
- A tak. Pan już mógł o tym słyszeć.
- Jednogłośnie?
- Coś w tym rodzaju. Po tym wypadku ustawiłem znaki celem uprzedzenia następnych komitetów i od tej pory już nie mieliśmy wtargnięcia na nasze tereny.
- Masę rzeczy załatwiłeś, Klarensie, i wszystko bardzo dobrze.
- Mieliśmy dość po temu czasu i nie śpieszyliśmy się.
- Pomilczeliśmy chwilę w zamyśleniu. Ale moja myśl poczęła pracować; rzekłem:
- Teraz wszystko gotowe. Wszystko przewidziane w szczegółach. Wiem teraz, co czynić.
- Wiem również: siedzieć i czekać.
- O nie, sir. Wstać i działać.
- Co pan chce przez to powiedzieć?
- Właśnie to, co powiedziałem. Wolę ofensywę od defensywy. Słowem: podnosimy się i czynimy – w tym nasza gra.
- Jeden na sto, że pan ma rację. Ale od czego zaczniemy?
- Ogłosimy republikę.
- O, istotnie, to wpłynie na tok spraw przyśpieszająco.
- Zmuszę ich do brzęczenia; zapewniam cię. Jutro w południe Anglia będzie gniazdem szerszeni, jeśli ręka kościoła nie utraciła jeszcze swej sprawności. A wiemy, że nie utraciła. Teraz pisz, co podyktuję:

PROKLAMACJA

Czyni się wszystkim wiadome!

Ponieważ król umarł i nie zostawił następcy, obowiązkiem moim staje się dalsze sprawowanie władzy wykonawczej na mnie przelanej, dopóki nie zostanie utworzony rząd, który władzę obejmie. Monarchia upadła i przestała istnieć. Skutkiem tego cała potęga polityczna wraca do swego pierwotnego źródła, którym jest naród. Wraz z monarchią padły również związane z nią instytucje: nie ma więc już szlachty, nie ma klasy uprzywilejowanej ani urzędowego kościoła. Wszyscy ludzie stają się zupełnie równi, są na jednym i tym samym poziomie, a pod względem wyznania – całkiem wolni. W ten sposób zostaje ogłoszona Republika jako naturalny stan narodu w chwili, gdy przestała istnieć władza. Obowiązkiem narodu brytyjskiego jest zebrać się natychmiast, w drodze głosowania wybrać swych przedstawicieli i powierzyć im władzę.

Podpisałem i sygnowałem

MISTRZ Z PIECZARY MERLINA

– Po co im mamy mówić, gdzie jesteśmy – rzekł Klarens – i w ten sposób wskazywać im drogę?

– Właśnie zależy mi na tym. My występujemy z proklamacją, a teraz na nich kolej wystąpić. Zarządź natychmiast wydrukowanie jej i rozesłanie. Prócz tego każ osiodłać parę dobrych koni, byśmy mogli odjechać do pieczary Merlina.

– Za 10 minut wszystko będzie gotowe. Jakiż cyklon rozpęta się jutro, gdy ten świstek papieru zacznie działać!

Kochany, stary zamek! Byłoby dziwne, gdybyśmy z powrotem... Ale lepiej o tym nie myśleć.

25

Bitwa w piaskowym pasie

W grocie Merlina – Klarens, ja i 52 młodzieńców, sam kwiat wytwornej, wykształconej i doskonałej brytyjskiej młodzieży.

O świcie rozesłałem do wszystkich naszych pokazowych instytucji rozkaz zaprzestania pracy i usunięcia ludzi na odpowiedni dystans na wypadek wybuchu, nie określając wszakże jego terminu. Ci ludzie znali mnie i ufali memu słowu. Opuszczą niewątpliwie zakłady, zanim spadnie włos z ich głowy; będę miał dość czasu na spowodowanie wybuchu. Za żadną cenę tam nie powrócą wiedząc, że eksplozja jest nieunikniona.

Odczekaliśmy tydzień. Nie nudziłem się, gdyż przez cały czas pisałem. W ciągu pierwszych trzech dni opracowywałem dziennik przerabiając go na niniejsze opowiadanie; pozostało zaledwie dopisać dwa–trzy rozdziały dla zamknięcia całości. Resztę dni spędziłem na pisaniu listów do żony.

Przyzwyczailem się pisywać codziennie do Sandy, gdyśmy bywali rozłączeni; teraz czyniłem to samo, aczkolwiek nie miałem pojęcia, co mam uczynić z napisanymi listami. Lecz listy skracały mi czas czyniąc go znośniejszym.

Wydawało mi się, że pisząc rozmawiam z Sandy. „O, Sandy! Gdybyś była tu wraz z Hallo-Centralą zamiast waszych fotografii, jakby nam było dobrze!” I marzyłem, że moje maleństwo coś mi bełkoce w odpowiedzi wpakowawszy rączyny do buzi, leżąc na wznak na kolanach matki.

Miałem, oczywiście, szpiegów, którzy co noc dostarczali mi wiadomości. Z każdym ich raportem widziało się coraz wyraźniej, że sprawa wygląda poważnie. Wojska gromadziły się. Wszystkimi drogami i ścieżkami Anglii kłusowali rycerze w towarzystwie duchowieństwa błogosławiącego ten swoisty krzyżowy pochód w obronie kościoła. Cała szlachta i arystokracja – więksi i pomniejsi – zdążali w tymże kierunku. Słowem, wszystko odbywało się tak, jak należało przewidywać.

Tylko osadziwszy, jak należało, tych panów mogliśmy się spodziewać, że lud wystąpi i upomni się o swoje prawo do republiki.

Ach, jakimżeż byłem osłem. Już ku końcowi tygodnia uświadomiłem sobie, że ludowa masa podniosła głowę i witała republikę tylko przez jeden dzień, a później wszystko się skończyło. Kościół, arystokracja i szlachta ściągnęli brwi... Tego starczyło, by lud stał się z powrotem stadem owiec!!! Od tego momentu też owce poczęły zbierać się w stada, to znaczy w wojska, i nastawiać swych bezwartościowych karków i wartościowej wełny za „dobrą sprawę”. O, tak: nawet ci, którzy do niedawna byli niewolnikami, szli umierać za „dobrą sprawę”, wychwalali ją, modlili się za nią, z uczuciem siąpali nosami i ślinili się, jak i całe prostactwo. Trzeba dopiero wyobrazić sobie te ludzkie odpadki, by zrozumieć ich ubóstwo myśli.

Teraz już wszyscy krzyczeli „precz z republiką”, a nie były to poszczególne głosy. Cała Anglia wyruszyła przeciw nam! Doprawdy, to już przekraczało moje przewidywania.

W ścisłym i stałym kontakcie miałem możliwość obserwowania moich 52 chłopaczków. Obserwowałem ich twarze, ich poruszanie się, ich nieświadome gesty. Wszystko razem składało się na wymowę - wymowę, która może mimo woli nas zdradzić, gdy najbardziej ukrywamy swe najtajniejsze myśli. Znałem tę myśl panującą coraz wszechwładniej nad ich mózgami i sercami:

„Cała Anglia przeciwko nam!”

Z coraz większą uwagą wsłuchiwali się w te słowa, wchodzili w ich treść, z każdym powtórzeniem coraz ostrzej realizowali je w swej wyobraźni, tak iż w końcu opanowały nawet ich sny. W niespokojnych snach straszliwe duchy krążyły nad nimi jęcząc w uszy: „Cała Anglia... Cała Anglia!” Wiedziałem, co z tego wyniknie, zgadywałem, iż wewnętrzny głos dojdzie do takiego natężenia, iż przedrze się na zewnątrz. A więc – musiałem się przygotować do odpowiedzi – odpowiedzi zimnej i przemyślanej.

Przewidziałem trafnie, ta chwila przyszła. Musieli się wypowiedzieć. Biedaczyska! Byli tak bladzi, zmaltretowani. Z początku ich przedstawiciel zaledwie odnajdywał słowa z trudem opanowując głos. Wreszcie zebrał się w sobie i oto, co powiedział w swej nowej angielszczyźnie, której nauczył się w naszych szkołach:

– Spróbowaliśmy zapomnieć, żeśmy dziećmi Anglii. Spróbowaliśmy rozum postawić ponad uczuciem, obowiązek ponad przywiązaniem. Rozum wytrzymuje próbę, lecz protestuje serce. Dopóki chodziło o arystokrację, o szlachtę, o jakieś 25 do 30 tysięcy rycerzy, niedobitków z ostatniej wojny, zgadzaliśmy się z panem w zupełności i nie gnębiło nas zwątpienie. Każdy z 52 młodzieńców, którzy stoją obecnie przed panem, mówił sobie: „to ich rzecz, sami podpisali na się wyrok”. Ale niech pan spojrzy, jak rzecz przedstawia się obecnie – „cała Anglia przeciw nam!”. O, panie, pomyśl, zastanów się! Lud ten, to nasz lud, kość naszej kości, my kochamy go – nie zmuszaj nas, panie, byśmy zniszczyli nasz naród!

Oto miałem dowód, jak niezbędne jest przewidywanie zdarzeń i przygotowanie się do nich. Gdybym nie przemyślał odpowiedzi, byłbym teraz zaskoczony. Ale nie byłbym przygotowany, gdybym nie wiedział zawczasu, co mi powiedzą.

– Przyjaciele! – odrzekłem – wasze uczucia są dla mnie zrozumiałe, uważam je za rzetelne, godne szacunku. Jesteście Anglikami i pozostaniecie Anglikami nie plamiąc tego imienia. Uspokójcie się i nie trąpcie się wątpliwościami. Rozejrzycie się jeno – dlaczego cała Anglia przeciw nam i kto ją prowadzi? Kto z reguły jest na przedzie? Odpowiedzcie.

– Rycerze pancerni.

– Istotnie. Jest ich trzydzieści tysięcy, zajmą całe akry przestrzeni. Teraz zważcie: nikt poza nimi nie wstąpi na piaskowy pas! A gdy wstąpią, stanie się coś takiego, po czym już żaden zwykły śmiertelnik, z tych co idą w tyle, nie zgodzi się pójść za ich przykładem. Teraz postanawiajcie i niech tak będzie, jak postanowicie. Czy, waszym zdaniem, winniśmy ustąpić z placu unikając bitwy?

– Nie!!! – wykrzyknięto jednogłośnie i szczerze.

– A może... może lękacie się tych trzydziestu tysięcy rycerzy?

Żart wywołał głośny wybuch śmiechu, niepokój i wątpliwości moich chłopaczków znikły i rozeszli się wesoło na swe posterunki. Śliczni to byli chłopcy, urodziwi jak dziewczęta.

Teraz byłem gotów na przyjęcie wroga. Niech nastąpi doniosły dzień, czuwamy!

Wielki dzień nastał. O świcie zameldował mi wartownik, że na widnokręgu pokazała się czarna masa i dolatują jakieś dźwięki, zapewne wojskowej muzyki. Ponieważ śniadanie było gotowe, zjedliśmy je tymczasem, po czym wygłosiłem do chłopców krótkie przemówienie i posłałem niewielki oddział pod dowództwem Klarensa, by obsadzić baterie.

Słońce rychło weszło i załało przestrzeń ostrymi promieniami. Zobaczyliśmy olbrzymie wojsko rozkołysane jak fale i następujące na nas. Coraz bardziej zbliżało się i coraz groźniej wyglądało. Rzeczywiście była tu cała Anglia. Dostrzegliśmy wkrótce wielką ilość rozwiniętych proporczyków, a słońce rozjarzyło całe morze zbroi. Piękny był to widok. Nigdy nie myślałem, że sążone mi będzie rozbić takie wojsko.

Teraz już mogliśmy zaobserwować szczegóły. Cała awangarda, na wiele akrów przestrzeni, składała się z jeźdźców-rycerzy w hełmach z pióropuszcami i w lśniącej zbroi. Nagle zaryzczały trąby. Powolny marsz przeszedł w galop i wtedy... Strach było patrzeć! Potężna fala jeźdźców zbliżała się do piaszczystego pasa – zatrzymałem oddech. Bliżej, bliżej – pas zielonego torfu przed pasem żółtym zwał się gwałtownie, stał się wreszcie wążką wstążką

przed końskimi kopytami – wreszcie znikł pod nogami. Wielki Boże! Cała awangarda wyleciała w powietrze z hukiem i trzaskiem, stając się nieforemną masą odłamków, resztek i strzępów... a nad ziemią uniół się gęsty słup dymu kryjąc przed oczami resztę wojska.

Teraz nastał czas na następne posunięcie w planie kampanii! Dotknąłem guziczka wyłączników i zmusiłem kości Anglii do opuszczenia kręgosłupa!

W wybuchu następnym ginęły nasze szkoły, warsztaty – wszystkie nasze kulturalne urządzenia, Wyleciały w powietrze i znikły tam na zawsze. Szkoda... ale to był mus. Nie mogliśmy zezwolić, by nasz wróg zwrócił je przeciwko nam.

Nastąpił najnudniejszy kwadrans, wydłużający się w wieczność. Czekaliśmy milcząco, zamknięci naszymi kręgami drutów i jednolitą ścianą dymu za nimi. Nie mogliśmy nic dojrzeć ponad nią lub przez nią. Ale oto stopniowo poczęło się przersedzać, ziemia wystąpiła wyraźniej i mogliśmy zaspokoić naszą ciekawość. Jak okiem sięgnąć ani żywego ducha! Wystąpiła natomiast pewna okoliczność będąca nam na rękę. Oto wybuch uczynił głęboką wyrwę, ponad sto stóp szeroką, obwałowaną po bokach. Trudno byłoby określić, ile tu zginęło ludzkich istnień. Oczywiście nie mogliśmy zliczyć zabitych, gdyż ich wcale tu nie było; była jakaś bezkształtna masa, złożona ze strzępów ludzkiego mięsa z dodatkiem żelaznych guzików.

A więc, nie dojrzeliliśmy żywego ducha, lecz niewątpliwie byli gdzieś ranni z ostatnich rzędów. Wśród pozostałych przy życiu mogły zapanować choroby, jak zwykle bywa po tego rodzaju katastrofach. Ale trudno było oczekiwać nadejścia rezerw. To była wszak ostatnia stawka angielskiego rycerstwa po niedawno zakończonej niszczycielskiej wojnie. Wobec powyższego byłem przekonany, że jeśli nawet wystąpi przeciwko nam jeszcze raz wojsko, to będzie ono bardzo nieliczne. Wydałem następującą dziękczynną odezwę do mojej armii:

Żołnierze, bojownicy o ludzką wolność i równość! Wasz wódz was pozdrawia! Pełen pychy i pewny siebie wróg wystąpił przeciwko wam. Byliście przygotowani. Starcie było krótkie. Po waszej stronie chwała. To sławne zwycięstwo, jedyne w historii, zostało wywalczone bez strat z naszej strony. Dopóki planety nie zaprzestaną obiegu w swych orbitach, bitwa w piaskowym pasie nie zniknie w ludzkiej pamięci.

PATRON

Odczytałem to z namaszczeniem i oklaski, którymi mnie nagrodzono, ucieszyły mnie wielce. Zakończyłem swe przemówienie następującym okrzykiem;

– Wojna z angielskim narodem, jako narodem, skończona. Naród opuścił pole walki. Zanim go nakłonią do powrotu, wojna całkiem się skończy. Cała wojna wyczerpała się w pierwszym starciu, krótkim, najkrótszym w historii, ale też najbardziej niszczycielskim. Zakończyliśmy rozrachunki z narodem, lecz nie zniszczyliśmy jeszcze wszystkich rycerzy. Rycerze Anglii mogą być zabici, ale nie mogą być zwyciężeni. Wiemy, co należy czynić. Dopóki chociażby jeden z nich pozostaje przy życiu, nasze dzieło nieskończone, wojna nierozegrana. Zabijemy ich wszystkich. (Głośne, długotrwałe oklaski.)

Ustawiłem na wielkim wale, uformowanym przez wybuch, posterunek złożony z dwóch chłopców, aby mnie powiadomili o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Później posłałem jednego inżyniera i 40 ludzi na południe od naszych fortyfikacji, by skierowali znajdujący się tam górski strumień do wewnątrz fortyfikacji. Oddział ten podzielił się na dwie kompanie zmieniające się przy pracy co 2 godziny. W ciągu 2 godzin zadanie było wykonane. W nocy odwołałem posterunki. Obserwator od strony północnej doniósł, że na dalekim dystansie widać obóz, ale można go dostrzec dopiero przez lunetę. Zameldował również, że kilku rycerzy skierowało się w naszą stronę i napędzili bydło na nasze linie, ale sami nie zbliżyli się. Było właśnie tak, jak się spodziewałem: badali nasze zamiary chcąc się dowiedzieć, czy zamierza-

my nadal stosować terror. Możliwe, że w nocy będą śmielsi. Z całą wyrazistością przejrzałem ich plan, gdyż trzymałbym się takiego samego będąc na ich miejscu, na ich stopniu cywilizacji. Gdy podzieliłem się przypuszczeniami z Klarenssem, przytaknął mi:

– Sądzę, że ma pan rację – powiedział – jasne, że muszą jeszcze raz spróbować.

– No tak, odrzekłem, ale jeśli to uczynią, zginą.

– Oczywiście.

– Nie będą mieli żadnego wyjścia.

– Bez wątpienia.

– To potworne, Klarensie. Żał mi ich. Ta myśl tak mnie męczyła, że nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Wreszcie, by uspokoić swe sumienie, postanowiłem posłać do nich parlamentariusza z następującą odezwą:

Do szanownego przywódcy rycerzy – powstańców Anglii. Walczycie na próżno. Znamy wasze siły – o ile je tak jeszcze można nazwać. Wiemy, że najwyżej możecie nam przeciwstawić jakieś 25 tysięcy rycerzy. Nie możecie w żadnym wypadku liczyć na powodzenie. Zważcie: jesteśmy wspaniale uzbrojeni i umocnieni, jest nas 54. 54, ale jakich? Czy ludzi? O nie, rozumów, najdoskonalszych z całego świata – to potęga, której nie złamie siła fizyczna, jak nie złamią morskie fale granitowych brzegów Anglii. Bądźcież rozsądni. Ofiarujemy wam wasze życia. W imię waszych rodzin nie odrzucajcie naszego daru. Dajemy wam ostatnią deskę ratunku, skorzystajcie z niej. Złóżcie broń, uznajcie republikę i wszystko będzie zapomniane. Podpisane:

PATRON

Odczytałem to Klarensowi i powiedziałem, że zamierzam zaproponować zawieszenie broni. Zaśmiał się swym sarkastycznym śmiechem i rzekł:

– Zdaje mi się, że pan nigdy nie będzie w stanie pojąć, czym jest nasza szlachta. Natomiast obecnie musimy oszczędzać nasz czas i spokój. Niech pan sobie wyobrazi, że ja jestem wodzem rycerzy. A teraz pan przychodzi do mnie z białą chorągwią i przynosi mi odezwę czekającą na odpowiedź.

Udałem, że przychodzę do obozu wrogów i odczytuję wodzowi odezwę. Miast odpowiedzi Klarens wyrwał z moich rąk papier, pogardliwie się uśmiechnął i powiedział z niesłychaną pychą:

– Wypatroszcie to zwierzę i odnieście je jego panu, szubrawcowi. Innej odpowiedzi nie będzie!

Cóż znaczy teoria wobec rzeczywistości, a rzeczywistość właśnie tak wyglądała. Nie można było wątpić, że sprawa przybrałaby taki obrót, jak przedstawił Klarens. Przedarłem papier i odrzuciłem raz na zawsze sentymenty. Tedy do dzieła. Wypróbowałem elektryczną sygnalizację od placu do groty: przekonałem się, że działa sprawnie. Później uczyniłem to samo z sygnalizacją otaczającą ogrodzenie – tu mogłem puszczać lub zamykać prąd dowolnie w każdym ogrodzeniu. Trzech najpewniejszych chłopców postawiłem na straży połączenia ze strumieniem. Mieli się zmieniać co dwie godziny przez całą noc, na wypadek gdybym był zmuszony do dania sygnału – trzy pistoletowe strzały raz po raz. Nocnych posterunków poza tym nie ustawiałem: plac pozostawał pusty. Prócz tego zarządziłem, by w pieczarze panowała cisza, a elektryczne światła przyćmiono.

Wybrawszy dogodny moment wyłączyłem prąd z całej sieci; przedostałem się do wału przez rów. Wdrapawszy się na wierzchołek ułożyłem się na świeżej ziemi i począłem obserwować. Ale było za ciemno, by cokolwiek dojrzeć. Panowała martwa cisza nie przerywana

niczym poza zwykłymi nocnymi odgłosami. Szczebotały nocne ptaki, brzęczały i ćwierkały świerszcze, szczekały gdzieś daleko psy, leniwo i łagodnie porykiwało bydło. Lecz wszystkie te głosy nie przerywały ciszy, raczej jeszcze bardziej ją pogłębiały. Przestałem się wpatrywać, ponieważ noc stawała się coraz ciemniejsza, ale za to począłem tym bardziej nasłuchiwać, by ułoić każdy podejrzaną brzęk, który, moim zdaniem, winien był nastąpić.

Czekałem dość długo. Wreszcie ucho me ułoiło cichy, ledwo uchwytny dźwięk – jakby głuchy metaliczny dzwon. Nastawiłem ucha i wstrzymałem oddech pojmując, że właśnie to oznacza, czego się spodziewałem. Dźwięk narastał i zbliżał się od północnej strony. Teraz słyszałem go na jednym poziomie ze mną – tupot końskich kopyt i brzęk broni na przeciwległym wale. Tupot jakby setki nóg, a może i więcej. W następnej chwili wydało mi się, że dostrzegam szereg czarnych punktów na skraju wału. Co to? Ludzkie głowy? Nie mogłem określić. Możliwe, że było to co innego, gdyż niepodobna dowierzać rozigranej wyobraźni, W każdym razie musiało się rozstrzygnąć lada chwila. Słyszałem, jak metalowy dźwięk schodził do rowu. Zapewne chcieli nam urządzić małą niespodziankę, winniśmy oczekiwać wizyty o świcie, a może nawet wcześniej. Skierowałem się ku domowi, gdyż już dość zobaczyłem. Wróciwszy na plac dałem sygnał włączenia prądu do dwóch wewnętrznych zagrożeń. W pieczarze zastałem wszystkich pogrążonych we śnie, prócz warty. Zbudziłem Klarensa i powiedziałem mu, że rów jest pełen ludzi i że zapewne rycerze całą masą ruszyli na nas.

Moim zdaniem, winniśmy się spodziewać, że rów będzie obsadzony o świcie tysięcznym wojskiem, które zaatakuje wał.

Klarens odrzekł:

– Będą musieli posłać naprzód jednego lub dwóch wywiadowców, póki jeszcze ciemno. Dlaczego byśmy nie mieli puścić prądu na zewnętrzne druty?

– Jużem to uczynił, Klarensie. Czyżby pan sądził, że nie znam się na gościnności?

– Skądże! Wiem, że ma pan dobre serce... Muszę zresztą iść.

– Na spotkanie kochanych gości? Chodźmy razem. Przeszliśmy między dwiema bateriami dział i położyliśmy się pomiędzy ogrodzeniem. Po słabym świetle w grocie noc wydała nam się jeszcze ciemniejsza. Po chwili poszczególne przedmioty poczęły występować z mroku i dojrzeliliśmy pale ogrodzenia. Wtem Klarens zapytał:

– Co to jest?

– A co?

– Jakiś przedmiot, tam!

– Co za przedmiot, gdzie?

– Tam, w pobliżu pana, coś niewyraźnego, ciemnego... przy drugim ogrodzeniu.

Obaj przypatrywaliśmy się chwilę.

– Może to człowiek, Klarensie?

– Nie, sądzę, że nie. Patrz, pan, ależ rzeczywiście człowiek! Oparł się o pal!

– Zdaje się, że tak. Chodźmy zobaczyć.

Poczołgaliśmy się na kolanach i zobaczyliśmy człowieka. Duża postać stała oparłszy obie ręce o drut. Dochodził swąd przypieczonego mięsa. Biedaczysko zmarł nawet nie wiedząc, że został rażony prądem. Stał jak posąg, dokoła niego panował spokój, tylko poranny wiaterek kołysał jego pióropuszem. Zajrzeliśmy pod przyłbicę, lecz nie mogliśmy rozróżnić rysów twarzy. Usłyszeliśmy zbliżający się stłumiony szmer. Przypadliśmy do ziemi tam, gdzie staliśmy. Skradał się ku nam drugi rycerz. Widzieliśmy, jak macał ręką górny przewód, nachylił się i dotknął dolnego. Następnie zbliżył się do stojącego rycerza i stanął dostrzegłszy go. Po stał chwilę zdziwiony widocznie jego sztywną postawą, po czym powiedział: „Czyś się zdrzemnął, sir Mar...” – dotknął ręką ramienia trupa i natychmiast z cichym jękiem padł martwy. Trup, zmarły przyjaciel, zabił go. W tym było coś potwornego!

Te pierwsze jaskółki przylatywały w naszych oczach jedna po drugiej w ciągu pół godziny. Rycerze dobywali miecza nie dlatego, by pomścić krzywdę; czynili to z przyzwyczajenia i

dotykali nimi drutów. Teraz widzieliśmy błyski niebieskich iskier to tu, to tam, podczas gdy samych rycerzy nie było widać. Wiedzieliśmy, skąd powstawały te iskry: nieborak dotykał mieczem drutu i padał martwy. Przerwy w ciszy były teraz bardzo krótkie – ciszę przerywał głuchy łoskot padającego ciała, zakutego w pancerz. Robiło to złowrogie wrażenie. Postanowiliśmy przejść pomiędzy wewnętrznym odrutowaniem licząc na to, że po ciemku wezmą nas raczej za swoich niż za wrogów. W ten sposób nie ryzykowaliśmy, iż wpadniemy na miecze, którymi byli tamci uzbrojeni. Dziwny to był spacer. Wszędzie za drugim ogrodzeniem leżały trupy. Zaledwie się je widziało, ale tych, co stały przy drucie jak posągi, naliczyliśmy piętnaście.

Prąd nasz był tym bardziej przerażający, że zabijał, zanim który zdążył krzyknąć. Niebawem usłyszeliśmy nowy, miarowy szelest i domyśliliśmy się, że wojsko postanowiło urządzić nam niespodziankę. Szepnąłem do Klarensa, by zbudził całą naszą armię i uprzedził ją, by w zupełnej ciszy czekała na dalsze rozkazy. Wkrótce wrócił i obaj patrzyliśmy dalej, jak nasz piorun czynił spustoszenie wśród zbliżającego się wojska.

Trudno było zaobserwować szczegóły, widzieliśmy jeno, jak czarna masa gromadziła się przy drugim zagrozeniu. Powstawał wał trupów. Obóz nasz był otoczony swego rodzaju bastionem trupów! Jeszcze jedna okoliczność pogłębiała grozę: wszystko odbywało się bezgłośnie. Nie dochodziły rozmowy, wojenne okrzyki, jęki. Mając zamiar napaść zniemacka wojsko posuwało się możliwie bez hałasu. I za każdym razem, gdy pierwszy szereg dochodził do drutów i chciał wydać wojenny okrzyk, padał bez głosu nie ostrzegając następnych. Przepuściłem prąd nieznacznie przez trzecią linię a następnie przez czwartą i piątą. Widziałem, że nadszedł czas, by wykonać swój zamiar – całe wojsko winno być dostać się do pułapki. Dotknąłem elektrycznego guzika i zapaliłem 50 elektrycznych słońc nad przepaścią. Boże, cóż za widok! Byliśmy oddzieleni trzema ścianami martwych ciał. Wszystkie inne zagrozenia były przepelnione żywymi ludźmi, którzy skradając się szukali drogi między drutami. Nieoczekiwane światło sparaliżowało ich ruchy, zdrętwieli. Z tej chwili musiałem skorzystać, by nie tracić szans, gdyż w następnej mogli się opamiętać i z bojowym okrzykiem rzucić się na nas i zerwać wszystkie druty. Lecz straszna chwila odebrała im wszelkie szansę ratunku. Puściłem prąd przez wszystkie linie i całe wojsko padło trupem na miejscu. Nikt nigdy nie słyszał podobnego jęku! To był śmiertelny krzyk jedenastu tysięcy ludzi, który napełnił noc grozą rozpacz.

Dojść było jednego spojrzenia, by się zorientować, że reszta wrogów – około 10 tysięcy – wspinała się na wał szykując się do ataku, A więc byli w naszym ręku wszyscy! Nastąpił ostatni akt tragedii. Dałem trzy strzały z pistoletu. Sygnał oznaczał: puścić wodę!

Rozległ się szalony ryk i szum. W ciągu jednej minuty górski potok napełnił rów stając się rzeką stustopowej szerokości i 25-stopowej głębi.

– Do broni! Ognia!

Trzynaście dział niosło śmierć skazanym 10 tysiącom. Stali jakąś minutę wytrzymując ogień, po czym rozsypali się jak słoma na wicherze. Czwarta część wojska nie dopadła nawet wału, $\frac{3}{4}$ dopadło, by utonąć. W ciągu trzech minut resztki armii uległy zniszczeniu, kampania była zakończona i 54 ludzi panowało nad Anglią! Dwadzieścia pięć tysięcy trupów spoczywało dokoła nas.

Lecz jakże zmienne bywają losy! W krótkim czasie – powiedzmy, w ciągu godziny – stało się coś z mej własnej winy, co... Ale nie mam odwagi o tym pisać. Niech skończą się tu moje notatki.

A więc ja, Klarens, muszę dokończyć za niego. Zaproponował mi, byśmy poszli odnaleźć rannych i okazać im pomoc. Protestowałem usilnie, twierdząc, że jest ich tak wielu, że nie będziemy w stanie okazać pomocy, skądinąd zaś należy mieć się przed nimi na baczności. Ale Patron, skoro już raz postanowił, nie dał się przekonać. Wyłączyliśmy prąd ze wszystkich linii, wzięliśmy ze sobą strażników i poczęliśmy zwiedzać pole walki. Pierwszy ranny, którego jęk usłyszeliśmy, siedział opierając się plecami o zabitego. Patron pochylił się nad nim i przemówił, tamten zaś poznawszy go dobył sztyletu i uderzył. Był to rycerz, sir Meligrauks, gdyż poznałem go po zdjęciu zeń hełmu. No, ten już więcej nie wzywał pomocy!

Odnieśliśmy Patrona do pieczary i opiekowaliśmy się nim, zanim jego rana, zresztą niegroźna, nie zagoiła się. Dopomagał nam Merlin, aczkolwiek, ma się rozumieć, o tym nie wiedzieliśmy. Przebrał się za kobietę i wyglądał na pocziwą wieśniaczkę. Dzięki gładko gło-nej, smągłej twarzy nie budził podejrzeń, gdy zjawił się jako kobieta proponując ugotowanie obiadu. Twierdziła, że wszyscy mężczyźni zaciągnęli się do nowo formującego się wojska, a ona sama nie ma co jeść. Patron w tym czasie już przyszedł do siebie i był zajęty wykończeniem swego dzieła. Byliśmy radzi, że ta kobieta weźmie na siebie część pracy domowej; wpadliśmy w potrzask, któryśmy sami na siebie zastawili, pozostając na miejscu narażaliśmy się na niebezpieczeństwo zarazy, mogącej powstać z powodu rozkładających się trupów, wychodząc zaś stąd mogliśmy wpaść w ręce wrogów. Zwyciężyliśmy – i byliśmy zwyciężeni jednocześnie. Patron zdawał sobie z tego sprawę, jak i my wszyscy.

Gdybyśmy poszli do tych nowo formujących się wojsk, może udałoby się nam nawiązać z nimi przyjazny kontakt. Ale Patron nie mógł chodzić, ja również nie byłem w stanie, gdyż pierwszy zapadłem na zdrowiu z powodu strasznego smrodu rozkładających się ciał. Zachorowali stopniowo inni. Jutro... przyszło wreszcie to jutro, a z nim nasz kres.

Okolo północy obudziłem się i zobaczyłem, że wiedźma czyni rękami jakieś dziwne ruchy nad obliczem Patrona. Nie zrozumiałem, co to ma oznaczać. Wszyscy prócz warty przy dynamo spali. Kobieta zaprzestała swych dziwacznych ruchów i na palcach posunęła się ku drzwiom. Krzyknąłem:

– Stać! Coś tam robiła?

Zatrzymała się i rzekła ze złośliwym śmiechem:

– Zwyciężyliście i jesteście zwyciężeni! Tamci wszyscy zginęli, lecz i wy zginiecie wszyscy. Umrzecie tu prócz niego. On śpi i będzie spał przez 13 wieków. Jestem Merlin!

Atak złośliwego, szaleńczego chichotu wstrząsnął nim tak, iż kołysząc się jak pijany złapał za jeden z drutów, by nie upaść. Jego usta pozostały otwarte, jakby wciąż jeszcze śmiał się. Sądzę, że ten skamieniały śmiech pozostanie na jego twarzy, zanim ciało nie rozsypie się w proch.

Patron wciąż nie poruszał się, leżał jak kamień. Jeżeli dziś się nie obudzi, będziemy już wiedzieli, co oznacza ten sen. Jego ciało odnieśliśmy w najdalszy kąt pieczary, gdzie nikt go nie znajdzie i nie pohańbi.

Co się zaś tyczy reszty, tośmy postanowili, że ten, kto pozostanie przy życiu, zapisze wszystko, co się stanie, i schowa rękopis wraz z ciałem Patrona, naszego dobrego wodza, jako jego własność za życia i po śmierci.

Koniec rękopisu. Ostateczne postscriptum M. T.

Był już świt, gdy odłożyłem rękopis. Deszcz ustał, milknąca burza wzdychała i pochlipywała na pożegnanie.

Wszedłem do pokoju nieznanego i nadśluchiwałem przy półotwartych drzwiach. Usłyszałem jego głos i zastukałem. Odpowiedzi nie było, lecz głos wciąż się rozlegał. Zajrzałem. Leżał na wznak w łóżku i rzucał oderwane słowa, pełne ognia, wskazując na coś rękami, którymi gorączkowo gestykulował. Cicho nazwałem go po imieniu pochylając się nad nim. Bredził w dalszym ciągu przerywając bełkot okrzykami. Wymówiłem jeszcze parę słów, by zwrócić na siebie jego uwagę. Jego szklany wzrok ożywił się na moment błyskiem miłości, radości, powitania...

– O, Sandy, nareszcie przychodzisz! Tak długo na ciebie czekałem! Siądź przy mnie... Nie porzucaj mnie już Sandy, nigdy nie porzucaj. Gdzie twoja ręka? Daj mi ją, będę ją trzymał... O, tak, teraz już dobrze, spokój... Teraz już jestem szczęśliwy... jesteśmy znów szczęśliwi, nieprawdaż Sandy? Jesteś we mgle niby widmo, obłok, ale niemniej jesteś tu i jestem zadowolony. Trzymam twoją rękę, nie odbieraj mi jej... choć nie na długo pozostaw mi ją, nie żądam na długo. A gdzie nasze dziecię? Hallo-Centrała?... Ona nie odpowiada. Śpi, być może? Gdy się zbudzi, przynieś mi ją, daj dotknąć się jej rączki, twarzyczki, włosów... Pozwól mi się z nią pożegnać... Sandy! Jesteś tu, sądziłem, żeś odeszła. Czy długo byłem chory? Zapewne długo, wydaje mi się, że parę miesięcy. A jakie miałem sny! Taki ciężki, męczący koszmar! I wszystko było takie podobne do rzeczywistości. Oczywiście, to było bredzenie, ale takie realne. Widziałem, że król umarł, żeś ty pozostała w Galii nie mając stamtąd powrócić i że była rewolucja.

W fantastycznej malignie widziałem, jak Klarens wraz z garścią moich uczniów ze szkół wojennych walczy z całym angielskim rycerstwem i niszczy je. Ale nie to było najdziwniejsze. Zdawało mi się, że jestem człowiekiem z innego, bardzo oddalonego stulecia, które jeszcze nie egzystuje, i że ona jest właśnie moją rzeczywistością a nie cała reszta. O tak: wydawało mi się, że przeleciałem w ten dawno miniony wiek, a potem znów powróciłem do swego i że znów zobaczyłem Anglię po 13 stuleciach, a między mną i tobą powstała przepaść! Pomiedzy mną a moim domem i moimi przyjaciółmi. Pomiedzy mną i wszystkim, co mi było drogie i dla czego warto było żyć! To było okropne! Okropniejsze od wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić, Sandy! Ach, nie odchodź ode mnie Sandy... nie pozwól mi wracać do moich snów... Śmierć jest niczym wobec tego, niech przyjdzie, byle tylko bez tych snów, bez tych mąk... nie zniosę więcej, Sandy!!

Bełkotał jeszcze chwil parę bez sensu. Wtem zaczął skwapliwie zbierać dokoła siebie kołdrę i przebierać po niej palcami. Wywnioskowałem z tego, że koniec jest bliski. Nagle podniósł się i powiedział:

– A trąba?... To król! Prędeż, zwodzony most! Do fortów! Obrócić...

Szykował swój ostatni „efekt”, ale już go nie mógł wykończyć.